

WOLNOŚĆ i PRZYSZŁOŚĆ

Dudek, Hausner, Janiszewski, Krzystek, Rotfeld, Rychard, Zacher

nr 2 (29), 2019

KWARTALNIK

Teraz Polska

KREATYWNA POLSKA / NOWOCZESNY BIZNES / ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ / EDUKACJA



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395

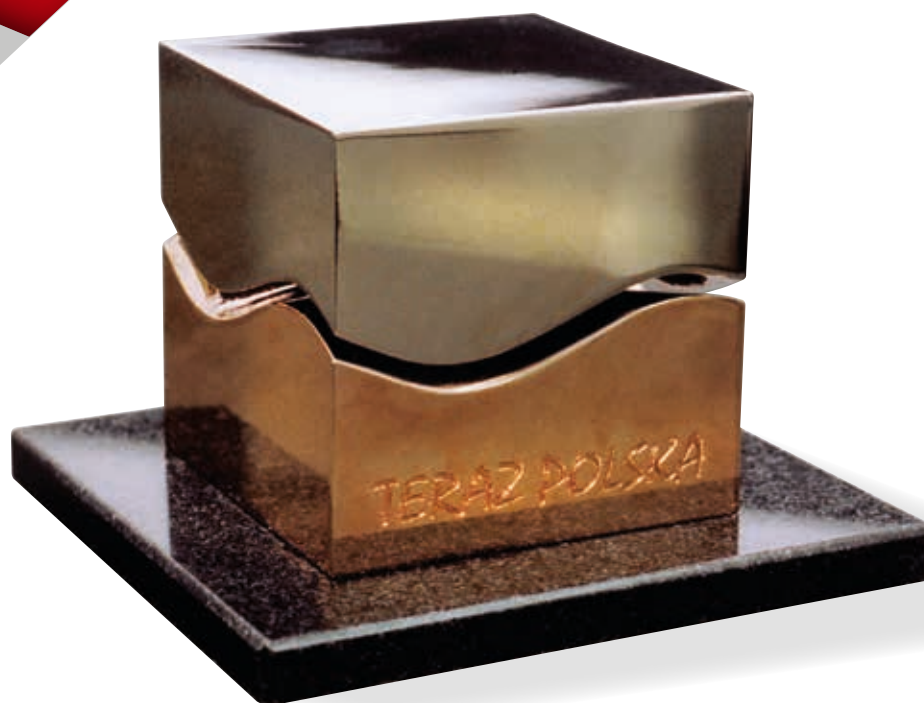
2019



TERAZ POLSKA



www.terazpolska.pl



PROMUJEMY POLSKIE MARKI

TERAZ POLSKA

XXX EDYCJA KONKURSU



© KAMIL BROSZKO.BROSZKO.COM

Awangarda zmian na lepsze

Zacznę tym razem nieco filozoficznie. Nie-raz w powieści czy w filmie stosowany jest ciekawy zabieg, a mianowicie twórca wynosi koincydencję do rangi symbolu. Dwa wydarzenia rozgrywające się w tym samym momencie niby są zupełnie odrębne, lecz jesteśmy skłonni sądzić, że łączy je jakaś metafizyczna więź, a ich współwystępowanie okazuje się kluczowe dla całej narracji. Czy ulegamy skłonności do fantazjowania, zachęteni wprawnością warsztatową literatów i ludzi filmu? Czy też w istocie pewne związki zachodzące w rzeczywistości, niby zupełnie przypadkowo, mogą wpływać na nasz sposób widzenia świata?

Tegoroczna Gala „Teraz Polska”, najważniejsze wydarzenie w kalendarzu Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego, a zarazem wielkie święto rodzimej przedsiębiorczości, kreatywności i zaradności, odbywa się 3 czerwca. W Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie, jak każdego roku, od niemal 30 lat, spotykają się ludzie, którym zależy na wysokiej jakości: przedsiębiorcy, właściciele firm, zarządzający biznesem. Zaś na dzień 4 czerwca przypada rocznica wyborów do Sejmu kontraktowego. W ich wyniku Polska stała się pierwszym państwem bloku wschodniego, w którym przedstawiciele opozycji demokratycznej uzyskali realny wpływ na sprawowanie władzy, co zapoczątkowało

lawinę zmian rozwojowych o randze cywilizacyjnej. Czy owa niemal idealna zbieżność terminów – Gali „Teraz Polska” i rocznicy wyborów czerwcowych – jest przypadkowa? A jeżeli nie, to czy uprawniona byłaby interpretacja, że 30 lat ogromnej ewolucji naszego kraju jako pierwsi będą świętować polscy przedsiębiorcy? Nie chciałbym w żaden sposób umniejszać zasług luminarzy zmian ustrojowych roku 1989, wywodzących się ze sfer politycznych, akademickich, ze świata mediów. Jednakże to, co dziś dobrego dzieje się w Polsce, jest również заслу- gą wszystkich ludzi dobrej roboty, przedstawicieli wszelakich dziedzin, dyscyplin, specjalności. My zaś wskazujemy na liderów przedsiębiorczości, bowiem dzięki swej zaradności i pracowitości w ciągu minio- nych 30 lat byli wręcz awangardą zmian na lepsze.

Choć historia jest ogromnie ważna, dziś klu- czowe wydają się dla Polski dwa tematy: wolność i przyszłość. Jednym i drugim zajmujemy się na łamach naszego magazynu. O opinię poprosiliśmy uczonych, twórców i oczywiście przedsiębiorców. W ramach rozmów o przyszłości nieraz rozważamy, czy nasze myślenie nie okaże się zbyt wolne dla maszyn. Uważam jednak, że – oprócz wypracowa- nych wartości – głęboki namysł to wciąż najlepsze, co możemy dać światu, i tylko on może nas sku- tecznie ochronić przed zagrożeniami. Zapraszam do lektury.

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”*



MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO

www.terazpolska.pl

**Magazyn
TERAZ POLSKA**

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadzący:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko,
Justyna Kwaśniok
Okładka:
Jerzy Janiszewski

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.terazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Justyna Kwaśniok

Druk:
Miller Druk Sp. z o.o.
www.m-druk.pl

Temat numeru

- 6 **Wolność wielka i mała.** Esej prof. Andrzeja Rycharda
10 **O NATO, Rosji i napięciach społecznych w Polsce**
z prof. **Adamem Danielem Rotfeldem** rozmawia *Kamil Broszko*.
16 **Interdyscyplinarnie o wolności.** Seminarium z udziałem uczonych
i ekspertów zorganizowane przez Fundację Polskiego Godła Promo-
cyjnego „Teraz Polska”.
20 **Może świat będzie się kręcił bez nas.** O efektywności
i sensie przewidywania przyszłości z prof. **Lechem W. Zacherem**
rozmawia *Kamil Broszko*.

Gospodarka

- 24 **Nadchodzi czas ekonomii wartości.** O związkach gospodarki
z potrzebami ludzi i jakością życia z prof. **Jerzym Hausnerem**
rozmawia *Adam Mikołajczyk*.
27 **O wartościach w biznesie.**
Iwona Szmitkowska, Jarosław Wittstock, Maciej Mazurkiewicz
29 **Ewolucja jest lepsza od najlepszej rewolucji.** O rynkowych
błędnych kołach i o tym, czy wykształcenie muzyczne pomaga
w biznesie, z **Grażyną Piotrowską-Oliwą** rozmawia *Kamil Broszko*.
32 **Nigdy nie było atrakcyjniejszych warunków oszczędzania.**
O Pracowniczych Planach Kapitałowych z **Marcinem Żółtkiem**
rozmawia *Piotr Grochowski*.
34 **O dokumencie wiemy wszystko.** Z **Michałem Czeredysem**,
prezesem zarządu Arcus SA, rozmawia *Stanisław Rem*.

Polacy

- 36 **Chciałbym, aby mój znak znów zjednoczył ludzi.**
O polskim logotypie, który jest znany na całym świecie,
z **Jerzym Janiszewskim** rozmawiają *Marzena Tataj* i *Kamil Broszko*.
42 **Trzeba pewne sprawy stawiać na ostrzu noża.** O traumach
Ziem Zachodnich i potrzebie budowania tożsamości historycznej
z **Waldemarem Krzystkiem** rozmawia *Kamil Broszko*.

Idee

- 48 **Tajemnice Okrągłego Stołu.** Relacja z debaty. *Kamil Broszko*
52 **Woronin, Szczepłek, Person, Przybył o wolności i sporcie.**

Regiony

- 56 **Polak w Berlinie.** O wyzwaniach i korzyściach związanych z życiem
między dwoma światami i o nowoczesnej Polsce
z **Peterem Nowakiem** rozmawia *Kamil Broszko*.
60 **Restauracja angażuje wszystkie zmysły.** Z **Arturem Jarczyńskim**
rozmawia *Kamil Broszko*.
63 **Wystawa nominowanych w Konkursie „Teraz Polska”.**
64 **Stolica branży spożywczej.** Targi WorldFood Poland 2019.
Iwona Ciechan

Felietony

- 66 **Cyklon.** *Adam Szejnfeld*
67 **Przyszłość a wolność.** *Andrzej Lubowski*

To będzie Mój rok!



Moniuszko
2019 ROKIEM 200.
STANISŁAWA MONIUSZKI

Realizacja działań w ramach obchodów
200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki
Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



200. rocznica urodzin
Stanisława Moniuszki
Obchodzone pod auspicjami UNESCO

moniuszko200.pl

Wolność wielka i mała

Andrzej Rychard

Wolność to wielkie słowo. I wielkie pojęcie. Kojarzy się nam z czymś odświętnym, opartym na fundamentalnych wartościach. Ale dla socjologa ważny jest też konkret, to, jak wolność przejawia się na co dzień. Bo jeśli jest usadowiona tylko na wysokich piedestałach, wtedy trochę fruwa w przestworzach. Lecz gdy do tego odświętnego rozumienia wolności dodamy jej codzienny wymiar, wtedy wolność zakorzenia się, staje się mocniejsza. I właśnie o tym, jak przeplata się odświętne i bardziej codzienne rozumienie wolności, chcę tu powiedzieć¹. Oba te aspekty są ważne. Minione 30 lat widzę jako wielką pokoleniową lekcję wolności i czas stopniowego przybierania przez nią konkretnych kształtów. Idee wolności – zarówno tej wielkiej, jak i tej konkretnej – były już zresztą widoczne wcześniej, jeszcze przed rozmowami Okrągłego Stołu, których 30-lecie obchodzimy. Bez tych idei nie byłoby pierwszej Solidarności, a żądanie utworzenia niezależnych, samorządnych związków zawodowych to przecież postulat łączący dwie wolności – wielką (bo niezależność i samorządność) i konkretną (bo związki zawodowe). A potem, przez całą dekadę lat 90., rosło nowe pokolenie, które stopniowo odkrywało, oswajało wolność i nadawało jej konkretny sens. I nie zawsze chodziło tu tylko o wolność (czy wolności) o charakterze politycznym.

Bo wolność to nie tylko polityka. Widać to szczególnie wyraźnie na przykładzie Polski zaraz po upadku starego systemu, w czym swój wielki udział miał ruch pierwszej Solidarności. Gdy po dekadzie powstawały pierwsze transformacyjne rządy, niedługo potem można było usłyszeć narzekania, że Polacy, tak aktywni w walce o upadek starego, stali się cisi i bierni w budowie nowego. Od lat staram się bronić innej tezy: to nie było przejście od aktywności do pasywności, lecz zmiana form aktywnego zaangażowania. Przestaliśmy walczyć jako obywatele, zaczęliśmy jako producenci i konsumenci. Przyciśnięci przez tzw. plan Balcerowicza i jego konsekwencje, Polacy zaczęli szukać swych miejsc na rynku. W pewnym sensie oddalało to od demokracji – rynek nas otaczał, nie pozostawiał wielkiego wyboru. Pamięć o wielkiej wolności nie ginęła, ale istotniejsze stało się łączenie owego pojęcia z takimi kategoriami, jak producent czy konsument.

Kiedy w latach 1995 i 1999 w ramach prowadzonych badań pytaliśmy respondentów, w jakich obszarach życia codziennego odczuwają największą swobodę wyboru, wyłaniał się obraz Polaków mających swobodę robienia zakupów, wyboru usług, stacji telewizyjnej, zaś dużo słabiej postrzegana była swoboda wpływania na skład władzy lokalnej i wyboru miejsca pracy. To ostatnie



Andrzej Rychard (ur. 1951 r.) – socjolog, profesor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, członek korespondent Polskiej Akademii Nauk. Był członkiem zarządu Fundacji im. Stefana Batorego, a także wykładowcą na Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych SWPS. Członek Collegium Invisible, przewodniczący Komitetu Narodowego ds. Współpracy z Międzynarodową Radą Nauk Społecznych (ICSS) w ramach Polskiej Akademii Nauk.

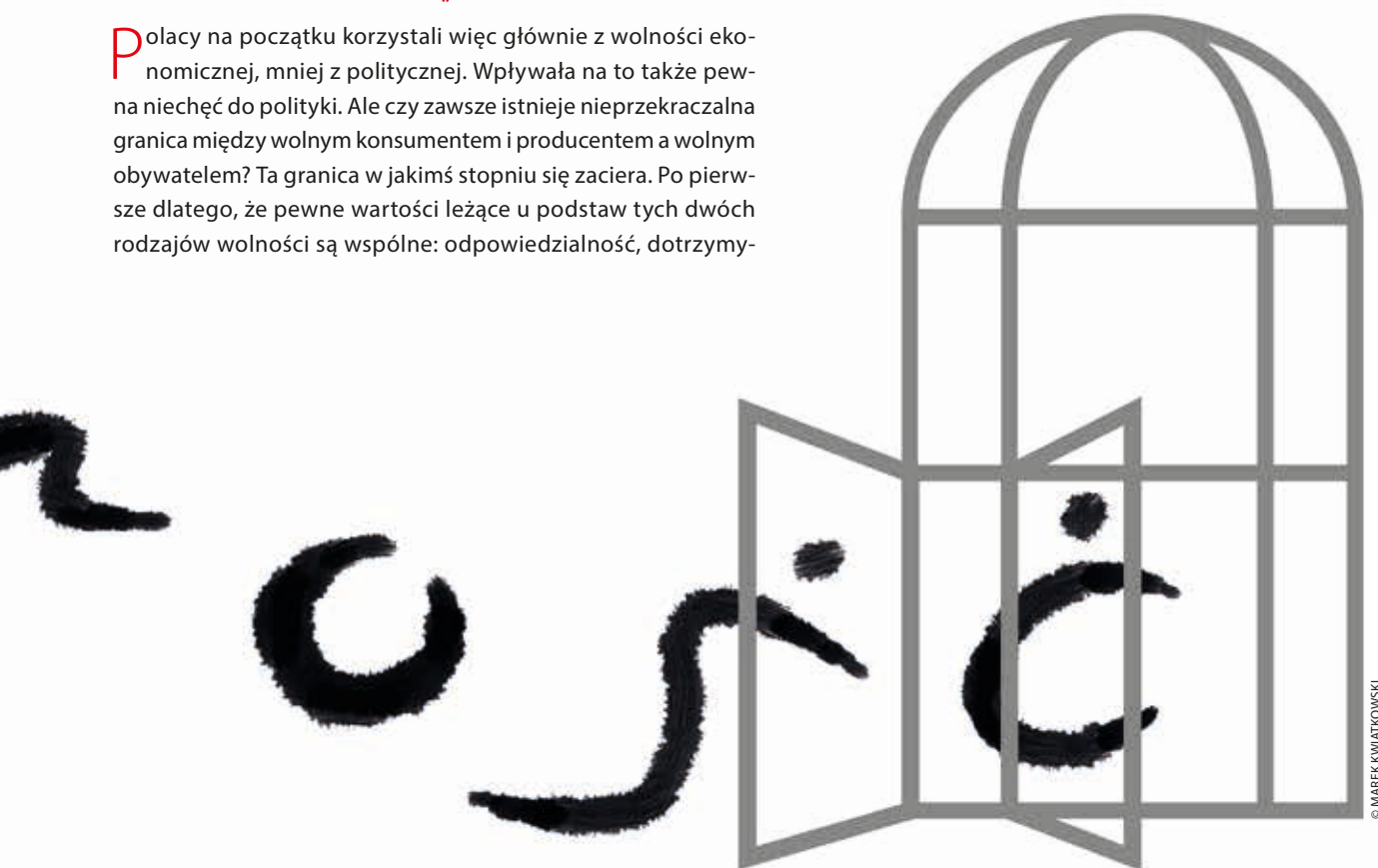
nie jest sprzeczne z opinią, że jako producenci Polacy zyskali wolność już w latach 90. – pytani bowiem oceniali zapewne swobodę zmiany miejsca pracy z punktu widzenia pracowników, a nie pracodawców. Warto pamiętać, że w owym czasie bezrobocie wciąż było problemem. Tymczasem wolność producentów wyrażała się w masowo powstającej wtedy małej i średniej przedsiębiorczości. Wiele z tych firm upadło, ale z niektórych wyrosły wielkie przedsiębiorstwa (np. grupa Atlas). Spora część nadal istotnie zasila polską gospodarkę, dla której sektor MŚP jest fundamentalnie ważny.

*

Polacy na początku korzystali więc głównie z wolności ekonomicznej, mniej z politycznej. Wpływała na to także pewna niechęć do polityki. Ale czy zawsze istnieje nieprzekraczalna granica między wolnym konsumentem i producentem a wolnym obywatelem? Ta granica w jakimś stopniu się zaciera. Po pierwsze dlatego, że pewne wartości leżące u podstaw tych dwóch rodzajów wolności są wspólne: odpowiedzialność, dotrzymy-

jęte wolności ekonomiczne mają więc coraz więcej wspólnego z wolnością polityczną.

Związek między nimi, czyli w pewnym sensie związek między wolnością dużą (zwykle kojarzoną z polityką) i wolnościami mniejszymi (sektorowymi), jest silny. To właśnie te wolności mniejsze, codzienne, prowadzą do zakorzenienia wolności wielkiej. Zauważmy, że idea wolności zawsze była bliska Polakom. Ale właśnie: idea, oparta na wielkich wartościach. Kiedy budowano podstawy ładu



wanie zobowiązań, szacunek dla prawa. Po drugie konsumpcja coraz częściej dotyczy sfery dóbr o charakterze niematerialnym, mianowicie dostępu do edukacji, zdrowia, kultury – generalnie do wielu dóbr o charakterze „społecznym”, co staje się coraz ważniejsze po dojściu do pewnego poziomu rozwoju. Dziś nie kojarzymy protestów z górnikami palącymi opony. Teraz to raczej inne sfery, z ich niedoinwestowaniem, stają się zarzewiem konfliktów – protest nauczycieli ukazał to wyraźnie. Szeroko po-

demokratycznego na początku mijającego 30-lecia, wolność popieraliśmy głównie ze względu na wartości i mniej lub bardziej mgliste wyobrażenia o Zachodzie, który te wartości realizował. Nie dostrzegano wówczas związku tych wartości z codziennymi społecznymi interesami. I właśnie w owym 30-leciu zachodzi powolny proces uczenia się, jak wielka wolność oparta na wartościach przechodzi powoli do sfery interesów. Zaczęły pojawiać się grupy tworzące załączki klasy średniej, często mitologizowanej.

A to klasa, która do realizacji swych interesów, często przyziemnych, potrzebuje wolności. Potrzebuje systemu transparentnego, wolnego od korupcji, opartego na przewidywalnych i demokratycznie kontrolowanych instytucjach. Wreszcie potrzebuje rządów prawa, które są jedną z gwarancji wolności. W skład tej szeroko pojętej klasy weszły także grupy wyspecjalizowanych profesjonalistów, w tym przedstawiciele zawodów kreatywnych. Dla nich wolność to tlen. Bez niej nie istnieją.

*

Wten sposób budowano strukturalne podstawy wolności. Zakorzeniała się ona, znajdując oparcie już nie tylko w wartościach, ale i w interesach. Polacy zaczęli ją popierać nie tylko dlatego, że tak wypada, ale i dlatego, że to się opłaca. I nic w tym złego. W ten sposób urosło całe nowe pokolenie. W socjologii zakłada się, że okres około 30 lat to czas „życia” pokolenia, w rozumieniu społecznym, a nie biologicznym. W Polsce mamy do czynienia z „pokoleniem '89”, czyli ze sporą grupą ludzi, dla których doświadczenie zmian po 1989 r. miało charakter formacyjny. To przecież ci wszyscy, którzy w owym roku mieli między 18 a 40 lat, a dziś mają między 48 a 70 lat i stanowią sporą część populacji. Granice wieku, które wyznaczyłem, są arbitralne i raczej zawężające. Nie wszyscy są entuzjastami nowego ładu – wiele jest krytyki, na jej fali też zapewne dokonała się zmiana rządów w 2015 r., będąca notabene czymś więcej niż tylko zmianą władzy, do czego wrócę dalej. Ale już zapewne w mniejszości są ci, którzy chcieliby powrotu do czasów wolności mocno ograniczonej. I to rządzący powinni brać pod uwagę.

Jest bowiem kilka czynników, które wpływały i wpływają na silniejsze ukorzenienie dążenia do wolności. To czynniki o charakterze strukturalnym, które działają głębiej i w dłuższym okresie. Ale też w Polsce nawet tzw. długie trwanie przyspiesza, jest krótsze niż zwykle – nie obejmie już kilku pokoleń, może wystarczyć jedno. Takie są efekty radykalnej zmiany ustrojowej, która wiele procesów przyspieszyła. Pierwszym z tych czynników strukturalnych jest niewątpliwie wzrost zamożności społeczeństwa. Mimo istniejącej jeszcze biedy, mimo nierówności (co do jej parametrów trwają spory) sytuacja materialna Polaków jest na pewno lepsza niż dawniej. Drugim czynnikiem strukturalnym jest wzrost wykształcenia. I znów: mimo często uzasadnionych narzeków na jego jakość wzrost odsetka osób z wyższym wykształceniem z ok. 7 proc. do ponad 20 proc. w ciągu mniej więcej 30-lecia to zmiana wręcz cywilizacyjna. Kolejny czynnik

to rosnąca sekularyzacja społeczeństwa. Polska to wciąż jeden z bardziej katolickich krajów w Europie, ale już uczestniczenie w praktykach religijnych w instytucjonalnym Kościele maleje. Podobnie jak przyzwolenie na odgrywanie przezeń dużej roli w życiu publicznym, co na pewno nie jest bez związku z nieumiejętnością radzenia sobie Kościoła (nie tylko zresztą polskiego) z różnymi skandalami. I wreszcie czynnik ostatni: wciąż bardzo silna orientacja proeuropejska Polaków – w skali całej Europy jesteśmy w wąskiej grupie liderów. I nie zmienia tego faktu wzbudzana ostatnio niechęć do euro czy wstrzemięźliwość społeczeństwa wobec pewnych konkretnych europejskich rozwiązań. Wedle niedawnych badań CBOS coraz więcej Polaków czuje się zarówno Europejczykami, jak i Polakami (52 proc.); mniej jest osób czujących się tylko Polakami (44 proc.) i takie poczucie jest coraz rzadsze. To znacząca ewolucja poczucia tożsamości, którą też rządzący powinni brać pod uwagę.

I właśnie te cztery czynniki działające razem: poprawa sytuacji materialnej, wzrost wykształcenia, sekularyzacja i proeuropejskość tworzą moim zdaniem owe strukturalne warunki dla zakorzeniania się wolności, opierania jej nie tylko na wartościach, ale też na codziennych interesach.

*

Zakorzenianie się idei wolności w wolnościach codziennych nie oznacza, że wartości przestają być ważne. One pojawiają się w momentach szczególnych. Zwykle to momenty mobilizacji społecznej, np. w czasie zbiorowych protestów. Mieliśmy i mamy z nimi do czynienia. Nawet w ostatnim proteście

nauczycieli, obok wypowiedzi o podwyżkach, jednym z najczęściej słyszanych słów było słowo „godność”. Zatem wielkie idee nie znikają. Protesty Polaków przeciw ograniczaniu wolności sądów mogły się wcześniej wydawać abstrakcją. Okazało się, że ta „abstrakcja” potrafi gromadzić tłumy i mobilizować ludzi, nie tylko w wielkich miastach. Jednak broniono również wartości bardzo konkretnej – z badań CBOS wynika, że choć osobisty kontakt z sądami w ciągu ostatnich kilku lat miało wciąż nieco ponad 20 proc. Polaków, to jednak odsetek ten stale rośnie. I będzie rósł, bo w pluralistycznym społeczeństwie krzyżujących się interesów coraz częściej spory między ludźmi, a także między ludźmi i instytucjami będą rozstrzygane przez sądy. Wszak skoro są gwarancją wolności, to taka jest kolej rzeczy.

Zatem zasadnicze znaczenie mają rządy prawa. Prawo i jego niezależne organy są przecież właśnie instytucjami pośredniczącymi między ową wielką ideą wolności a jej codziennymi przejawami. Przypomnijmy sobie serie niedawnych „czarnych protestów”

Zasadnicze znaczenie
mają rządy prawa.
Prawo i jego
niezależne organy
są instytucjami
pośredniczącymi
między wielką
ideą wolności
a jej codziennymi
przejawami.

– w nich w modelowy wręcz sposób ukazywał się związek wielkiej idei (wolność) z własnym życiem, z decyzjami osobistymi. Protesty te też dotyczyły prawa, mianowicie planów jego zaostreżenia. Być może również z tego powodu owe protesty były tak masowe i po raz pierwszy tak wyraźnie wykroczyły poza wielkie miasta, co chyba mocno zaniepokoiło rządzących. To już nie tylko sprawa grup inteligentów z dużych miast – to sprawa wielu osób, głównie kobiet (choć nie tylko one protestowały), sprawa, która dobitnie pokazywała, jak rozwiązania ograniczające dużą wolność wpływają na codzienne życie ludzi. Moim zdaniem ten protest był jednym z punktów zwrotnych zakorzeniających znaczenie wolności i pokazujących, jak splatają się wartości i życie codzienne.

*

Czy wolności – ta wielka i te mniejsze – powinny być nieograniczone? Oczywiście, że nie. We współczesnej cywilizacji, w krajach demokratycznych ludzie zgadzają się na pewne ograniczenia wolności. Po to, aby zapewnić spójność ładu społecznego i przewidywalność zachowań. Prawo jest niczym innym jak jednym z takich ograniczeń, które jednak powstało w demokratycznym procesie. To wolni ludzie decydują o tym, ile wolności można ograniczyć i jakimi sposobami. Mówię oczywiście o rozwiązaniu modelowym, nie rozwijam kwestii ograniczeń wolności wynikających z patologii, np. z nietetycznych działań wielkich korporacji wspomaganych nowymi technologiami informacyjnymi. A przede wszystkim nie wspominam tu o ograniczeniach wolności płynących z niedemokratycznego charakteru danego systemu politycznego. Wtedy bowiem ograniczenia nie są dobrowolne, lecz narzucone.

I to jest właśnie ważne dla zrozumienia naszej dzisiejszej sytuacji, 30 lat po symbolicznym początku zmiany systemowej, za jaki uznaje się rozmowy Okrągłego Stołu. Starałem się tu argumentować, że okres ten powoli doprowadzał do powstania pokolenia wolności, pokolenia, dla którego życie w procesie jej budowania i krzepnięcia stawało się, po pierwszym szoku transformacyjnym, czymś coraz bardziej zwyczajnym. Dziś wolność jest dla Polaków czymś naturalnym. Wspomniane wcześniej cztery czynniki powodujące poważne zmiany strukturalne mocno ją zakorzeniły. A czym w istocie jest ten proces zakorzenia? Niczym innym jak silnym wiązaniem wolności dużej i małej, odświeżonej i codziennej. Przez ostatnie 30 lat nauczyliśmy się wolności poprzez to, że sami ją współtworzyliśmy. I myliłby się bardzo ktoś, kto sądziłby, że skoro Polacy dość słabo interesują się polityką, nie zawsze uczestniczą w wyborach, to znaczy, że wolność nie jest

dla nich priorytetem, że można przy niej manipulować, a jeśli dodatkowo sygnalizuje się groźbę na różne socjalne benefity, to można być spokojnym o swoją polityczną przyszłość. To już tak nie działa. Po pierwsze dlatego, że wolność to nie tylko polityka. A po drugie dlatego, że ostatnie trzy lata to proces jeszcze bardziej intensywnego uczenia się, jak wielka idea wolności może dotyczyć życia każdego z nas. To właśnie pokazały protesty w obronie praworządności. Za nami wielka trzyletnia lekcja poczucia obywatelskości.

Mówi się niekiedy, że w Polsce rośnie orientacja konserwatywna, że liberalizm jest w odwrocie. Liberalizm jest w ogóle chłopcem do bicia w wielu miejscach świata. Owszem, niektórzy jego ideolodzy mają co nieco za uszami. Ale polski liberalizm to wciąż nie do końca spełniona obietnica, a nie zużyte narzędzie, jak może się – chyba nieco na wyrost – wydawać

w tzw. rozwiniętych krajach Zachodu. I dlatego jeśli przez liberalizm rozumiemy (w bardzo uproszczony sposób) wagę wolności, w tym wagę wolności jednostek, także mniejszości, a nie tylko większości arytmetycznych, to stawiałbym hipotezę, że Polacy są większymi liberałami, niż im samym i wielu obserwatorom się wydaje. Mogą nawet w swych deklaracjach niekiedy brzmieć konserwatywnie, ale często działają liberalnie. I tu doświadczenie rynku i innych niezależnych instytucji jest nie do przecenienia. Być może więc niektórzy nasi obywatele przypominają tego Molierowskiego bohatera, który nie wiedział, że mówi prozą, ale działają często tak, jakby wspierali liberalizm.

Liberalizm kraju, który wciąż jest na dorobku.

Poza tym w moim przekonaniu zaczyna rosnąć grupa ludzi świadomych, że „mówią prozą”, że wartości liberalne czy generalnie prowolnościowe są ważne. To właśnie efekt pewnego wzmocnienia obywatelskiego, którego jesteśmy świadkami w ciągu ostatnich trzech lat, a także wynik protestów i różnych form aktywności, również w mediach społecznościowych, podczas których ludzie coraz bardziej uświadamiają sobie związek wolności z ich życiem codziennym. Owo wzmoczenie na razie jeszcze dość słabo przekłada się na politykę, ale to się może zmienić. Równolegle trwają wspomniane wcześniej głębsze procesy strukturalne, które działają w tym samym kierunku, zakorzeniając wagę wolności. A jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w Polsce nawet „długie trwanie” zdaje się przyspieszać, może się okazać, że stoimy w obliczu kolejnych zmian.

¹ W wypowiedzi wykorzystuję wyniki swych wcześniejszych prac i przedstawiam ich skrócone omówienie.

Polska będzie krajem normalnym



O NATO, Rosji i napięciach społecznych w Polsce z prof. **Adamem Danielem Rotfeldem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: 20 lat temu wstępowaliśmy do NATO, a dzisiaj mówi się o kryzysie euroatlantyckiej koncepcji obrony. Czy takie wątpliwości są uzasadnione?

Adam Daniel Rotfeld: I tak, i nie. NATO ma charakter nie tylko obronny, jest to sojusz polityczno-wojskowy. Został podpisany w Waszyngtonie w 1949 r. Większość z 14 artykułów dotyczy wartości i zasad. Innymi słowy, członków tego sojuszu wiążą nie tylko interesy natury czysto wojskowej, ale wspólnota ideowa – wspólna aksjologia demokratycznych społeczeństw. Kryzys wspólnoty transatlantyckiej wynika z sytuacji wewnętrznej państw członkowskich, a nie z relacji między tymi państwami.



© KAMIL BROSZKO/BROZKO.COM

Adam Daniel Rotfeld (ur. 4 marca 1938 r.

w Przemyślanach) – badacz stosunków międzynarodowych, profesor nauk humanistycznych, minister spraw zagranicznych w rządzie Marka Belki. W latach 1991–2002 był dyrektorem Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI). W latach 1992–1993 osobisty przedstawiciel przewodniczącego KBWE ds. politycznego rozwiązania konfliktu w Naddniestrzu. W 2000 r. mianowany przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W 2006 r. powołany przez sekretarza generalnego ONZ na członka, a w 2008 r. na przewodniczącego Kolegium Doradczego Sekretarza Generalnego ONZ do spraw Rozbrojenia. W styczniu 2008 r. mianowany współprzewodniczącym Polsko-Rosyjskiej Grupy do spraw Trudnych. W sierpniu 2009 r. sekretarz generalny NATO powołał go w skład Grupy Ekspertów NATO mającej przygotować nową koncepcję strategiczną Sojuszu (tzw. grupa mędrców). W latach 2006–2017 wykładał na różnych uczelniach: w Collegium Civitas, Kolegium Europejskim w Natolinie, Akademii Dyplomatycznej MSZ; prowadził też wykłady na uniwersytetach w Austrii, Japonii, Niemczech, Rosji, Szwecji i USA. Wyróżniony doktoratami honoris causa przez UMCS w Lublinie (2013 r.) i Akademię Obrony Narodowej w Rembertowie (2012 r.). Jest członkiem rady European Leadership Network (ELN), Aspen Ministers Forum oraz Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych (ECFR). Autor ponad 450 publikacji naukowych, w tym ponad 20 książek. Trzy z jego monografii uzyskały nagrody prezesa Polskiej Akademii Nauk, Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i ministra spraw zagranicznych. Jest członkiem Komitetu Nauk Politycznych PAN. Pracuje na Wydziale „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego.

KB: Co przede wszystkim decyduje o wyjątkowości Sojuszu Północnoatlantyckiego?

ADR: To, że głównym jego celem jest obrona wolności i bezpieczeństwa demokratycznych państw. Z reguły relacje między państwami są determinowane przez trzy elementy: potencjały państw, ich interesy oraz system wartości, którymi kierują się we wzajemnych stosunkach. Kluczowy artykuł 5. Sojuszu Północnoatlantyckiego wyraża filozofię polityczną: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Bez wspólnoty zasad i wartości Sojusz mógłby łatwo ulec rozpadowi. Oczywiście wewnątrz poszczególnych państw NATO nie wszystko i nie zawsze funkcjonuje idealnie. Był na przykład okres, kiedy

w Grecji rządy przejęli tzw. czarni pułkownicy, którzy zdeptali swobody obywatelskie i prawa człowieka oraz zasady państwa prawa. To, że Grecja należała do NATO, sprawiło, że rządy niedemokratyczne trwały tam znacznie krócej, nie były w stanie się utrzymać przez dłuższy czas.

Demokratyczne państwa Europy oraz USA i Kanada utworzyły w postaci NATO najpotężniejszy i najbardziej skuteczny sojusz w historii świata. Sojusz ten zapewnia obronę i odstrasza potencjalnych agresorów zewnętrznych; oczywiście zakłada też, że nie dojdzie do konfliktu między jego członkami. Przywołam przykład Grecji raz jeszcze: poważne napięcia między Turcją a Grecją z całą pewnością

doprowadziłyby do konfliktu zbrojnego, gdyby te państwa nie były członkami Sojuszu. Inny przykład: Węgry od 100 lat mają poczucie krzywdy, ponieważ traktat z Trianon (4 czerwca 1920 r.) uznał je za sukcesora pokonanych w I wojnie światowej Austro-Węgier. Na mocy decyzji Ententy utraciły one ponad 70 proc. terytorium i niemal 30 proc. obywateli znalazło się poza Węgrami – w państwach z nimi graniczących. W efekcie Węgry mają na tym tle problemy z Rumunią, Słowacją, Ukrainą i Wojwodiną, czyli państwami, w których mieszka mniejszość węgierska. Przynależność Węgier i ich sąsiadów do Sojuszu sprzyja łagodzeniu napięć i poszukiwaniu politycznych rozwiązań.

Sojusz implikuje też demokratyczne normy zachowania między państwami członkowskimi, co w praktyce oznacza, że decyzje w NATO zapadają nie w wyniku głosowania, ale negocjowania stanowisk i podejmowania decyzji na podstawie konsensusu. Nawet państwa, które deklarują politykę neutralności, jak Szwecja i Finlandia, czy wiecześnie neutralne Austria i Szwajcaria utrzymują robocze partnerskie stosunki z Sojuszem. Liczą bowiem na to, że w przypadku zagrożenia ich bezpieczeństwa NATO udzieli im pomocy w obronie niepodległości. Dlatego dostosowują swoje potencjały obronne do obowiązujących w NATO kryteriów i norm.

KB: Opinia publiczna chce myśleć o NATO w kategoriach stałości, niezmienności. Czy to w ogóle możliwe?

ADR: W życiu człowieka osiągnięcie wieku 70 lat oznacza, że czas na emeryturę. W życiu sojuszu obronnego rzeczy mają się inaczej. Przecież świat się zmienia. Narzuca to potrzebę, a nawet konieczność, dostosowania się do nowej sytuacji wojskowo-politycznej. Lord Ismay, pierwszy sekretarz generalny NATO, określił sens istnienia Sojuszu w sposób bardzo lapidarny: „Utrzymać Rosjan z daleka, Amerykanów przy sobie, a Niemców pod kontrolą”. W przeszłości Sojusz miał odstraszać Związek Radziecki i przeciwdziałać jego ekspansjonizmowi. Pamiętajmy, że sama ideologia komunizmu zakładała opanowanie najpierw Europy, a następnie całego świata. Taka była idea za czasów Lenina, Trockiego i Stalina. Po śmierci Stalina dla Chruszczowa i jego następców było oczywiste, że w razie konfliktu jądrowego ZSRR byłby skazany na klęskę, jakkolwiek produkował coraz więcej rakiet i broni jądrowej. Zawarty 14 maja 1955 r. Układ Warszawski z formalnego punktu widzenia był odpowiedzią na przystąpienie Niemiec Zachodnich do NATO. Zgodnie z propagandą uznawano go za „tarczę obronną przeciwko zagrożeniom militarystom i odwetem ze strony zachodnich Niemiec”.

Był to czas, gdy dwa państwa narodu niemieckiego – NRD i RFN – stanowiły pod każdym względem odbicie istoty różnych systemowych: w NRD panował totalitaryzm, zaś w RFN – ustrój

demokratyczny. ZSRR, NRD i inne państwa Układu Warszawskiego reprezentowały w praktyce system „zinstytucjonalizowanej nieskuteczności”, złą organizację, zacofanie, policyjny sposób zarządzania społeczeństwem. Przecież Związek Radziecki upadł głównie pod ciężarem własnych zbrojeń, niewydolności gospodarczej, bezprawia, zdeptania praw i godności człowieka oraz swobód obywatelskich. Gorbaczow, gdy doszedł do władzy, podpisał traktat o redukcji zbrojeń, aby zwolnić moce przemysłu na potrzeby gospodarki. Jego hasło brzmiało: „Przekujmy miecze na lemiesz”.

KB: Czy powinniśmy obawiać się popularnego w obecnej administracji USA zwrotu polegającego na rewidowaniu samej zasadności Sojuszu?

ADR: O żywotności NATO świadczy zainteresowanie przystąpieniem ze strony państw, które do niego nie należą, choćby Ukrainy i Gruzji, ale nie tylko. Sojusz ulega stałej transformacji. Krytyka NATO w Stanach Zjednoczonych nie jest związana ze złą strukturą Sojuszu albo niewłaściwą strategią. Silny jest tam trend proklamowanej przez prezydenta Trumpa koncepcji to

make America great again i stopniowego odchodzenia od multilateralizmu. Jej realizacja miałaby uwolnić USA od zobowiązań wobec innych państw i umożliwić podejmowanie decyzji, które brałyby pod uwagę głównie ich własne interesy. Europa – uważa Donald Trump – jest na tyle bogata, że powinna w większej mierze partycypować w kosztach obrony; nie powinny one obciążać głównie amerykańskich podatników. Składka członkowska na poziomie 2 proc. PKB to nie są wygórowane oczekiwania. Gdyby Polska nie była członkiem Sojuszu, musiałabyłożyć na swoją obronność znacznie więcej. Dotyczy to wszystkich państw. Jednak owa demokratyczna wspólnota opiera się na wzajemnym

poszanowaniu nie tylko ze względu na potencjał, jakim dysponuje dane państwo, ale także na system wspólnych wartości. Sojusz zapewnia wszystkim członkom trwałe poczucie pewności, bezpieczeństwa i solidarności. To sprawia, że obywatele żyją w poczuciu wolności i godności, bez strachu decydują o losie swoim i rodziny.

KB: Co to znaczy w praktyce?

ADR: Kiedy młodego studenta z Ameryki zapytano w ZSRR, co ma zamiar robić po studiach, odpowiedział, że jeszcze nie wie, ale podejmie decyzję, gdy je skończy. Następnie on sam zapytał radzieckiego rozmówcę, co ten będzie robił po studiach. Odpowiedź brzmiała: „Nie wiem jeszcze, gdzie mnie posła”. Ta rozmowa najlepiej oddaje rozumienie wolności obywatelskiej w kraju demokratycznym i autorytarnym. W ZSRR dysydentów

Demokratyczne państwa Europy oraz USA i Kanada utworzyły w postaci NATO najpotężniejszy i najbardziej skuteczny sojusz w historii świata.

było niewielu, ale stanowili oni „drożdże wolności”. Poezja Wysockiego czy Okudżawy miała większą siłę duchową i moralną niż potęgą państwa. Rozsadzała od wewnątrz monopartyjny monolit władzy.

KB: Nie wszyscy członkowie NATO stoją wobec identycznych wyzwań i zagrożeń.

ADR: Sojusz NATO opiera się na solidarności wszystkich członków. Jednak priorytety państw południa Europy, np. Włoch, Grecji, Hiszpanii i Portugalii, mających problem z uchodźcami z Afryki Północnej, są inne niż państw bałtyckich, Polski czy pozostałych krajów Europy Środkowej. Priorytetem państw Europy Południowej jest pomoc krajom Afryki Północnej, aby same mogły rozwiązywać swoje problemy. Polaków natomiast niepokoi głównie ekspansjonistyczna polityka Rosji, która w swej strategii powróciła do imperialnych korzeni. Mocarstwa imperialne mają niejako genetycznie zakodowaną potrzebę ekspansji. Rosja rozpoczęła wojnę na Ukrainie czy w Gruzji nie tylko po to, aby podporządkować sobie te kraje, ale też by konsolidować własne społeczeństwo. Mogła ułożyć swoje relacje z Ukrainą na zasadach wzajemnego respektowania integralności i suwerenności terytorialnej z poszanowaniem różnic interesów, do czego zresztą zobowiązała się w memorandum podpisanym w Budapeszcie w grudniu 1994 r. Jednak po inkorporacji Krymu Rosja wsparła secesję w Ługańsku i Doniecku po to, by destabilizować i uzależnić od siebie całą Ukrainę.

Fakt, że Polska i państwa bałtyckie oraz inne kraje Europy Środkowej nie stały się celem agresji, zawdzięczamy członkostwu w Pakcie Północnoatlantyckim, który jest gwarantem wolności wszystkich państw należących do Sojuszu.

KB: Czy zaniechanie Europy w łoeniu na obronność było wynikiem romantycznego przekonania, że zakończyła się doba wojen, czy jest to konsekwencja faktu, że świat – zgodnie z duchem liberalizmu – nadał priorytet rozwojowi gospodarczemu?

ADR: Państwa demokratycznego Zachodu po II wojnie światowej były zdeterminowane w realizacji wspólnego celu: należało zrobić wszystko, by już nigdy nie doszło w Europie do kolejnej wojny. Społeczeństwa i ich elity polityczne kierowały się idealistyczną wizją, że zrodzony w czasie wojny z hitleryzmem sojusz ze Związkiem Radzieckim przetrwa również w czasach pokoju. George Kennan, zastępca ambasadora USA w Moskwie, jako pierwszy zakwestionował takie rozumienie nowej rzeczywistości. W lutym 1946 r. wysłał do Departamentu Stanu tzw. długą depeszę. Zawierała ona realistyczną ocenę sytuacji, a jej konkluzją był

postulat rewizji dotychczasowej polityki USA wobec ZSRR. Kennan proponował obranie strategii powstrzymywania stalinowskiej Rosji. Jego spostrzeżenia były zbieżne z przemyśleniami, które przedstawił w marcu 1946 r. Winston Churchill. Podczas ceremonii nadania mu tytułu doktora honoris causa przez Westminster College w Fulton (USA) Churchill powiedział: „Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem zapadła żelazna kurtyna i nie możemy patrzeć na to biernie. Stało się to, czego nie chcieliśmy, ale się stało”. Na początku 1947 r. administracja Trumana przyjęła nową doktrynę amerykańskiej polityki zagranicznej. Były to czasy, gdy niemal cała Europa była w ruinie, a jej gospodarki – doszczętnie zniszczone. Amerykański plan Marshalla miał sprzyjać gospodarczej odbudowie Europy. Miał też zapobiec temu, by nie powtórzyła się sytuacja, jaka miała miejsce po klęsce Niemiec w rezultacie I wojny światowej. Wtedy to poniżone, wyczerpane i sfrustrowane Niemcy powierzyły władzę Hitlerowi i jego nazistowskiej partii. Ich zbrodnicza polityka odwetu doprowadziła do II wojny światowej. Plan Marshalla oznaczał, że historia się nie powtórzy. Stany Zjednoczone wzięły Europę pod swój parasol obronny. Niemcy skupiły się na odbudowie gospodarczej kraju.

W efekcie po niespełna 20 latach Franz Josef Strauss, wicekanclerz i minister obrony RFN, oświadczył: „Jesteśmy olbrzymem ekonomicznym i karłem politycznym”. Niemcy odzyskały politykę mocarstwa europejskiego bez broni jądrowej, a Bundeswehra została całkowicie wkomponowana w sojusz NATO.

Dziś Francja, choć słabsza od Niemiec pod względem gospodarczym i demograficznym, jest silniejsza pod względem militarnym. Silne powiązania obu tych państw wewnątrz Unii Europejskiej stawiają na porządku dziennym potrzebę nowego ułożenia relacji między NATO a Unią Europejską. Upadek ZSRR i rozwiązanie Układu Warszawskiego mogły być punktem wyjścia do budowy nowego typu

stosunków między Zachodem a Rosją. W tym przekonaniu utwierdzał zachodnich partnerów prezydent Jelcyń, który początkowo stawiał na współpracę ze Stanami Zjednoczonymi i demokratycznym Zachodem. Oczekiwano, że pokojowa transformacja przyniesie „dywidendę pokojową”, której częścią składową będzie długotrwały pokój w Europie i na świecie. Jednak kilka lat po dojściu do władzy Władimira Putina stało się jasne, że są to złudzenia. Celem Rosji było i pozostaje rozbijanie jedności Zachodu, osłabianie NATO i dezintegracja Unii Europejskiej. Początkowo wysyłane sygnały, że Putin rozważa przystąpienie Rosji do NATO, były niczym innym jak próbą rozsądzenia Sojuszu od wewnątrz. Teza rosyjskiej polityki sprowadzała się do rozumowania, że skoro rozwiązany został Układ Warszawski, to nadszedł czas na zaprzestanie funkcjonowania NATO. Dzisiejsza Rosja nawiązuje do imperium Romanowów, obrała strategię nie tyle

Celem Rosji było i pozostaje rozbijanie jedności Zachodu, osłabianie NATO i dezintegracja Unii Europejskiej.



odstraszenia, co zastraszania. Stało się jasne, że Rosja pryncypialnie nie akceptuje uniwersalnych wartości rozwoju kraju demokratycznego, a w polityce zagranicznej dąży do ekspansji i uzależniania swoich sąsiadów. Opowiada się za powrotem do koncepcji stref wpływów. Obrala strategię antyamerykanizmu i zmierza do tego, by razem z Chinami stworzyć globalny front antyzachodni. W tych nowych uwarunkowaniach wzmocnienie NATO w Europie staje się egzystencjalną koniecznością. Polska jako jeden z głównych partnerów USA w Europie Środkowej – i wobec przemian w sferze obronności w Unii – ma do odegrania znaczącą rolę w zachodzącym procesie transformacji Sojuszu i ułożeniu stosunków NATO z Unią Europejską.

KB: Powiedział pan wcześniej, że w Związku Radzieckim stworzono system zinstytucjonalizowanej nieskuteczności. Jak zatem wyjaśnić, że udało się – zaledwie po 30 latach – uczynić go znów skutecznym?

ADR: Dobre pytanie. Kilka lat temu słowem wytrychem w Rosji była „modernizacja”. Pojawiało się niemal w każdym wystąpieniu Putina i Miedwiediewa – niezależnie od tego, czy pełnili funkcję premiera, czy prezydenta. Modernizacja nie powiodła się, natomiast zastąpiła ją militaryzacja. W tej dziedzinie Rosjanie mają doświadczenie. Od czasów Stalina w ZSRR zmilitaryzowane były nawet fabryki cukierków i czekolady. Do sklepów dla ludności rzucano jedynie nadwyżki produkcji przeznaczonej dla armii. Rosja ma największy na świecie zasób strategicznych surowców naturalnych, w tym gazu, ropy naftowej i metali rzadkich. Dodajmy, że w kilka lat po dojściu Putina do władzy cena baryłki ropy na rynkach światowych wzrosła dziesięciokrotnie. Zdawało się, że warunki do reform są optymalne, mimo to reformy gospodarcze nie powiodły się. W procesie podejmowania decyzji górę wzięły resorty siłowe. Odbudowano armię, służby specjalne i policję. Warto odnotować, że nigdy w historii służby specjalne w Rosji nie miały takiej władzy na wszystkich szczeblach, jak pod rządami obecnego prezydenta. W Związku Radzieckim władzę sprawowała partia, a wszystkie służby były jej podporządkowane. Dziś jest inaczej. Wystarczy przeczytać biogramy szefów banków czy wielkich państwowych korporacji. Kadry te wywodzą się ze służb specjalnych. Rosja nie dokonała skoku w rozwoju gospodarczym, mimo sprzyjających okoliczności. Obrala inną drogę – rozwoju państwa autorytarnego, w którym nikt, z wyjątkiem prezydenta i służb specjalnych, nie ma kontroli nad tymi, którzy sprawują władzę.

KB: Mimo to Rosja trwa, ba, lansuje nawet wizerunek, wedle którego działa jak świetnie naoliwiona maszyna.

Nigdy w historii
służby specjalne
w Rosji nie miały
tak wielkiej władzy
na wszystkich
szczeblach, jak pod
rządami obecnego
prezydenta.

ADR: Po locie w kosmos Jurija Gagarina popularna była taka anegdota: Nikita Chruszczow postanowił dla celów propagandowych zorganizować rozmowę Gagarina w kosmosie z matką mieszkającą na wsi koło Uralu. Gagarin w czasie lotu mówi: „Mamo, przelatuję nad Kalifornią, a teraz nad Japonią. Czy może czegoś potrzebujesz? Czy coś ci przywieźć z tej podróży?”. Na co matka prosi: „Synu, gdybyś zobaczył gdzieś knot do lampy nr 5 – nigdzie nie mogę tu kupić”. Ten żart oddawał paradoksalne sedno sprawy. ZSRR wysłała w kosmos raketę z człowiekiem na pokładzie, a jednocześnie nie jest w stanie zakończyć procesu elektryfikacji kraju i sprostać elementarnym potrzebom obywateli. Taki stan rzeczy trwa. Z perspektywy zwykłego Rosjanina system funkcjonuje jako tako w trzech miastach: w Moskwie, Sankt Petersburgu i – częściowo – w Kazaniu. Dla potrzeb militarnych państwo potrafi napiąć mięśnie, np. zbudować największy na świecie most podwieszany, z Władywostoku na Wyspę Rosyjską, aby zorganizować szczyt państw APEC; na wyspie wybudowano piękne rezydencje dla zagranicznych delegacji. Po zakończeniu szczytu cała ta inwestycja stała się wyzwaniem dla miejscowych władz: jak wykorzystać tak kosztowne konstrukcje? Podobnie było z olimpiadą w Soczi. To są sytuacje niezwykłe z czasów carskiej Rosji, by przywołać choćby przykład wiosek potiomkinowskich. Gubernator Nowej Rosji Grigorij Potiomkin zmontował kilka dekoracyjnych wiosek i rozstawiał je wzdłuż rzeki Dniepr, aby pokazać cesarzowej Katarzynie II sukcesy kolonizacji prowincji odebranej Turkom osmańskim.

KB: Czy Rosjanie tego nie widzą?

ADR: Widzą. Nawet w otoczeniu prezydenta są tacy ludzie. Choćby Aleksiej Kudrin, który dwukrotnie został wyróżniony przez Bank Światowy tytułem najlepszego na świecie ministra finansów. Wielokrotnie postulował konieczność fundamentalnej reformy. Zamiast wydatków na zbrojenia proponował, by inwestować w infrastrukturę. Pełni dziś funkcję szefa Rosyjskiej Izby Obrachunkowej, która nie ma żadnej mocy sprawczej. Podobnie rzecz się miała z innym zwolennikiem reform, byłym ministrem rozwoju ekonomicznego Germanem Grefem, który teraz jest prezesem Sberbanku. Rosja ma różne tradycje, w tym reform odgórných, nie rewolucyjnych, ale konserwatywnych. I tak na przykład za ostatniego cara, Mikołaja II, największym reformatorem był Piotr Stołypin, który chciał Rosję modernizować i upodobnić ekonomicznie do wysokorozwiniętych państw Europy i Ameryki Północnej. Był reformatorem o poglądach skrajnie prawicowych. To za jego czasów imperium carskie było pełne szubienic, a pętle nazywano „krawatami Stołypina”. W ten sposób tłumiono bunt i protesty społeczne. Postać Stołypina jest często dziś przywoływana w Rosji, stawia się mu pomniki. Nie-

wykluczone, że Rosja może wejść na „suwerenną” drogę reform i modernizacji, ale w stylu Stołypina, czyli knutem i butem. Warto przy tym pamiętać, że kraj ten ma wielki kapitał ludzki – wybitne talenty, uzdolnionych matematyków i informatyków, fizyków teoretycznych i jądrowych, którzy działają w wyizolowanych centrach pod nadzorem służb specjalnych. Na przykład władze radzieckie powołały w Nowosybirsku specjalny oddział Akademii Nauk dla potrzeb nowoczesnych badań, który miał osiągnięcia na poziomie światowym. Ale mieszkańcy nie mogli opuszczać miasta, które – nawiasem mówiąc – nie miało dróg dojazdowych. Podobnie było z Magistralą Bajkalsko-Amurską (BAM), której budowa miała być wzorowana na funkcjonującej od XIX w. po dziś dzień Kolei Transsyberyjskiej. Poprowadzono ją 800 km na północ powyżej Kolei Transsyberyjskiej jako alternatywne połączenie. Zignorowano wówczas inżynierów, którzy uprzedzali o trudnościach, jakie może napotkać budowa i późniejsza eksploatacja w krainie wiecznej zmarzliny. Tak więc BAM, której budowę ukończono dopiero w 2003 r., nigdy nie funkcjonowała zgodnie z oczekiwaniami.

KB: Czy wielka zmiana rozwojowa w Rosji jest w ogóle możliwa? A jeżeli tak, to czy będzie miała charakter planowej modernizacji, czy raczej będzie dynamiczna, a może nawet dramatyczna?

ADR: Rosja potrzebuje ogromnych inwestycji. Ma powierzchnię ponad 17 mln km kw., a na znacznej części terenów panują trudne warunki klimatyczne. Prowincja rosyjska jest słabo zagospodarowana. Udało się jedynie przekształcenie niektórych kołchozów w wielkie fermy produkujące żywność wzorem ogromnych gospodarstw amerykańskich. W ten sposób zaspokojono podstawowe potrzeby ludności. O rozwoju Rosji nadal decyduje gospodarka centralnie zarządzana. Powstało korupcjogenne środowisko oligarchów, którzy dorobili się wielkich fortun. Nie udało się wypracować skutecznego systemowego podejścia do modernizacji państwa. Wymagałoby to decentralizacji, zaufania do obywateli i wdrożenia mechanizmów rynkowych. Spodziewam się, że takie zmiany kiedyś w Rosji nastąpią, ale jaki przybiorą charakter, tego nikt nie jest w stanie przewidzieć.

KB: A czy spodziewa się pan eskalacji napięć społecznych w Polsce?

ADR: Polska, jak większość państw, traktuje swoje sprawy jako specyficzne, wyjątkowe – jedyne i niepowtarzalne w skali globalnej. Mamy w tej chwili dwie Polski, między którymi jest coraz mniej tkanki łącznej. W 1989 r. nastąpiła fundamentalna zmiana systemu. Przez 25 lat udawało się utrzymywać narodowy konsensus w kluczowych sprawach – był to historyczny dorobek wielomilionowego ruchu Solidarności. Wtedy to przeważająca większość społeczeństwa optowała za państwem prawa, gospodarką rynkową oraz wejściem Polski do NATO i UE. Pamiętam spotkanie, które zorganizował w 2014 r. – po inkorporacji Krymu przez Rosję – premier Tusk. Zaprosił wówczas wszystkich byłych

prezydentów, premierów i przewodniczących partii zasiadających w Sejmie. Uczestniczyłem w tym spotkaniu jako współprzewodniczący Polsko-Rosyjskiej Grupy do spraw Trudnych. Po wystąpieniu premiera Cimoszewicza głos zabrał premier Kaczyński, który powiedział, że nie ma wiele do dodania, bo to, co chciał powiedzieć, już na tej sali zostało powiedziane przez jego przedmówcę. Ta postawa wskazywała, że poczucie odpowiedzialności politycznej uczestników debaty przeważało nad partykularnymi sprawami partyjnymi. Wyszedłem z tego spotkania z przeświadczeniem, że w sprawach egzystencjalnych mamy wspólnotę poglądów, która dla sprawnego rządzenia państwem ma charakter fundamentalny. Niestety od tamtych dni podziały w społeczeństwie i w klasie politycznej gwałtownie się pogłębiły. Tak zresztą dzieje się nie tylko w Polsce, ale też w Hiszpanii, we Włoszech, w Izraelu, na Węgrzech czy też w Stanach Zjednoczonych. Różne są przyczyny tego zjawiska. Wiele obserwatorów uważa, że w różnych krajach znaczna część społeczeństwa czuje się wykluczona i podążając za radykalnymi ugrupowaniami, sądzi, że zostanie usłyszana. Widać to na przykładzie choćby „żółtych kamizelek” we Francji, gdzie element desperacji miesza się z populizmem i nacjonalizmem. W tym sensie sytuacja w Polsce nie jest wyjątkowa, choć podziały społeczne za każdym razem mają inne korzenie i inny jest ich wyraz. Na Węgrzech jest wyraźna różnica między stolicą a prowincją, czego nie obserwujemy w Polsce. Co więcej, w Gdańsku można zauważyć bardziej wyraziste postawy obywatelskie niż w Warszawie. Obserwujemy na przykład narodziny wspólnej myśli samorządów metropolitalnych – podobnie działo się w średniowiecznych miastach hanzeatyckich.

Radykalnie zmieniło się też środowisko międzynarodowe. Jeszcze 10 lat temu nikt by nie pomyślał, że Ameryką może rządzić prezydent, który traktuje swoich współpracowników jak „zderzaki”. Czy można było przewidzieć, że Rosja będzie zdolna przy pomocy technologii informatycznych ingerować w procesy wyborcze na Łotwie, w USA, we Włoszech czy Francji?

Staramy się prognozować wydarzenia na podstawie naszej wiedzy o tym, co wydarzyło się w przeszłości. Taki sposób myślenia – choć popularny – nie daje odpowiedzi na pytania o przyszłość: jakie będą nasze oczekiwania i relacje ze światem? Najbardziej nieprzewidywalny bowiem jest człowiek, jego emocje, samoświadomość. Elity polityczne w Polsce przez ćwierć wieku były tworzone przez ludzi o wysokim poczuciu odpowiedzialności za państwo. Dzisiaj próżno szukać takich osobowości, jak Tadeusz Mazowiecki, Krzysztof Skubiszewski, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Jerzy Turowicz czy Wiesław Chrzanowski. Jestem jednak przekonany, że już rośnie w Polsce nowe pokolenie polityków w rozmaitych, nawet marginalnych ugrupowaniach, którzy będą wykształceni na światowym poziomie, będą ideowi, prospołeczni i dla których prawda i moralność będą równie ważne, jak profesjonalizm i poczucie patriotyzmu. Zatem jestem optymistą i wierzę, że Polska będzie krajem wielkim i normalnym zarazem, zaś nowe pokolenia będą dumne z przeszłości i odpowiedzialne za Polskę swoich marzeń.



Interdyscyplinarnie o wolności

Czy wolność jest naszym prawem, przywilejem, czy zobowiązaniem?
Na tak postawione pytanie odpowiedzieli uczeni i eksperci.

16 kwietnia br. na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego odbyło się seminarium zorganizowane przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”, Katedrę Bankowości, Finansów i Rachunkowości Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Koło Naukowe Negocjacji UW.

W dyskusji uczestniczyli (wymienieni w kolejności alfabetycznej): dr hab. Grzegorz Brona (Wydział Fizyki UW, Creotech Instruments), dr hab. Cecylia Leszczyńska (WNE UW), prof. dr hab. Andrzej Rychard (dyrektor IFiS PAN), prof. dr hab. Krystyna Skarżyńska (kierownik Katedry Psychologii Społecznej SWPS), dr Krzysztof Spirzewski (WNE UW, Societe Generale), dr Olga Wysocka (zastępca dyrektora Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki). Debatę poprowadził prof. dr hab. Krzysztof Opolski, kierownik Katedry Bankowości, Finansów i Rachunkowości WNE UW. Słowo wstępne wygłosił Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”.

Prezentujemy zapis spotkania.



Krzysztof Przybył

o wolności pozytywnej i negatywnej

Chińskie przysłowie „obyś żył w ciekawych czasach” zazwyczaj interpretujemy życzliwie,

ale w zamyśle twórców było to życzenie złośliwe, wręcz rodzaj przekleństwa. Miało zwiastować nagłe zwroty historii, niepokoje społeczne, wojny. Niewątpliwie czasy, które nas czekają, będą ciekawe, mogą też być burzliwe. Pozostaje wierzyć, że ludzie skorzystają na potężnych przemianach i że wygra szeroko pojęty humanizm. Czy w tym nowym świecie będą nam potrzebne fundamenty, na których dawni mędrcy ukonstytuowali istniejący świat? Czy będzie nam potrzebna wolność? I co znaczy to słowo dzisiaj, a co będzie znaczyło jutro? W 1958 r. Isaiah Berlin wygłosił na Uniwersytecie Oksfordzkim wykład inauguracyjny pt. „Dwie koncepcje wolności”. Postawił tezę o istnieniu wolności pozytywnej (wolności do) i wolności negatywnej (wolności od). Na podstawie analizy dziejów wykazał, że owe dwa sposoby konceptualizowania wolności, które początkowo współwystępowały i uzupełniały się, w końcu zaczęły się rozjeżdżać, aż znalazły się na przeciwległych biegunach. Już wówczas, ponad 60 lat temu, Berlin podkreślił, że niebezpieczne jest ograniczanie interpreto-

wania wolności wyłącznie do myślenia w kategoriach wolności pozytywnej. Bo ustroje totalitarne stworzyły z owej pozytywnej wolności fasadę, która uprawomocniała ich istnienie. Dziś znów stajemy wobec ryzyka pomniejszania wagi wolności negatywnej – wolności od przymusu państwa, nieuzasadnionych obciążeń, zanieczyszczonego powietrza, wolności od ingerencji administracji, ale także korporacji w nasze życie prywatne. Wydaje się zatem, że wolność nie tylko wciąż będzie nam niezbędna, ale powinniśmy dążyć do poszerzania jej zakresu. W naszej debacie biorą udział wielkie osobistości świata nauki, eksperci, ale również młode pokolenie, które jest niezmiernie ważne, bowiem to ono zdecyduje o zasadach i porządku przyszłego świata.



Krzysztof Spirzewski **o bankach, pieniądzu i wolności**

Kiedyś w reklamie jednego z banków dziecko na pytanie, skąd mama bierze pieniądze, odpowiedziało, że ze ściany. Czy faktycznie są one dostępne non stop? Czy dają wolność? Niektórzy mawiają, że owszem, ale tylko wtedy, kiedy się ich nie ma, bo pieniądze mogą być kłopotem. Wszyscy wiedzą, jak się je zdobywa: można pójść do pracy, można wstąpić do kasyna lub popełniać czyny niegodziewe, czyli kraść. Jednak bardzo mało osób wie, jak pieniądze, które się posiada, szczególnie znaczne, odpowiednio zainwestować, aby ich nie stracić. Normy związane z funkcjonowaniem banków są tak restrykcyjne, że trudno mówić o wolności w tym sektorze. Najbardziej znane z nich – regulacje z Bazylei, normy dotyczące wysokości kapitału własnego w stosunku do aktywów, konieczność wyliczania ryzyka operacyjnego, które musi się przekładać na odpowiednie wymogi kapitałowe – są nakładane na banki już od lat 70. Niedawno doszły kolejne wymogi formalne, wyrażane groźnie brzmiącymi skrótami: FATCA, MiFID, CRS. Dzisiejsze prawo wymusza na bankach sprawdzenie każdej osoby i każdego podmiotu, które się do nich zgłaszają – słynne KYC (z ang. *know your customer* – poznaj swojego klienta) polega na tym, że nie wolno otworzyć rachunku podmiotowi, którego się nie zna. Wolność jest ograniczona, obłożona szeregiem wymogów formalnych. Na banki narzucane są procedury związane z przeciwdziałaniem praniu pieniędzy (AML, od ang. *anti-money laundering*). Gdy klient, osoba prywatna lub przedsiębiorstwo, zadysponuje pieniędzmi, które ma na koncie, to wcale nie oznacza, że środki zostaną przesłane zgodnie z dyspozycją. Mogą po prostu zostać zatrzymane, na przykład gdy okaże się, że fabryka, do której zostały wysłane, znajduje się zbyt blisko Korei Północnej. Nawet jeśli jest ułożona na 400 km od granicy z Koreą, na terenie Chin, może się okazać, że klient będzie musiał przesłać dodatkowe dokumenty, faktury itp. Zatem wolność w sektorze bankowym jest bardzo ograniczona w związku z normami ostrożnościowymi. Z drugiej strony sektor bankowy korzysta z renty monopolistycznej i tylko on ma prawo przyjmować depozyty i obarczać je ryzykiem. Poza tym w bankach praca jest czysta, to nie wydobywanie węgla albo wypalanie rudy, nie trzeba chodzić w maskach przeciwgazowych czy ubraniach termicznych, jedynie obraca się pieniędzmi. W ramach ciekawostki wspomnę jeszcze, że od nowego roku w Polsce obowiązuje dyrektywa Mandatory Disclosure Rules (MDR). Nakłada na banki, ale także kancelarie prawne i wiele innych instytucji, obowiązek powiadomienia urzędu skarbowego, jeżeli wiedzą, że przedsiębiorstwo stosuje schematy księgowe, które powodują obniżenie podstawy do opodatkowania. W pewnym sensie zostały więc na banki nałożone obowiązki kojarzące się z zadaniami policyjno-prokuratorskimi. To również przykład ograniczenia wolności, które wynika z faktu funkcjonowania w Unii Europejskiej, bo musimy się podporządkować regułom, które ona narzuca.



Olga Wysocka o wolności w sztuce

Wolność rozumiem jako świadome podejmowanie decyzji, a mówiąc konkretnie – jako możliwość wyboru w podejmowaniu tematów do rozważań artystycznych. Wolność w sztuce ma ograniczenia związane z czasem, polityką, mecenasem. Instytucje kultury mają ograniczenia formalne, ale artysta musi mieć wolność wyboru formy i treści. To on sam decyduje, w jaki sposób poprzez swoje prace chce się wypowiedzieć na wybrany temat, jakie myśli i emocje chce wywołać w odbiorcy.

Przywołam dwa przykłady aktualnych wystaw Zachęty. Na wystawie „Wysoco nieprawdopodobne, choć nie niemożliwe” prezentowane są prace Hiwy K, irackiego Kurda, który kilkanaście lat temu jako uchodźca polityczny trafił do Europy, a dziś zaliczany jest do czołówki światowej sztuki. Hiwa znaczy po kurdyjsku ‘nadzieja’. Dla Hiwy K wolność oznacza coś zupełnie innego niż dla nas, bo on nie ma swojego kraju. Cała jego twórczość jest wołaniem o wolność, do której człowiek ma prawo. Wystawę zamyka instalacja, której głównym elementem jest dzwon odlany z łusek po nabojach. Pomyślimy, z ilu łusek po śmiertelnych pociskach został on wykonany, ile serc ludzkich przestało bić w walce o wolność.

Drugim przykładem jest projekt, który będzie reprezentował Polskę na tegorocznym Biennale Sztuki w Wenecji. To 15-metrowa rzeźba Romana Stańczaka pt. „Lot”, stworzona już w latach 90. i przekształcona na potrzeby ekspozycji. Stańczak nicuje przedmioty codziennego użytku, np. czajnik czy wannę. Tym razem na drugą stronę zostanie wyrócony samolot. „Lot” ma siłę symbolu, który może stanowić grunt pod dialog w podzielonym społeczeństwie. To także metafora transformacji, która dokonuje się w ostatnich latach w Polsce i na świecie.

Wolność artysty jest ograniczona miejscem i czasem, w którym on żyje, natomiast ów artysta powinien mieć zagwarantowaną wolność sumienia i działania. Mam nadzieję, że będzie nam dane jak najdłużej żyć w czasach, które pozwolą na nieskrępowaną wypowiedź artystów.



Cecylia Leszczyńska **o dziejach wolności**

Czy wolność jest przywilejem, czy obowiązkiem? Patrząc na historię Polski, odpowiedziałabym, że przywilejem. Ten przywilej ma dosyć krótką historię, bowiem wolność taka, jak rozumiemy ją dzisiaj, liczy sobie około 100 lat. Wolność nie jest dana raz na zawsze. Skoro mówimy o wolności jako o przywileju, to pojawia się od razu pytanie, kto jest jego donatorem. Wchodzimy zatem na grunt rozważań o relacjach pomiędzy jednostką i państwem. Wolność ekonomiczna, polityczna, osobista dana jest niektórym cywilizacjom, głównie zachodnim. Ale w wielu miejscach na świecie wolność nadal jest oczekiwana. Uważam wolność za przywilej, choć filozofowie twierdzą, że jest naszym naturalnym prawem. Wolność pojmowana w sensie absolutnym jest oczywiście nadana, ale wolność w sensie rzeczywistym jest wynikiem różnych splotów okoliczności. Również kiedy patrzymy na długą historię człowieka, wolność szeroko pojmowana jawi się jako przywilej.

W kontekście związku między wolnością i ekonomią chciałabym zwrócić uwagę na sytuację, w której ograniczenie wolności służy kreowaniu nowego rodzaju produktów. Jeden z najnowszych przykładów to stworzenie e-papierosa – w ten sposób kreatywny rynek odpowiada na ograniczenia narzucone przez prawo. W sektorze bankowym jest podobnie. Trwa swoisty wyścig między regulatorami i tymi, którzy starają się tworzyć nowe produkty w taki sposób, aby regulacje obejść. Obserwujemy go od średniowiecza, od czasów lichwy. Mimo że istniał całkowity zakaz pobierania odsetek, stosowano całą masę rozwiązań, które po prostu stanowiły alternatywę dla tego zakazanego narzędzia.



Andrzej Rychard **o wolności w rozumieniu** **socjologicznym**

Jeden z podręczników socjologii ekonomicznej w ciekawy sposób definiuje różnicę między socjologią ekonomiczną i ekonomią. Ekonomia to nauka o tym, jak ludzie dokonują wyboru, socjologia ekonomiczna jest nauką o tym, że ludzie nie mogą dokonać żadnego wyboru. Chciałbym opowiedzieć o wolności z perspektywy socjologii, a ona generalnie pokazuje, jak nasza wolność jest ograniczana przez rozmaitego rodzaju tradycje, normy, kulturę. Ograniczeni przez obyczajowość kulturową, nie dokonujemy samodzielnych wyborów, lecz są one uwarunkowane wyborami poprzednich pokoleń. Zgodnie z koncepcją zależności od ścieżki (z ang. *path dependence*) wiele procesów jest podporządkowanych własnej historii. Oczywiście nie wszystkie decyzje są podejmowane za nas – byłaby to dość przerażająca wizja. Polska jest dziś w innej sytuacji niż 30 lat temu. Nawiasem mówiąc, dzisiaj nie ma już żadnego sąsiada z roku 1989, pozostał tylko Bałtyk. Wcześniej sze państwa zostały zastąpione przez nowe, w dawnym kształcie

uchowała się jedynie Polska. Uważam, że czasami ograniczenia wolności mają korzystny wpływ. Określam siebie jako socjologa instytucjonalistę. Instytucjonalizm skupia się na tym, jak normy i reguły ograniczają naszą wolność wyboru. Czy to jest zawsze złe? Nie, bo jeśli instytucje uzyskują społeczną aprobatę w toku wolnego wyboru, to ludzie zgodzą się na samoograniczenia, aby zachowania społeczne były bardziej przewidywalne. Warunkiem jest wolność w ograniczaniu wolności. Jeżeli ktoś chce zniszczyć instytucje stojące na straży wolnego wyboru, to jesteśmy skłonni użyć swoich zasobów, aby protestować przeciwko temu.

Są różne oblicza wolności. Na początku okresu transformacji, czyli na początku lat 90., Polacy funkcjonowali bardziej jako wolni konsumenci niż jako wolni obywatele. Nie podzielam poglądu, że istnieje fundamentalna przepaść między wolnością rynkową a obywatelską. Uważam, że jest wiele punktów stykowych i bez wolności gospodarczej nie udało by się zbudować trwałych podstaw wolności obywatelskiej. Wolność w Polsce wyraźnie ewoluuje. Nie jesteśmy już krajem, w którym źródłem frustracji jest brak dostępu do dóbr materialnych. Stajemy się krajem, w którym niezadowolenie budzi nierówny dostęp do oświaty, służby zdrowia, kultury. Polska ma ugruntowane tradycje w buncie przeciwko ograniczonemu dostępowi do dóbr materialnych. Natomiast dopiero uczymy się skutecznie wyrażać swój sprzeciw wobec niedostatków w służbie zdrowia, edukacji czy kulturze. Rządzący zaś uczą się, że na tego rodzaju bunty należy reagować. W dobrym państwie poszerzanie sfery wolności pewnych grup nie musi się odbywać kosztem poszerzania sfery wolności innych grup czy też jednostek.

Dlaczego ludzie czasami walczą o wolność i wspierają działania prowolnościowe? Pierwsza odpowiedź wskazuje na wartości – bo wolność jest dobra, bo demokracja jest pożądanym, słusznym systemem. Jednak oparcie dążenia do wolności wyłącznie na wartościach nie zawsze jest wystarczająco stabilne. Wolność i dążenie do wolności muszą mieć swoje podstawy strukturalne, czyli powinny wynikać także z interesów. Dążę do wolności, bo poszerzanie sfery wolności zwiększa szansę na przewidywalny sposób realizacji mojego interesu – zawodowego, grupowego itd. W ten sposób tłumaczy się między innymi proces demokratyzacji Korei Południowej. Na początku panował tam system autorytarny, ale w wyniku wzrostu gospodarczego zaczęła rozwijać się klasa średnia. Jej aspiracje nie mieściły się w sztywnych ramach owego systemu, więc zaczęła artykułować dążenia prowolnościowe. Dopiero po zbudowaniu klasy średniej można było wprowadzać elementy liberalizmu i wolności, bo miały one silne podstawy strukturalne w postaci klasowych interesów tej grupy. Zaś w Polsce sytuacja była inna. W 1989 r. nie było czasu na debaty przy cygarach i decydowanie, czy najpierw wprowadzić demokrację, czy rynek. W kraju stacjonowały wojska sowieckie, nie było nic w sklepach, narastało niezadowolenie. Zmiany były zatem dynamiczne – wprowadzono jednocześnie demokrację i gospodarkę rynkową. I z różnych powodów ludzie się przeciwko temu nie zbuntowali.



Grzegorz Brona **o czasie i wolności osobistej**

Byłem naukowcem, następnie przedsiębiorcą, potem urzędnikiem państwowym – prezesem Polskiej Agencji Kosmicznej, teraz prawdopodobnie będę inwestorem. W mojej opinii wolność osobista to jest wolność zarządzania własnym czasem. Większość młodych ludzi po ukończeniu studiów zatrudnia się w firmach, pracuje od 8 do 16 i zarabia pieniądze. Przez dwa–trzy lata sama praca przynosi satysfakcję, potem przychodzi refleksja, że najistotniejsze jest posiadanie odpowiednich funduszy, aby wypełnić czas w weekendy oraz dwa razy do roku podczas dwutygodniowych urlopów. Dwie trzecie życia spędza się na sprzedawaniu go innym. Choć kiedyś było gorzej, np. 100 lat temu potężna większość ludzi musiała pracować od najmłodszych lat do późnej starości po kilkanaście godzin dziennie. Na szczęście automatyzacja doprowadziła do tego, że mamy troszkę więcej luzu. A za 40 lat będzie jeszcze lepiej, bo dzięki sztucznej inteligencji i robotom będziemy pracować cztery godziny dziennie. Dziś większość czasu spędzamy bez bezpośredniej wolności. To jest trochę smutne. Ja w pewnym momencie stwierdziłem, że moim największym ograniczeniem w obszarze wolności jest skupianie się na niewychodzeniu ze strefy komfortu. Uznałem równocześnie, że jest to problem większości ludzi. Spróbowałem wyjść poza tę strefę. Rzuciłem bezpieczną pracę na uczelni, poszedłem do „niebezpiecznej” pracy w firmie, później do kolejnej firmy, następnie zostałem urzędnikiem najwyższego szczebla, a w końcu z tego też zrezygnowałem. W ten sposób rozumiem swoją wolność: jeżeli coś mi się nie podoba, coś mi nie odpowiada, bardzo szybko to zmieniam. Gdybym mógł doradzić młodym ludziom w obszarze wolności osobistej, powiedziałbym, żeby sprawdzali, co ich cieszy, co ich bawi, i żeby się nie bali. Strach bardzo mocno ogranicza i przez niego można zmarnować sporą część życia. Wiele dziś dyskutujemy o wolności jako idei, o wolności, którą daje państwo, ale większość ludzi sama sobie buduje złotą klatkę i zamyka w niej swoją wolność osobistą. Przed naszym dzisiejszym spotkaniem przeprowadziłem sondę korytarzową wśród moich współpracowników i pytałem, czym jest dla nich wolność. Raczej nie wypowiadali się entuzjastycznie, najczęściej wskazywali, że wolność jest niepotrzebna. Ludzie się godzą na oddanie swojej wolności.



Krystyna Skarżyńska **o wolności, wyborze i psychologii**

Z badań psychologicznych wynika, że ludzie mówią o wolności bardzo różnie. Nie wszyscy kochają wolność, szanują ją czy uważają za wartość najcenniejszą. W ramach projektu badawczego Europejskie Studia Wartości zapytano Polaków o wolność i równość. Badanie wykonano w latach 2009 i 2017. W obu przypadkach wyniki są bardzo podobne: wolność jest uznawana za ważniejszą wartość. Istnieje wyjaśnienie takiej postawy. Nasze społeczeństwo

nie jest społeczeństwem równościowym, jest bardzo zhierarchizowane, bardzo zmaterializowane, nadal silnie zorientowane na dominację społeczną. Oczywiście to zależy od konkretnej grupy. Zupełnie nowe badanie, wyjaśniające, co różni dwa główne elektoraty polityczne, czyli zwolenników PiS i PO, wskazuje na preferowanie wartości ekspresji własnej i wolności przez elektorat liberalny oraz wartości bardziej równościowych, kolektywistycznych, wspólnotowych przez elektorat PiS. Oczywiście rozumienie wolności ma wpływ na postrzeganie demokracji i autorytaryzmu.

Czy jesteśmy w pełni wolni? Człowiek, który uważa, że wszystko kontroluje, na ogół źle kończy. Każdy jest jakoś uzależniony od tego, gdzie mieszka, z jakiej rodziny pochodzi, jakie emocje przeżywa, kim się otacza itd. Kwintesencją wolności wydaje się być proces wyboru, a on nie jest dla większości łatwy. Im więcej mamy opcji, tym bardziej się w nas wszystko kotłuje. Zatem nieograniczony wybór wcale nie jest takim wielkim szczęściem. Wolność nie polega na wyborze możliwości całkiem przeciwnych, tylko takich, które są do siebie podobne. W przypadku wolnego wyboru człowiek musi się wahać. Gdy ludzie przypisują wolność innym, wiążą ją z władzą i odpowiedzialnością. To nie dla wszystkich jest wygodne.

Na pytanie, czy wolność jest przywilejem, czy obowiązkiem i czy państwo daje nam wolność, nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jedna szkoła mówi, że jeżeli nie ma suwerenności państwa, to nie ma wolności obywatela, w związku z tym państwo jest pewnego rodzaju warunkiem wolności. Według drugiej szkoły istnieją suwerenne państwa, które nie muszą być ograniczone z zewnątrz, a mimo to ich obywatele nie są wolni. Więc raczej wolność – zgodnie z tym, co powiedział prof. Brona i co omówił kilkadziesiąt lat temu Isaiah Berlin – to nie tylko dowolny wybór wartości, ale możliwość realizowania danej wartości kosztem innych wartości.



Podsumowanie Krzysztofa Opolskiego

Okazało się to, co doskonale wiedzieliśmy: nie ma jednoznacznej definicji wolności. Wolność może być prywatna, może być społeczna, może dotyczyć jednostki i grupy. Jest to zagadnienie niezwykle skomplikowane i być może tylko w naszych sercach możemy je rozstrzygnąć. W ramach dzisiejszego seminarium spełniliśmy swoje zadanie i pobudziliśmy siebie do myślenia kreatywnego i do refleksji nad kwestią wolności. Czy jej szukamy? Na podstawie badań zachowań konsumenckich można stwierdzić, że bardziej poszukujemy wyborów zero-jedynkowych. I bardzo często usiłujemy znaleźć wszelkie dowody na poparcie własnych decyzji. Czasem uciekamy od wolności, by odnaleźć inną wolność, stworzyć jej nowe ramy. Dziś niestety zyskuje na popularności postawa rezygnowania z wolności na rzecz łatwych i wygodnych wyborów. Bardzo się tego obawiam. Mam nadzieję, że nasze spotkanie i refleksje przyczynią się do odwrócenia tej tendencji.



Może świat będzie się kręcił bez nas

O efektywności i sensie przewidywania przyszłości, wypieraniu futurologii przez populizm oraz o tym, czy kiedyś człowiek znudzi się sztucznej inteligencji, z prof. **Lechem W. Zacherem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Co pana obecnie zadziwia?

Lech Zacher: Ponad połowa ludzkości to kobiety, a większość z nich – głównie z krajów afrykańskich, Indii, Pakistanu, Bangladeszu – jest pozbawiona praw. Często przyczyną są bariery kulturowe i religijne. A gdyby miliard kobiet umiejscowić na rynku pracy, owe państwa doświadczyłyby natychmiast niebywałego wzrostu gospodarczego.

KB: Co to jest futurologia i jaki jest jej status dzisiaj?

LZ: Futurologią zajmuję się od 1965 r., czyli od czasów studiów na Wydziale Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego. W krajach socjalistycznych nazywaliśmy tę dziedzinę prognozowaniem połączonym ze scentralizowanym planowaniem biegu wydarzeń czy procesów. Termin „futuresologia” wymyślił w 1943 r.

Ossip K. Flechtheim, jednak początek działalności dyscypliny datuje się na 1962 r., kiedy to rząd Francji powołał grupę Rok 1985, która miała za zadanie uzyskać informacje o przyszłości kraju. Futurologia to po prostu *future studies*, czyli badania dotyczące przyszłości. Choć niektórzy uważają, że przyszłości nie ma, a jeżeli się zdarzy, to jest już teraźniejszością. Uważam takie podejście za naiwne, ponieważ zawsze możemy badać procesy i trendy, możemy je zmierzyć i opisać, a nawet wpływać na nie poprzez dostosowanie się do nich lub próbę ich modyfikacji. Niektórzy futurologię traktują jak wróżenie – uważają, że nie ma ona związku przyczynowo-skutkowego z teraźniejszością.

KB: Czyli pytanie, co będzie w roku 2025, w konkretnym miejscu i o konkretnej godzinie, nie ma racji bytu?



© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM

Prof. dr hab. Lech W. Zacher

– nauczyciel akademicki, ekonomista, socjolog i futurolog. Był wieloletni dyrektorem Centrum Badań Ewaluacyjnych i Progностycznych w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, członkiem kilku międzynarodowych towarzystw naukowych, przez wiele kadencji członkiem Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN. Jest prezesem Fundacji Edukacyjnej Transformacji i redaktorem naczelnym pisma interdyscyplinarnego „Transformacje”. Jest wiceprzewodniczącym Polskiego Towarzystwa Oceny Technologii oraz członkiem Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk w Salzburgu. Zajmuje się problematyką relacji między nauką, techniką i społeczeństwem, w szczególności zagadnieniami społeczeństwa informacyjnego, a także globalizacji i przyszłości. Autor ponad 500 publikacji, m.in. „Sporu o globalizację”, „Gier o przyszłe światy”, „Transformacji społeczeństw. Od informacji do wiedzy”.

LZ: Takie pytanie nie ma nic wspólnego z nauką, ale może rozwinąć wyobraźnię i fantazję. Wielokrotnie przewidywano na przykład datę końca świata, ale skorzystały na tym jedynie rozmaite sekty. Natomiast silne trendy są już przewidywalne, możemy przedstawiać pewne scenariusze, które mogą się wydarzyć pod warunkiem wystąpienia określonych okoliczności. Ale zawsze mogą też wystąpić czarne łabędzie Taleba, czyli niespodzianki, emergencje, bifurkacje. Nauki społeczne odnoszą się do tych pojęć z dystansem, a niesłusznie, bo przez to mniej widzą i badają wyłącznie światy kreowane z powodów religijnych czy geostrategicznych. W czasach istnienia dwóch obozów politycznych wokół Amerykanów i Rosjan badania nad przyszłością traktowano jako element walki o wyobraźnię ludzkości. Dlatego kreowane wówczas wizje świata – również w literaturze – były w pewnym sensie elementem zimnej wojny.

KB: Czy obecnie dzięki zaawansowanym technologiom i sztucznej inteligencji jesteśmy w stanie lepiej przewidywać przyszłość?

LZ: Rzecz w tym, że my nie chcemy przewidywać przyszłości, ale ją budować. Postawmy pytanie, co może się wydarzyć w dziedzi-

nie transportu lotniczego. Pytamy ekspertów, nad czym pracują w laboratoriach. Jedni zasłaniają się poufnością badań, inni powiedzą, że nie wybiegają tak daleko w przyszłość, a jeszcze inni opiszą swoje pomysły, np. budowy wehikułu, który dowiezie ludzi na Marsa. W ten sposób otrzymamy wiele scenariuszy, ale to nie jest przewidywanie przyszłości. I nie potrzeba jej przewidywać w dłuższym horyzoncie. Natomiast warto gimnastykować wyobraźnię, aby widzieć wariantowość, złożoność i różnorodność procesów. Wielkim obciążeniem dla nauki jest abstrahowanie, czyli mówienie o technice przez duże „T”, a przecież nie ma takiej techniki. Bo gdy mówimy o jakimś pojęciu, to od razu szukamy jego desygnatów, czyli odzwierciedlenia w rzeczywistości. Nie ma jednej techniki czy technologii – są rozmaite, które wpływają na siebie w różny sposób i różnią się co do efektywności czy występowania.

Stany Zjednoczone są najbardziej rozwiniętym naukowo krajem na świecie, z największą liczbą najlepszych uniwersytetów i największym budżetem na naukę. To tam pracują najtęższe umysły. Nieprzypadkowo właśnie w USA powstał Facebook. Interesują nas osiągnięcia MIT, a nie peryferyjnego naukowo kraju. Jest jeden hegemon, czyli USA, i jego dokonania wytyczają kierunek zmian w technologiach. Ważną postacią dla futurologii był Alvin Toffler, choć naukowcy uważają go raczej za dziennikarza i biznesmena, bo miał własny odrzutowiec, którym latał na wykłady wygłaszane za 100 tys. dolarów. Ale pisał dobre książki, które zaważnęły naszą wyobraźnię i rozchodziły się w milionowych nakładach. Czasami się mylił, przewidywał na przykład używanie papierowych ubrań w Kalifornii. Ważna jest też twórczość Stanisława Lema, giganta literatury, ale też wyobraźni i fantazji.

Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chcemy myśleć o przyszłości, czy też jesteśmy gotowi czekać na to, co nam przeznaczone przez różne bóstwa, zależnie od religii. Rozważania o przyszłości mogą się przejawiać w literaturze, sztuce, polityce, dialogu społecznym, nauce. W Polsce rozważanie o przyszłości długo uważano za nienaukowe, bo niemierzalne. A poza tym wychodzono z założenia, że przyszłość nie istnieje, zaś dla niektórych może się zakończyć już dzisiaj. Ale dla wielu zaistnieje i dobrze byłoby, aby wiedzieli, co może ich czekać. Dlatego warto snuć scenariusze, optymistyczne lub pesymistyczne, choć te określenia nawiązują do emocji, a nie nauki.

KB: Jednym ze scenariuszy, częściowo już zrealizowanym, choć w niewielkim stopniu, jest obecność człowieka w kosmosie.

LZ: W latach 70. XX w. mówiono o kolonizacji kosmosu. Teraz, po 40 latach, ta idea powraca. Podobnie jak wiele wcześniejszych idei, bo pojawiają się możliwości finansowe i technologiczne. Wystarczy wspomnieć o Elonie Muskus czy Marku Zuckerbergu, którzy są nie tylko fantastycznymi biznesmenami, ale przede wszystkim kreatorami i realizatorami swoich wizji. Obecnie bardzo wzrosła rola jednostek i ich wyobraźni. Wieki XIX i XX były zdominowane

przez rewolucję przemysłową, zorientowaną na procesy masowe, co podkreślała szczególnie teoria marksistowska. Dzisiaj okazuje się, że w polityce światowej mogą nieźle namieszać przeciętne jednostki, jak choćby Donald Trump. Podobnie jest w przypadku jedynowładcy Władimira Putina. Majakowski pisał: *jedinica nul*, liczą się tylko masy. Teraz okazuje się, że jednostka może podpalić cały świat, dekonstruować go lub przebudować. Podsumowując, nie jest istotne wróżenie, co będzie za 10 lat w danym miejscu. Nie o to chodzi. Chcemy wiedzieć, jak potoczą się procesy i jakie będą trendy. Badając sferę laboratoriów, dowiemy się, nad czym ludzie pracują i jakich możliwości szukają. A możliwe jest prawie wszystko, jednak trzeba to nazwać, opisać i przy tym puścić w ruch wyobraźnię. Ważne też jest, jakich innowacji i wdrożeń oczekujemy. Przywołajmy choćby przykład polskiego grafenu. Polacy opracowali technologię pozyskiwania dużych fragmentów grafenu o najlepszej jak dotąd jakości, jednak do dzisiaj nie potrafimy jej skomercjalizować. Gubi nas brak świadomości decydentów, że wystarczający budżet pozwoliłby uzyskać oczekiwane rezultaty i zarobić krocie.

KB: Przewidywaniom czy oczekiwaniom siłą rzeczy nadaje my jakieś aktualne ramy racjonalności.

LZ: Możemy określić to, co możliwe, następnie to, co pożądane, a na końcu to, co prawdopodobne. Na przykład możliwe jest wybudowanie w Polsce 10 elektrowni jądrowych – jeśli byłiby projektanci, pieniądze i firmy zewnętrzne. Ale czy tego chcemy, to już inna kwestia. Tutaj trzeba pogodzić racje fizyków, energetyków, władzy centralnej i lokalnej (które nie muszą mieć przecież spójnego stanowiska) oraz organizacji społecznych. A na końcu rozpatrujemy prawdopodobieństwo powodzenia takiego projektu: czy mamy poparcie polityczno-społeczne, pieniądze, technologie, specjalistów, transport, paliwo. Na tym polega myślenie przyszłościowe.

W badaniach nad przyszłością ważna jest wyobraźnia. Aby ją kształtować, można sięgać po literaturę science fiction – poważną, jak u Lema, i baśniową, jak u Tolkiena. W Polsce nie uczy się myślenia o przyszłości, w przeciwieństwie do USA, Francji, Wielkiej Brytanii czy Niemiec. Ta dyscyplina nauki była tam szczególnie modna w latach 70. i 80. XX w. Powstały think tanki, jak World Futures Studies Federation czy World Future Society, które organizują kongresy dla 30 tys. uczestników. To one rozkręcają naszą wyobraźnię, pozwalają snuć teorie, co może się stać w przyszłości i jakie są zagrożenia. I nie oceniają skuteczności prognoz, bo nie o to chodzi. Ważne są trendy, opcje, aby mieć możliwość wyboru przed podjęciem konkretnych decyzji naukowych, medycznych, przemysłowych, wojskowych, artystycznych. Warto słuchać wybitnych futurologów, takich jak Ray Kurzweil, który od 40 lat przewodzi zespołom inżynierów, ostatnio w Google'u, i ma radykalne wizje przyszłości, czy Kevin Kelly, który wierzy, że sztuczna inteligencja nie będzie zagrożeniem dla ludzkości.

KB: Dziś moda na futurologię, w tym wpływowe postaci i think tanki z tej dziedziny, nieco przygasła.

LZ: Jeżeli chcemy sterować rozwojem, to musimy podejmować decyzje, prognozować, wyznaczać strategię. Teraz działalność think tanków została ograniczona, gdyż na pierwszy plan wysunęły się polityka i niespodziewany trend pokładania wiary w siłę sprawczej słów polityków. A tu potrzeba analiz, prognoz opartych na wyliczeniach. Dzisiaj, w dobie big data, można wiele rzeczy zbadać i policzyć. Mamy błędne przekonanie o własnej sprawczości. Ona jest duża, bo ludzie polecili na Księżyc, a jednocześnie mała, bo nikt nie przewidział buntu „żółtych kamizelek” w Paryżu. Myśląc o przyszłości, prognozujemy, co się może zdarzyć, na podstawie obserwacji istniejącego trendu i rozpatrujemy scenariusze uwzględniające skutki jego modyfikacji. W tym tkwi wartość innowacyjnego myślenia, zatem trzeba przekonać polityków, że warto słuchać futurologów, którzy myślą o rozwoju społeczeństwa i ludzkości. Teraz nadeszła fala populizmu i braku kompetencji, która rozlała się po całych mediach, szczególnie internetowych, dla których wartością nadrzędną są kliknięcia, lajkowanie, liczba fanów. Specjaliści zajmujący się społeczeństwem informacyjnym sądzili, że Internet przyczyni się do swobodnego i masowego dostępu do informacji, wiedzy, kultury, sztuki. Tymczasem dzięki niemu mnożą się fake newsy i do głosu dochodzą wyznawcy rozmaitych herezji, jak choćby tej, że Ziemia jest płaska. Jako socjolog nie jestem przeciwnikiem komunikowania się ludzkości za pomocą Internetu, ale jako ekonomista pytam, czy to się ludzkości opłaca, bo koszty utrzymania satelitów, serwerów i administrowania nimi są niebagatelne. W tym kontekście istotna jest rola elit i poważnych mediów, które powinny wziąć odpowiedzialność za informacje i publicystykę. Powinny dobierać kompetentnych ekspertów, bo muszą mieć świadomość, że społeczeństwo nie ma kompetencji lub chęci, aby weryfikować informacje.

W Polsce narzekamy na brak społeczeństwa obywatelskiego, który jest spowodowany uwarunkowaniami historycznymi. Teraz nasze dzieci, które wyrosły w niewyrobionej obywatelsko rodzinie, wpadły w przestrzeń Internetu, gdzie już się nie uczą, jak być obywatelami, ale jak być internautami, czyli obywatelami sieci. A to coś zupełnie innego.

KB: Czy istnieje adekwatność – w aspekcie socjologicznym i psychologicznym – między światem realnym i wirtualnym?

LZ: Najpierw trzeba zdefiniować pojęcie świata wirtualnego. Dzisiaj jest to cyberprzestrzeń wypełniona tubylcami cyfrowymi i emigrantami. Tubylcy to dzisiejsze nastolatki, które korzystają ze smartfonów niemalże od kołyski. Wychowani w cyberprzestrzeni, przebywający w niej całymi godzinami, już nie sięgną po słowo drukowane. To nowa forma społeczna, pozbawiona tradycyjnych więzi (sąsiedzkiej, lokalnej, narodowej). Widzimy Internet jako arenę wymiany treści, wojny informacyjnej i rozrywki. Ale życie

w cyberprzestrzeni nie oznacza, że nie potrzebujemy jeść czy się ubrać. Ktoś te dobra będzie musiał nadal wytwarzać w świecie rzeczywistym. Trudno badać zjawiska w świecie wirtualnym, bo mamy 2,5 mld zindywidualizowanych internautów. Ideologia Internetu zakładała możliwość nawiązania dialogu wszystkich ze wszystkimi. Tylko po co? Czy chcemy rozmawiać ze wszystkimi? Czy mamy wszystkim coś do powiedzenia, czy chcemy wszystkich wysłuchać?

W 1996 r. John Perry Barlow w „Deklaracji niepodległości cyberprzestrzeni” zwrócił się do rządów świata przemysłu: „Wy, zużyci giganci z ciała i stali, przychodzę do Was z Cyberprzestrzeni, nowej ojczyzny Umysłu. W imieniu przyszłości apeluję do Was – związanych z przeszłością – byście zostawili nas w spokoju. Nie jesteście tu mile widziani. Wasza władza nie sięga miejsc, w których się zbieramy”.

KB: Choć Internet jest dziś obszarem potężnej manipulacji dokonywanej przez politykę i korporacje, to jednak wciąż są w nim obszary pełniące rolę dawnej agory – wciąż bywa miejscem nieskrępowanej wymiany myśli i poglądów.

LZ: Wojna cybernetyczna trwa, są w nią zaangażowane rządy, wywiady państw, przedsiębiorstwa i rozmaici hakerzy. Internet to także negatywne zjawiska, kiedyś niewystępujące, jak choćby hejt. Zawsze istnieli ludzie pełni nienawiści, ale dawniej mogli swoje frustracje zmanifestować, pisząc coś na okolicznym płocie. Dzisiaj ta przemoc przeniosła się do cyberprzestrzeni i nabrała cech globalnych, przez to ma znacznie większą siłę rażenia i jest prawdziwie niebezpieczna.

Faktycznie jesteśmy w okresie transformacji, a nie zakończonej zmiany. Interesują mnie zjawiska transformowania świata realnego. Przemysł nie zniknął, choć teraz nazywa się go przemysłem 4.0, bo jest naszpikowany technologią. Procesy tworzenia i używania techniki są bardzo złożone i zależą od stopnia wyedukowania społeczeństwa. Amerykanie są ludźmi dynamicznymi, otwartymi na zmianę i nowinki techniczne. Jobs, Bezos, Zuckerberg, Gates, Musk to nie tylko świetni inżynierowie, innowatorzy, ale przede wszystkim futurologi. Od takich ludzi jak oni zależą pozytywne zmiany w przyszłości.

Kto będzie zarządzał zjawiskami w Internecie? Rewolucja telekomunikacyjna w USA była mocno wspierana przez rząd federalny i dlatego miała szansę osiągnąć sukces. Zaś przyszłość jest niepewna. Funkcjonujemy w bańce kognitywnej, zależnej od wiedzy, jaką reprezentujemy. Ludzie z natury nie są innowacyjni, mają opór przed zmianą, nowością. Podobnie jest z biznesem, który przede wszystkim stawia na zysk. Dla korporacji Internet jest dzisiaj najważniejszą siedzibą i głównym paliwem. Zuckerberg

chce podłączyć do Internetu całą ludzkość i pewnie mu się to uda, ponieważ ma możliwości ekspansji i poczucie misji.

KB: Na ile kierunek przyszłych globalnych zmian mogą określać trendy krajów Wschodu i Południa?

LZ: Na początek wskażę na paradoks Indii, które są światowym liderem w produkcji oprogramowania, a jednocześnie krajem tradycyjnym, trapionym wojnami religijnymi, w dużej mierze biednym i zacofanym. Hindusi masowo używają smartfonów, ale głównie sięgają po niewyszukaną rozrywkę. U uruchomili też kioski komputerowe na terenie całego kraju, nawet na dalekiej prowincji, aby handlarze bydła, którzy pędzą je wiele dni, mogli dowiedzieć się, jaka będzie pogoda i ceny w miejscu docelowym. Wdrażają autonomiczne samochody i roboty opiekujące się starszymi osobami. W Japonii tworzone są już roboty towarzyskie i tamtejsi biznesmeni nierzadko decydują się na życie z robotem zamiast z kobietą, co oczywiście w niedługiej perspektywie przełoży się na demografię tego kraju. Inna sprawa, że na Ziemi nie zmieści się 20 mld ludzi, nie zdołamy utworzyć stacji mieszkalnych pod wodą czy w kosmosie dla tak wielkiej „nadwyżki”. Prognozuje się, że w 2050 r. będzie nas 9 mld. Można

oczywiście budować kilometrowe wieżowce i układać ludzi w szufladach; nawet nie trzeba będzie z nich wychodzić, bo roboty dostarczą wszystko, co jest potrzebne do życia.

KB: Chyba, że im się znudzimy.

LZ: Technika się autonomizuje, następuje jej usystematyzowanie i usieciowienie. Produkcja już samochody bez kierowcy, autopilot w samolocie funkcjonuje już od dawna. Świat i człowiek się cyborgizują, w ciele mamy stenty, endoprotezy, szpikujemy się lekami, czyli wytworami przemysłu chemicznego. Człowiek należy do społeczeństwa informacyjnego, sam się technicyzuje i ma coraz więcej informacji. Obawia się robotyzacji, więc aby ją oswoić,

produkuje roboty humanoidalne. Ale nie w tym tkwi sedno robotyzacji, lecz w sprzężeniu zwrotnym, programie i czujnikach. Roboty już dostały autonomię poprzez niezwykłą szybkość przetwarzania danych, która jest niedostępna dla ludzkiego mózgu. Może nastąpić pewna luka pomiędzy siłą maszyny i siłą człowieka. Dla maszyny człowiek będzie za słaby, za wolny, mimo że ją zrobił. Jeżeli nie dołożymy algorytmu spowalniającego działanie maszyn – na co zapewne nie zgodzą się inżynierowie, wojsko i przemysł – to skończy się homo sapiens i świat będzie się kręcił bez nas.

KB: Czyli humanizm przegrał?

LZ: Jak dotąd humanizm nie wygrał. Może jednak sztuczna inteligencja okaże się dla nas szansą... Lecz co się stanie, gdy ktoś wyłączy korki?

Ideologia Internetu zakładała możliwość nawiązania dialogu wszystkich ze wszystkimi. Tylko po co?





Jerzy Hausner – profesor doktor habilitowany nauk ekonomicznych, profesor zwyczajny, pracownik Katedry Gospodarki i Administracji Publicznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, społeczny pełnomocnik rektora ds. kultury i sportu. Członek Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, Rady Polityki Pieniężnej (w latach 2010–2016), Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN. Od 2014 r. działa w Bruegel – Brussels European and Global Economic Laboratory. Od 2015 r. członek Polskiego Komitetu do spraw UNESCO. W latach 2001–2005 był posłem na Sejm RP. W październiku 2001 r. wszedł w skład gabinetu Leszka Millera jako minister pracy i polityki społecznej. Od stycznia 2003 r. minister gospodarki, pracy i polityki społecznej, a od czerwca 2003 r. także wiceprezes Rady Ministrów. W rządzie Marka Belki (od maja 2004 r. do marca 2005 r.) piastował stanowisko wicepremiera i ministra gospodarki i pracy. Laureat wielu nagród, m.in. Nagrody Kisiela oraz Nagrody im. Władysława Grabskiego.

© RAFAŁ GUZPAP

Nadchodzi czas ekonomii wartości

O związkach gospodarki z potrzebami ludzi i jakością życia oraz o tym, że dziś nie wystarczy, by biznes się kręcił, z prof. **Jerzym Hausnerem** rozmawia Adam Mikołajczyk.

Adam Mikołajczyk: Czym jest ekonomia wartości? Czy jest to chwilowy trend, czy raczej trwała zmiana, która odbywa się na naszych oczach?

Jerzy Hausner: Ekonomia wartości jest w tej chwili pojęciem popularnym i szeroko omawianym, głównie dlatego, że nastąpił przechyl myślenia ekonomicznego w kierunku nauki ścisłej. Już w początkach oświecenia ekonomia została zmatematyzowana, co przesłoniło tradycję myślenia ekonomicznego, wywodzącą się od filozofii i etyki. Zainteresowanie ekonomią wartości trzeba widzieć w dwóch aspektach. Pierwszy polega na braku równowagi między ekonomią matematyczną, hołdującą żelaznym prawom ekonomii, i tradycją traktowania ekonomii jako nauki społecznej, wedle której sens działalności gospodarczej jest poza nią samą, a odnosi się do potrzeb ludzi i jakości życia. Przywracanie tej równowagi jest dzisiaj wyzwaniem. Drugi aspekt związany z ekonomią

wartości to narastające problemy gospodarki rynkowej, ukształtowanej w okresie neoliberalizmu. Ów model wywołuje tak wiele zakłóceń w funkcjonowaniu społeczeństw, że wytwarza globalne zagrożenia i antyrynkowy trend w działaniach społecznych i politycznych. Ci, którzy wyznają ekonomię wartości, opowiadają się przeciwko modelowi gospodarki rynkowej, opisanemu za pomocą trzech pojęć: globalizacji, finansjalizacji i cyfryzacji. W tym modelu problem wartości został sprowadzony do zysku i ceny. To, co nie ma dobrej ceny, jest nieopłacalne, a zatem niewartościowe. Takie rozumienie ekonomii prowadzi do negatywnych skutków społecznych, a także do kryzysu finansowego i rozpadania się strefy euro. Dlatego pilnie trzeba znaleźć równowagę pomiędzy tą częścią ekonomii, która wykorzystuje modele zaczerpnięte z nauk ścisłych, a tą, która odwołuje się do sensu i wartości. Należy obydwie części myślenia ekonomicznego połączyć tak,

jak półkule mózgowe, z których jedna myśli linearnie, a druga skojarzeniowo.

AM: Coraz częściej rozważamy, co kupujemy i od kogo, mając na uwadze choćby aspekt ochrony środowiska.

JH: Świadomy konsument jest ważnym aktorem na scenie gospodarczej i wszelkie jego zachowania mają niebagatelny wpływ na kształt gospodarki. Ludzie zdają sobie sprawę, że działalność biznesowa ukierunkowana wyłącznie na konsumpcję powoduje w konsekwencji osłabienie jakości życia człowieka, a więc i osłabienie tejże konsumpcji. Konsumenty wpływają na biznes za pomocą swojego portfela. Mogą nie godzić się na pewne typy produktów i są gotowi więcej zapłacić za swój wybór. Przykładem mogą być jajka od kur z wolnego wybiegu. Nie da się udowodnić, że takie jajka są zdrowsze dla człowieka, ale dla kury – z pewnością tak. Jakie to ma znaczenie dla gospodarki? To już zależy od tego, co myślimy o sobie i o świecie. Jeżeli ktoś uważa przemoc za zło, to musi widzieć związek pomiędzy przemocą wobec zwierząt a przemocą wobec ludzi. To nie jest związek oczywisty, bo dokonuje się w następstwie czasowym i społecznym. Skoro już musimy zabijać zwierzęta, to nie przysparzamy im dodatkowego cierpienia. Niektórzy są całkowicie przeciwni zabijaniu zwierząt i wybierają sposób odżywiania zgodny ze swoim poglądem. Tego rodzaju refleksje i zachowania konsumenckie muszą powodować reakcje po stronie wytwórców.

Ludzie nie godzą się na pracę nieletnich. Wielkie koncerny nagle zaczęły tracić klientów, kiedy zostały przyłapane w krajach słabo rozwiniętych na wykorzystywaniu dzieci do produkcji swoich towarów. Wartość ich marek zaczęła maleć. Klienci mają w swoich rękach potężne narzędzie do komunikowania się – media społecznościowe. Firmy muszą uważać, co deklarują publicznie i jak budują swoje kodeksy etyczne, bo zawsze znajdą się tacy, którzy powiedzą „sprawdzam” i upublicznia wyniki swojego śledztwa. Tak działają klienci świadomi, którzy mają swobodę wyboru. Uboższy konsument może zachowywać się inaczej, nie dlatego, że nie ma refleksji nad światem, ale dlatego, że jego pole manewru jest znacznie ograniczone. Powinniśmy ganić ludzi za spalanie śmieci w domowych piecach, ale trzeba pamiętać o ubóstwie energetycznym. Wielu osób nie stać na wymianę pieców czy zakup opału wysokoenergetycznego. Jeżeli chcemy, żeby zmiana dokonywała się szybciej i szerzej, musimy myśleć o konsumentach jak o jednostkach należących do społeczeństwa dbającego o przyszłość następnych pokoleń.

Skupiamy się na konsumentach, ale równie ważna jest postawa przedsiębiorstw. Na szczęście obecnie już nie traktuje się CSR-u jak makijażu. Dzisiaj biznes wie, że musi zmieniać swoje działanie, aby chronić zasoby, z których korzysta. Wszyscy żyjemy w tym samym środowisku, więc firmy bronią go w imię własnego interesu i własnej przyszłości. Podam przykład. Brunon Bartkiewicz, prezes ING Banku Śląskiego, publicznie mówi, że Bank Śląski, zgodnie z linią grupy ING, nie będzie finansować przedsięwzięć stosujących

brudne technologie, natomiast może finansować zmianę, czyli przejście z brudnych do czystych technologii. Nie chodzi tylko o zwykły gest etyczny, ale o chęć realnego wpływania na ochronę środowiska, w którym sami żyjemy i które chcemy ocalić dla przyszłych pokoleń. Trzeba zdawać sobie sprawę, że zmiana już się rozpoczęła i nabiera przyspieszenia. Ten, kto się do niej nie dostosuje, w ciągu najbliższych lat będzie skazany na porażkę, bo albo jego działalność będzie zakazana, albo zbankrutuje.

Finansjalizacja gospodarki spowodowała skrócenie horyzontu decyzji ekonomicznych. Działań gospodarczych nie rozpatruje się już w perspektywie roku, ale kwartału. Jeżeli poszerzy się czasoprzestrzeń rozważań, to od razu można zastanowić się, w co warto inwestować i w jakim kierunku się rozwijać. Szybkie działania obliczone na zwiększenie zysku nie są ani twórcze, ani innowacyjne. Co więcej, będą skazane na niepowodzenie w dłuższym horyzoncie czasowym.

AM: Polskie firmy, podobnie jak całe społeczeństwo, są nadal na dorobku. Duże przedsiębiorstwa dostrzegą wartość tej zmiany, ale jak przekonać niewielkie przedsiębiorstwo w małej miejscowości, aby zrezygnowało z części zysku w imię wyższych wartości?

JH: Każda działalność, również biznesowa, musi być określona w czasie i przestrzeni. W modelu oportunistycznym liczy się tylko tu i teraz, czyli każdy pomysł jest dobry, jeżeli przynosi zysk – nieważne, co robisz, ważne, że zarobisz. Takie postępowanie można nazwać zaradnością, sprytem i cała masa ludzi porusza się w tak wąskiej czasoprzestrzeni: jak najwięcej dla siebie, jak najmniej dla swoich klientów. Ale wcześniej czy później klienci odwrócą się od takiego przedsiębiorcy, bo albo nie będzie ich stać na jego produkty, albo odejdą do tych, którzy zaoferują coś więcej. Każdy przedsiębiorca, mały czy duży, musi odpowiedzieć sobie na pytanie, po co prowadzi firmę i co chce przez to osiągnąć. Oczywiście jest, że trzeba mieć nadwyżki, żeby kontynuować działalność. Ale czy wystarczy, żeby biznes się kręcił, czy raczej chodzi o to, żeby się rozwijał, wytwarzał nowatorskie produkty, tworzył konkurencyjną markę? Popatrzmy na firmę Fakro Ryszarda Florka, który swoją działalność zaczynał od warsztatu, a dzisiaj ma 15 proc. światowego rynku okien dachowych. Pan Florek stale rozwija swoje produkty, patentuje je, analizuje rynki zagraniczne i szuka na nich miejsca. Myśli o swojej załodze, o warunkach pracy i kształcenia, a także o sposobach motywowania. Ryszard Florek jest twórczy i przedsiębiorczy. Musi taki być, bo świat na niego nie poczeka. Zaimponował mi, kiedy pokazał zaprojektowaną przez siebie koszulkę, której wyjątkowość polega na tym, że przód był uszyty z bawełny, a tył z wełny australijskiej. Powodem wyprodukowania takiej koszulki były osobiste problemy pana Florka z kręgosłupem i chęć ulżenia sobie w bólu. Chodziło zatem o ubranie, które rozgrzeje plecy, ale nie spowoduje przegrzania całego ciała. Ten przykład jest najlepszym dowodem na kreatywne działanie, którego celem nie jest zysk, ale rozwój. Jeśli postępujemy z myślą o przyszłości i relacjach społecznych, to siłą rzeczy działamy odpowiedzialnie.

Podam inny przykład. Zarząd spółki Żywiec Zdrój deklaruje, że sukcesem biznesowym jest dostarczanie naturalnej wody. Stąd dbałość o środowisko, aby woda, którą firma sprzedaje, była faktycznie naturalna i zdrowa. Żywiec Zdrój dba nie tylko o źródła wody, ale też o technologię jej wydobycia i butelkowania. Stosuje butelki plastikowe, ale dba o ich pełny recykling, żeby plastik nie wrócił do środowiska i nie zatruwał wody, którą spółka sprzedaje. Stara się także wpływać na sąsiadów, aby również szanowali środowisko, gdyż i oni mają wpływ na czystość wody Żywiec Zdrój.

Kolejny przykład to Ikea. Jej celem jest zapewnienie ludziom wygodnych i tanich mebli, które będą potrafili sami złożyć. Ikea przekonuje, że dba o komfort klienta, oferując produkt nowoczesny, tani, dobry dla nabywcy i środowiska. Zatem musi wybierać podwykonawców, którzy nie tylko potrafią wykonać meble, ale robią to w technologii przyjaznej dla przyrody. Na tym polega przewaga konkurencyjna szwedzkiej marki.

Aby tworzyć biznes myślący o rozwoju i przyszłości, musimy nawiązać silne relacje z klientami i podwykonawcami. Musimy stworzyć swoisty archipelag rozwoju, w którym następuje proces wytwarzania wartości. Dość myślenia o makijażu i wizerunku, więcej rozważań nad procesem wytwórczym. Pomiędzy marketingiem a jakością musi istnieć związek. Dzisiaj liczą się autentyczność i wiarygodność.

AM: Poruszył pan profesor problem etosu polskiego przedsiębiorcy. Być może okres 30 lat jest niewystarczający, aby ów etos się wykształcił. Czy obserwuje pan postawy wrażliwości społecznej wśród polskich przedsiębiorców?

JH: Uczenie się demokracji jest mozolnym i bolesnym procesem. Weszliśmy gwałtownie do gospodarki rynkowej i doświadczyliśmy wszystkich tego konsekwencji, w tym nadużyć czy korupcji. Nie chcę usprawiedliwiać takich zachowań, bo nie wierzę w teorię, że pierwszy milion musi zostać ukradziony, ale oczywiste jest, że demokracji trzeba się nauczyć, jak jazdy samochodem czy pływania. Świat się zmienia i ludzie już nie chcą być korpuldkami. Jeśli korporacje chcą nadal zatrudniać twórcze jednostki, muszą opierać rozwój na potencjale twórczym swoich pracowników, a nie na ich dyspozycyjności. Ważny jest typ przywództwa. Dzisiaj problemem Polaków nie jest kombinatorstwo, ale folwarczne maniery menedżerów. Ich zachowanie to efekt wyścigu szczurów w szkołach i nastawienia na indywidualny sukces. Temu stanowczo trzeba się przeciwstawić. Nasz protest powinien być wzmocniony regulacjami prawnymi i standardami cywilizowanego świata. Kierowanie zespołem ludzi to przede wszystkim wzięcie za nich odpowiedzialności. Takie działanie przynosi wymierne korzyści w dłuższej perspektywie.

AM: Ekonomię wartości napędza młodsze pokolenie, jak choćby milenialsi, którzy szukają samorealizacji poprzez nadawanie życiu sensu. Jaki jest stosunek starszego pokolenia do nadchodzących zmian?

JH: Ja ten problem widzę inaczej. Potrzeby konsumentów były tłamszone przez całe dekady PRL-u, więc kiedy już nastąpiła u nas gospodarka rynkowa, ludzie zachłystnęli się możliwością konsumpcji. Dopiero po jakimś czasie spostrzegli, że nie są szczęśliwsi, bo gonitwa za karierą i konsumpcją spowodowała rozpad ich rodzin, brak dobrych relacji z dziećmi i małżonkami. Przeszliśmy bolesny proces uczenia się na własnej skórze i coraz więcej ludzi dostrzega, że konsumowanie dla prestiżu powoduje jedynie otyłość. Zmieniamy więc styl życia i szukamy nowych doznań. Jednym potrzeba ekscytacji, inni budują lepsze relacje międzyludzkie albo szukają kontaktu z naturą, a jeszcze inni zamykają się w świecie wirtualnym. Waga wartości niematerialnych rośnie niezależnie od pokolenia. Nowe wartości nie wypierają konsumpcji, ale czynią ją racjonalną i świadomą. Wiem, kim chcę być, do czego zmierzam, więc konsumuję tylko to, co jest mi potrzebne. Ale też szukam relacji z tymi, którzy będą pomocni w realizacji mojego celu. Trzeba zmieniać relacje społeczne tak, aby przyczyniały się do lepszej jakości życia.

AM: A jak ekonomia wartości wpisuje się w zarządzanie tkanką miejską?

JH: W zeszłym roku na kongresie Open Eyes Economy Summit, który organizuję od trzech lat w Krakowie, dyskutowano między innymi o wpływie wody na jakość życia w mieście. Nie skupialiśmy się tylko na zjawiskach ekstremalnych typu susza czy powódź. Rozmawialiśmy o tym, jak mądrze wykorzystywać wodę do rozwoju miasta. Doszliśmy do ciekawego wniosku: gospodarowanie wodą „z chmury do rury” jest jednostronne i nieefektywne, bo miasta, które zamknęły obieg wody w rurach, nie radzą sobie z suszami i powodzią. Okazuje się, że system wodociągowy musi być uzupełniony o lokalne, nieduże zbiorniki retencyjne. Najlepiej byłoby, gdyby każda działka miejska była swojego rodzaju zbiornikiem retencyjnym, czyli zawierała elementy zielone, a woda – oprócz obiegu zamkniętego – miała także swój naturalny obieg. Potrzeby energetyczne miasta mogą być uzupełniane przez energię wytwarzaną w wodociągach. Są takie urządzenia, które po wstawieniu do rury w odpowiednie miejsce dają informację o przeciekach (co oznacza wymierne oszczędności), ale także generują prąd. W Nowym Sączu w systemie kanalizacji zastosowano generatory, które zaspokajają z nadwyżką zapotrzebowanie na prąd związane z jego obsługą. Niestety, polski paradoks polega na tym, że wytworzona w ten sposób tania energia musi oddać do ogólnego systemu i stamtąd ją pobierać, płacąc dużo więcej za jej użycie. Takie absurdy zniechęcają do twórczego zarządzania tkanką miejską. Rozmowa o podobnych zagadnieniach ma sens tylko wtedy, gdy zdajemy sobie sprawę, że najważniejsza jest jakość życia ludzi, co oznacza globalne poszanowanie środowiska w trosce o wspólną przyszłość.

Wywiad powstał w ramach realizacji audycji „Wartość dodana” Adama Mikołajczyka. Apple Podcast, Speaker.com, Spotify/Podcasty: „Wartość dodana by Adam Mikołajczyk”.

O wartościach w biznesie

Czy w biznesie istotne są wartości pozaekonomiczne? A jeżeli tak, to jakie i dlaczego? I czy jest możliwe, by firma w imię ich upowszechniania zrezygnowała z części zysku? Aby znaleźć odpowiedzi na tak postawione pytania, poprosiliśmy o komentarz prezesów przedsiębiorstw działających na polskim rynku.



© FUNTRONIC

Maciej Mazurkiewicz, prezes Zarządu Funtronic

Wartości pozaekonomiczne w dzisiejszym biznesie to już nie opcja, ale raczej konieczność. Kluczem do sukcesu każdej firmy jest zgrany i zmotywowany zespół. Taki cel osiąga się poprzez jasne i uczciwe zasady panujące w pracy oraz szczerze zainteresowanie okazywane pracownikom przez menedżerów. Podam przykład. Od roku pracuje u nas pani, która wychowuje dwoje dzieci. Kiedy jedno z nich zachorowało, bała się wziąć zwolnienie lekarskie na opiekę nad nim, gdyż jej poprzedni pracodawcy tego nie akceptowali. Gdy wyjaśniliśmy, że w naszej firmie pracownik i jego rodzina są bardzo ważni, jej motywacja i zaangażowanie w pracę wzrosły. Pracownik, który może liczyć na pomoc i zrozumienie ze strony firmy, bardziej się z nią utożsamia.

Zysk jest podstawowym celem każdej firmy, jednak wielkość zysku czy wycena samej spółki to już inna kwestia. O wartości każdego przedsiębiorstwa decydują przede wszystkim jego aktywa, w tym ludzie. Na cóż się przyda duży dochód w firmie osiągnięty kosztem wyeksploatowania załogi czy wypalenia za-

wodowego jej poszczególnych członków? Tylko z wypoczętym i zmotywowanym zespołem można podbijać świat. Mam świetny przykład. Jakś czas temu opracowywaliśmy prototyp urządzenia dla kontrahenta zewnętrznego. Zbliżał się termin oddania prac, a my wciąż nie mieliśmy rozwiązanego problemu z prawidłowym chłodzeniem tego urządzenia. Jako że byliśmy w przededniu długiego majowego weekendu, dałem pracownikom wolne, a kontrahenta poinformowałem o możliwym opóźnieniu i gotowości zapłacenia kar umownych. Kluczowi pracownicy – w ogóle mnie nie informując – zrezygnowali z zaplanowanych urlopów i rozwiązali problem na czas. Tym razem to oni poczuili, że muszą pomóc firmie. Uzasadniona rezygnacja z części zysku stała się w tym przypadku świetną inwestycją na przyszłość.



© GRUPA LOTOS

Jarosław Wittstock, wiceprezes Zarządu Grupy Lotos SA ds. korporacyjnych

W zakresie działań społecznych Grupa Lotos angażuje się w trzy kluczowe obszary: bezpieczeństwo w ruchu drogowym, wyrównywanie szans społecznych oraz ochronę środowiska.

Kluczowy jest dla nas aspekt środowiskowy. Prowadzimy działania informacyjno-educacyjne, realizując program „Kierunek Bałtyk”, dotyczący ochrony bioróżnorodności Morza Bałtyckiego, w szczególności ochrony morświna bałtyckiego. Wynika to między innymi z nadmorskiego położenia rafinerii Grupy Lotos. Zwiększamy też świadomość na temat szkodliwości plastiku dla środowiska, w którym żyjemy.

W Lotosie działamy również na rzecz społeczeństwa, pracowników i kontrahentów. Od blisko dwóch dekad realizujemy własny program społeczny oraz wspieramy liczne inicjatywy propagujące

bezpieczeństwo na polskich drogach. W latach 2001–2013 prowadziliśmy program „Akademia bezpieczeństwa Lotos”, zaś w 2014 r. zainaugurowaliśmy program „Lotos – mistrzowie w pasach”. W 2009 r. Grupa Lotos została sygnatariuszem Europejskiej Karty Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego. Od 2006 r. w bezpośrednim otoczeniu zakładów produkcyjnych Lotosu prowadzimy program społeczny „Dobry sąsiad”. Realizowaliśmy projekty: „Piłkarska przyszłość z Lotosem”, „Dynamiczni seniorzy z energią”, „Szukamy następców mistrza”. Lotos jest również mecenasem Festiwalu Naukowego E(x)plory.

Doceniamy działania, dzięki którym regiony zwiększają swój potencjał i atrakcyjność w sferze oferty kulturalnej. Jesteśmy stałym partnerem takich wydarzeń, jak Gdańsk Lotos Siesta Festival, Lotos Jazz Festival Bielska Zadymka Jazzowa, Lato Teatralne w Teatrze Atelier. Angażujemy się we współpracę z Operą Bałtycką, koncerty charytatywne, festiwale muzyczne i teatralne.

Z roku na rok wzrasta liczba spółek podejmujących działania w obszarze zrównoważonego rozwoju i wpisujących je w długofalowe strategie biznesowe. Działania te wspierają rozwój rynku kapitałowego, budując zaufanie inwestorów i dostarczając im narzędzi do podejmowania kluczowych decyzji biznesowych. Odpowiedzialność przedsiębiorstwa oznacza zwiększone inwestycje w zasoby ludzkie, w ochronę środowiska i relacje z otoczeniem firmy.

Grupa Lotos zapewnia dobre i bezpieczne warunki pracy, stosuje standardy etyczne w relacjach wewnętrznych i zewnętrznych, wnosząc wymierny wkład w rozwój regionu z poszanowaniem środowiska i zasad dobrego sąsiedztwa. Charakteryzuje nas doj-

rzałe i kompleksowe podejście do społecznej odpowiedzialności i zrównoważonego rozwoju. Koncern jest zaangażowany we wdrażanie i upowszechnianie dobrych praktyk.

Prowadzimy działalność, uwzględniając potrzeby społeczności lokalnych, jak i wyzwania społeczne oraz środowiskowe występujące na terenach naszego oddziaływania. Czujemy się odpowiedzialni za jakość życia w otoczeniu zakładów produkcyjnych należących do koncernu.

Zgodnie ze strategią CSR Grupy Lotos koncentrujemy swoje wysiłki na tych obszarach życia, które dotyczą członków danej społeczności oraz są ważne dla działalności przedsiębiorstwa. Dzięki tej specyficznej wspólnotce celów nasza firma ma szansę wnieść rzeczywisty wkład w rozwój społeczny, a co za tym idzie – czerpać korzyści także z wartości pozaekonomicznych.

Iwona Szmitkowska, prezes Zarządu Work Service

Work Service jest największą agencją pracy w Polsce i jedną z największych w Europie Środkowo-Wschodniej. Każdego roku pomagamy znaleźć pracę dla 300 tys. osób, zarówno Polaków, jak i cudzoziemców. Od początku istnienia dokładamy wszelkich starań, aby prowadzić biznes uwzględniający potrzeby wszystkich naszych interesariuszy. Wartości pozaekonomiczne – szacunek, wysoki standard obsługi, rzetelność, wysokiej jakości komunikacja, empatia i życzliwość – są dla nas drogowskazem w naszej działalności biznesowej. W 2014 r. przyjęliśmy strategię odpowiedzialnego biznesu opracowaną przy wykorzystaniu międzynarodowej normy społecznej odpowiedzialności ISO 26000.

Wierzymy, że nasza firma może i powinna mieć wkład w rozwój pracowników, a także rynku pracy w Polsce. Naszym celem jest zmieniać rynek pracy z korzyścią dla wszystkich. Z jednej strony jako profesjonalny partner i doradca, z drugiej – pracodawca pierwszego wyboru i dzięki temu wiarygodny partner dla firm i kandydatów.

Świadomie przeznaczamy część naszego zysku na realizację celów społecznych i traktujemy to jako dobrą inwestycję – w naszych obecnych pracowników i przyszłe pokolenia.

W 2013 r. założyliśmy Fundację Work Service, której celami są m.in. aktywizacja zawodowa i promocja zatrudnienia osób znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej, doradztwo zawodowe oraz wspomaganie i podejmowanie działań zmierzających do aktywizacji zawodowej osób bezrobotnych i niepełnosprawnych. W ciągu pięciu lat działalności na realizację celów społecznych przeznaczaliśmy niemal półtora miliona złotych.





© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Grażyna Piotrowska-Oliwa

(ur. 31 marca 1969 r. w Warszawie)
– prezes, menedżerka i urzędniczka państwowa. Ukończyła studia w Akademii Muzycznej w Katowicach (w klasie fortepianu) i w Krajowej Szkole Administracji Publicznej w Warszawie. Jest także absolwentką INSEAD Executive MBA (2005 r.). W latach 1997–2001 pracowała w Ministerstwie Skarbu Państwa na stanowisku naczelnika Wydziału Funduszy Kapitałowych i naczelnika Wydziału Spółek Strategicznych i Instytucji Finansowych. Następnie zajmowała kierownicze stanowiska w Telekomunikacji Polskiej SA. W latach 2007–2009 była prezesem zarządu i dyrektorem generalnym spółki PTK Centertel sp. z o.o., operatora sieci Orange, a od listopada 2010 r. do marca 2011 r. doradzała w sektorze *private equity* w transakcjach związanych z rynkiem telekomunikacyjnym. W latach 2011–2012 była członkiem zarządu ds. sprzedaży PKN Orlen. Od marca 2012 r. do kwietnia 2013 r. pełniła funkcję prezesa zarządu PGNiG SA. Od czerwca 2014 r. jest prezesem zarządu Virgin Mobile Polska i Virgin Mobile CEE.

Ewolucja jest lepsza od najlepszej rewolucji

O zarządzaniu sektorami regulowanymi, rynkowych błędnych kołach i o tym, czy wykształcenie muzyczne pomaga w biznesie, z **Grażyną Piotrowską-Oliwą** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Specjalizuje się pani w zarządzaniu firmami z sektora telekomunikacyjnego i energetycznego, a to silnie regulowane branże. Czy menedżer może polubić regulacje albo choćby przyzwyczaić się do nich?

Grażyna Piotrowska-Oliwa: Są sektory, które wymagały w przeszłości i nadal wymagają regulacji. Tendencje są dwie: można nasilać regulacje albo liberalizować rynek. Rzeczywiście, 20 lat temu większość telekomów, nie tylko w Europie, była po prostu monopolistami. Aby jednak ten rynek mógł się rozwijać, niezbędne było zwiększenie dopływu pieniędzy, czyli konieczna była pewna liberalizacja. Na pewno takie procesy miały sens.

Niektóre telekomy zdecydowały się wejść na giełdę, stały się spółkami publicznymi, część pozyskała inwestorów. Różnie się to odbywało. Generalnie rynek się otwierał poprzez oddawanie pola zajmowanego wcześniej przez wielkich monopolistów. W tym kontekście trzeba pamiętać, że Polska jest członkiem Unii Europejskiej, więc obowiązują nas w pewnym sensie podwójne regulacje. Oczywiście regulacje dotyczą nie tylko telekomów czy branży energetycznej. W sektorze finansowym wynikają one z konieczności zapewnienia klientom banków bezpieczeństwa ich środków, depozytów bankowych. Są sektory, w których trudno sobie wyobrazić brak koncesjonowania, dotyczy to choćby używek

– alkoholu czy papierosów. Podobnie jest na rynku paliw, chociaż tutaj powód jest trochę inny. W przypadku paliw przychody do budżetu z podatków i koncesji są tak ogromne, że państwo jest niejako zmuszone ściśle kontrolować, czy wszystkie należności, szczególnie z tytułu podatków i VAT-u, są odpowiednio płacone. Trudno wyobrazić sobie jakikolwiek rynek, który nie podlega żadnym regulacjom, nie podlega najmniejszej choćby ingerencji ze strony organów państwa. Do funkcjonowania na rynkach regulowanych można się przyzwyczaić.

KB: Czy regulator nadąża za obecnym tempem zmian?

GPO: Bardzo często nie nadąża. Ba, niejednokrotnie może nawet nie być w stanie odzwierciedlić specyfiki danego rynku. Wystarczy wymienić sektor telekomunikacyjny. W Polsce najpierw rozwinął się dostęp do Internetu przez sieci komórkowe, czyli Internet mobilny, a dopiero obecnie nadrabiane są wieloletnie zaległości w budowie światłowodów, czyli czegoś, co jest nie tylko podstawą w przypadku Internetu stacjonarnego, ale również warunkiem dalszego rozwoju sieci komórkowych. Bez sieci światłowodowych możemy zapomnieć o 5G. Niestety, regulacja rynku w pierwszych latach XXI w. opierała się na tym, żeby „dowalić” Telekomunikacji Polskiej SA. Odbywało się to według jednej wytycznej: TP SA miała udostępnić istniejącą infrastrukturę innym operatorom po cenach niezapewniających zwrotu ponoszonych kosztów i niezachęcających do inwestycji. W rezultacie stało się coś, co dla każdego człowieka biznesu było do przewidzenia: Telekomunikacja Polska przestała inwestować w infrastrukturę i skupiła się wyłącznie na sieci komórkowej. Pojawiły się takie możliwości zbudowania dostępu do Internetu, że penetracja stacjonarna – która w każdym normalnym kraju jest podstawą dalszego rozwoju sieci szybkiego dostępu – nigdy nie osiągnęła wysokiego poziomu, bo nie przekroczyła 30 linii na 100 mieszkańców. I teraz pojawia się pytanie, czy to było dobre rozwiązanie. Mamy niskie ceny usług, natomiast infrastruktura telekomunikacyjna na poziomie mogącym nam zapewnić skok cywilizacyjny nie rozwinęła się. Jest to wynik regulacji ukierunkowanych na krótkoterminowe korzyści. Niestety Polska dała przykład dużych zaniedbań regulacyjnych, które obecny nadzorca rynku na szczęście stara się naprawić. Klienci mogą mieć inne zdanie, bo widzą tylko niższe ceny usług. Natomiast nie zauważają, że mogliby mieć więcej, szybciej, lepiej, zaś koszty, które trzeba ponieść, i tak w końcu poniosą.

KB: A czy regulator blokuje w Polsce rozwój start-upów?

GPO: Spojrzałabym szerzej, mianowicie na cały system, a nie wyłącznie na regulatora. Wystarczy wspomnieć o tzw. lex Uber. Czy

państwo powinno walczyć z czymś, co jest de facto aplikacją, za pomocą ustaw? Uber jest popularny, bo jest dostępny i proponuje niższe ceny. Państwo nakłada regulacje ustawowe, aby chronić określoną grupę zawodową. Tymczasem powinno się spojrzeć na problem całościowo i systemowo. Osobną kwestią jest stworzenie otoczenia, które daje zachęty podatkowe dla firm tworzących i wykorzystujących nowe technologie, zwiększających efektywność, ograniczających koszty i dzięki temu oferujących swoim klientom korzystniejsze rozwiązania. To znakomicie udało się Amerykanom w Dolinie Krzemowej. Trudno myśleć systemowo o gospodarce, dużo łatwiej rzuca się fajne hasła, jak na przykład „krowa plus”.

KB: W poprzednim numerze naszego kwartalnika opublikowała pani szeroko komentowany felieton o zmianach w biznesie.

GPO: Zawarłam w nim tezę, że biznes musi zrozumieć, iż świat się cyfryzuje, zmieniają się więc zachowania menedżerskie, zmienia się sposób zarządzania firmami i wreszcie zmieniają się same procesy. Pierwszy i najważniejszy wniosek dla biznesu dotyczy postępującej automatyzacji wszelkich procesów. Jako przedsiębiorcy już dziś

musimy mieć na uwadze, że za 20 lat 40 proc. obecnych stanowisk pracy przestanie istnieć. Do wykonania wielu czynności człowiek przestanie być potrzebny, zastąpią go sztuczna inteligencja i roboty. Musimy myśleć o tym, jak kierować firmami, uwzględniając zmieniający się świat i rynek. Jeszcze 10–15 lat temu przy podejmowaniu decyzji można było opierać się na działalności kilkunastu komitetów i rozmyśnianiu odpowiedzialności. Dzisiaj, jeżeli ktoś nie jest w stanie podjąć decyzji tu i teraz, to znaczy, że zostanie w tyle, a świat go wyprzedzi. Dodatkowo zwiększa się tempo zmian, a nie idzie za tym standaryzacja.

Trudno myśleć
systemowo
o gospodarce,
dużo łatwiej rzuca
się fajne hasła, jak
na przykład „krowa
plus”.

KB: A czy ciągle zwiększanie tempa nie jest na bakier z racjonalnością? Wystarczy podać przykład z branży odzieżowej: zarządzanie, produkcja i logistyka są już na takim poziomie, że jeden ze światowych gigantów wprowadza nową kolekcję co pięć tygodni. Czy naprawdę społeczeństwa zachodnie muszą tak często zmieniać zawartość szafy?

GPO: Na pewno ten przykład można rozpatrywać z punktu widzenia ekologii. Warto w tym momencie spojrzeć na sektory przemysłowe, które są największymi trucicielami i dewastatorami środowiska. Plastik i tworzywa sztuczne to najważniejsze surowce dla dzisiejszej branży odzieżowej. Wiele sieciówek, które produkują bardzo dużo i bardzo szybko zmieniają kolekcje, nie używa surowców naturalnych. Bawełna jest wypierana przez materiały syntetyczne, które dobrze wyglądają, ale w większości przypadków szybko się niszczą, a po zużyciu stają się odpadem, którego nie da się zutylizować. Gdy-

by klient nie oczekiwał ciągłych zmian i miał na uwadze, że lepiej kupić rzecz, która nie zniszczy się po trzech praniach, to pewnie inaczej zachowywałby się podczas zakupów. Skoro jednak klient chce ciągłych zmian, to rynek tym bardziej go do tego zachęca i dostarcza wciąż nowych produktów. To jest diabelskie koło.

Wracając do kwestii regulacji, w tej chwili sporo się mówi – i słusznie – na temat eliminowania z obrotu plastiku w postaci torebek foliowych. Rząd spodziewał się półtora miliarda złotych wpływów z opłat za owe torebki. Do budżetu wpłynęło 70 czy 80 mln zł, zaś według statystyk Polak wcześniej zużywał 300 torebek rocznie, a obecnie – tylko 8. Na zdrowy rozum taki wynik jest nierealny, a to oznacza, że ktoś znalazł lukę w systemie i postanowił ją wykorzystać. Trzeba zacząć od zmiany mentalności ludzi, a nic nie zmienia jej tak radykalnie, jak groźba wysokich kar. Istotna jest również kwestia edukacji. Wiele się dziś o niej mówi, w tym o nauczycielach, o podstawach programowych. Gdzie jest w szkołach miejsce na taki temat jak ekologia? Dlaczego nie uczymy młodych ludzi, że jeżeli dziś będą niszczyć środowisko, to nie dożyją późnej starości, bo utoną w śmieciach?

KB: Nie powinniśmy wymagać od firm, aby to one – w duchu ekonomii wartości – wzięły na siebie obowiązek stymulowania pozytywnych zmian ludzi i świata?

GPO: Są na pewno kraje, gdzie świadomość ekologiczna jest dużo większa niż w Polsce. Wiele firm faktycznie rezygnuje z części zysków – czyli de facto akceptuje wyższe koszty – w związku z inwestowaniem w rozwiązania powodujące ograniczenie emisji. Wystarczy wspomnieć choćby firmy motoryzacyjne, jak Toyota Motor Corporation. W tej chwili właściwie cały przemysł europejski w porównaniu z przemysłem japońskim wydaje się absolutnie zacofany. Oczywiście silnik hybrydowy to nadal nie jest silnik wyłącznie elektryczny, ale – jak pokazuje historia – ewolucja przynosi dużo lepsze rezultaty niż najszlachetniejsza nawet rewolucja.

KB: Chciałbym zapytać o pani drogę do biznesu. Znała pani z nietypowego jak na tę specjalizację wykształcenia.

GPO: Zgadza się, 26 lat temu skończyłam Akademię Muzyczną w klasie fortepianu. To, jakim jestem człowiekiem i w jaki sposób realizuję się w biznesie, wynika z moich cech: żelaznej konsekwencji, niestandardowego analizowania problemów, ogromnej dyscypliny, umiejętności koncentracji na czymś, co jest tu i teraz, podzielności uwagi, które ukształtowały się w wyniku kilkusetletniej nauki gry na fortepianie. Owe cechy mają dla biznesu

ogromną wartość. Szybko się uczę, ponieważ koncentruję się na czymś, co jest mi w danej chwili potrzebne.

KB: Opublikowaliśmy niedawno rozmowę z Agnieszką Duczmał, która powiedziała, że niewielu jest mężczyzn muzyków gotowych grać w orkiestrze, ponieważ wykonując taką pracę, trudno wyżywić rodzinę.

GPO: Agnieszka Duczmał ma rację, jednak problem dotyczy obu płci. Ten zawód zawsze był elitarny, wymagał ogromnego poświęcenia i dyscypliny. Bardzo duże pieniądze zarabiają w tym fachu tylko nieliczni. Więc generalnie w Polsce jest to zawód, którego większość nie ceni. Niestety.

KB: Czy to zdecydowało, że zamieniła pani jedną pasję na inną, lepiej płatną?

GPO: Moja rodzina zawsze mówiła, że mam smykałkę do biznesu. Prawda jest też taka, że w czasach, kiedy robiłam maturę, w moim otoczeniu – a pochodzę z Warszawy, z Saskiej Kępy – studia w Szkole Głównej Planowania i Statystyki nie cieszyły się specjalną popularnością. W naszym środowisku przeważali humaniści, inżynierowie i lekarze. Stwierdziłam, że skoro mam muzyczne pasje, będę je kontynuować również na uczelni wyższej. Poszłam na studia w 1988 r., w 1989 r. nastąpiła kolosalna zmiana naszego świata. W połowie studiów miałam refleksję, że może warto przenieść się na ten SGPiS. I wtedy wkroczyła moja pani profesor od fortepianu – wielki autorytet – która powiedziała: „Dziecko, ten kraj widział już niejedną zmianę. Jedne były bardziej trwałe, inne mniej. Wszystko się może jeszcze odwrócić. Więc skończ studia, jakie by one nie były – będziesz miała dyplom uczelni wyższej, będziesz magistrem, a potem będziesz robić, co chcesz”. I miała rację. Studia skończyłam, a później uczyłam się w szkołach biznesowych.

KB: Chciałbym zapytać o pani szefa, bo to charyzmatyczna postać. Czy sir Richard Branson zagląda do warszawskiej siedziby Virgin, przybija piątkę i pyta, co słychać?

GPO: Był kilka lat temu. Dużo częściej menedżerowie mają okazję go zobaczyć podczas konferencji i spotkań, które są organizowane w różnych miejscach świata. Używamy marki Virgin i grupa ma udziały w naszej firmie. Natomiast firm na całym świecie oznaczonych logiem Virgin jest niezliczona ilość. Działają w branży lotniczej, hotelarskiej, również kosmicznej. Wkrótce na Karaibach będą pływać potężne wycieczkowce Virgin Voyages. Biznes sir Richarda Bransona jest tak rozległy, że życia by szefowi nie wystarczyło, gdyby chciał pojawić się w każdej firmie, która używa loga Virgin.

Skoro klient chce
ciągłych zmian,
to rynek tym
bardziej go
do tego zachęca.
To jest diabelskie
koło.





Nigdy nie było atrakcyjniejszych warunków oszczędzania

O Pracowniczych Planach Kapitałowych z **Marcinem Żółtkiem** rozmawia Piotr Grochowski.

Piotr Grochowski: Na liczeniu zna się pan jak mało kto.

Marcin Żółtek: Radzę sobie. Wydział Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego, który ukończyłem i na którym pracowałem naukowo, był naprawdę dobrą szkołą.

PG: Od ponad 20 lat pracuje pan – również na kluczowych stanowiskach – w instytucjach zarządzających miliardami złotych: w Banku Pekao, Commercial Union, Avivie.

MŻ: Ostatnie lata przepracowałem w PZU.

PG: I to też wiąże się z odpowiedzialnością za zarządzanie dużymi pieniędzmi, a przede wszystkim z nowym wyzwaniem.

MŻ: Duże projekty sprawiają największą satysfakcję. Nie porzuciłbym kariery naukowej, gdybym nie oczekiwał praktycznych wyzwań w zarządzaniu kapitałami i w strategiach inwestycyjnych.

PG: Proszę powiedzieć, czym się pan zajmuje w PZU.

MŻ: Odpowiadam za wprowadzenie Pracowniczych Planów Kapitałowych. To projekt, który będzie miał konsekwencje na dziesięciolecia, jeśli nie dłużej.

PG: Zadanie życia?

MŻ: Gdyby chodziło tylko o moje życie... Pracownicze Plany Kapitałowe to program długoterminowego oszczędzania dla milionów Polaków. Ma ich zabezpieczyć na lata, zapewnić dobrą przyszłość. Zwłaszcza po zakończeniu przez nich aktywności zawodowej.

PG: Z pańskich rachunków wynika, że ten program się opłaca?

MŻ: Nie było dotąd w Polsce innego, który oferowałby oszczędzającym tak atrakcyjne warunki: wpłacają złotówkę, a dostają drugą. Do tego, w pewnym uproszczeniu, prowadzą się Pracownicze Plany Kapitałowe.

PG: Kto dołoży drugą złotówkę do moich oszczędności?

MŻ: Pracodawca i państwo. PPK są skierowane do pracowników. Dają im możliwość odkładania co miesiąc 2 proc. ich pensji brutto. Jeśli się na to zdecydują, pracodawca i państwo dołoży im prawie drugie tyle.

PG: Ile konkretnie?

MŻ: Pracownik wpłaca 2 proc., a jego pracodawca – 1,5 proc. Państwo dokłada do tych oszczędności 240 zł rocznie. W pierwszym roku funduje też 250 zł tzw. dopłaty powitalnej. W praktyce pracownik, który zarabia średnią krajową, a więc około 5 tys. zł brutto, będzie wpłacać do PPK 100 zł miesięcznie, ale jednocześnie od pracodawcy i od państwa dostanie w tym czasie 95 zł. W przypadku mniej zarabiających proporcje będą jeszcze korzystniejsze. Dotyczy to około dwóch trzecich pracowników w Polsce, którzy zarabiają nie więcej niż średnią krajową.

PG: Zwłaszcza pracodawcy się ucieszą, skoro będą ponosić dodatkowe koszty...

Marcin Żółtek – w Grupie PZU odpowiada za Pracownicze Plany Kapitałowe. Do 2017 r. prezes Aviva PTE, zarządzającego 30 mld zł aktywów drugiego co do wielkości otwartego funduszu emerytalnego w Polsce. Wcześniej członek zarządu, dyrektor inwestycyjny i zarządzający portfelem papierów dłużnych w tej spółce. W latach 1999–2008 pracował w Commercial Union. Jako szef departamentu odpowiadał za strategię inwestycyjną i zarządzanie papierami wartościowymi o stałej stopie dochodu z jednym z największych portfolio w Polsce o wartości 13 mld zł. Karierę na rynku finansowym rozpoczynał w 1998 r. w Banku Pekao SA. Ukończył Podyplomowe Studia dla Menedżerów Sektora Usług Finansowych i Ubezpieczeniowych w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie oraz studia doktoranckie na tej uczelni. Jest również absolwentem programu Harvard ManageMentor organizowanego przez ICAN Institute. Posiada certyfikat Oxford Blockchain Strategy Programme.

MŻ: Dlatego powinni kierować się zimną rachubą, a nie emocjami. Ustawowy obowiązek w postaci odprowadzania wpłat na rzecz pracowników mogą też wykorzystać z pożytkiem dla siebie.

PG: Namawiając pracowników, żeby dali sobie spokój z oszczędzaniem w ramach PPK?

MŻ: Za to akurat grożą wysokie kary. Mam na myśli odwrotne rozwiązanie – zwiększenie wpłat na rzecz pracowników. Pracodawcy mogą je podnieść z 1,5 do nawet 4 proc.

PG: Pan żartuje? Kto na to pójdzie?

MŻ: Ktoś, kto już dziś szuka rąk do pracy albo chce utrzymać wartościowych pracowników w swojej firmie. Dziś to pracodawcy coraz częściej szukają pracowników, a nie pracownicy pracodawców. Według sondażu instytutu Kantar, przeprowadzonego na zlecenie Work Service, ponad 45 proc. pracodawców planuje zatrudnić nowych pracowników, ale jeszcze więcej, bo połowa, ma problem z ich znalezieniem. Dochodzi do tego, że co szósta firma w Polsce ogranicza inwestycje ze względu na deficyty kadrowe.

PG: Pracowników motywują benefity. Coraz więcej firm w Polsce oferuje im prywatne ubezpieczenia zdrowotne, karnety do kina, klubu fitness czy inne bonusy.

MŻ: Lepiej je mieć niż nie mieć, ale pełnią drugorzędną rolę. Pracownicy myślą racjonalnie. Liczy się to, co wpada im do kieszeni. Z sondaży wynika, że 70 proc. Polaków odczuwa w pracy brak podwyżki, a nie benefitów. Co więcej, prawie 60 proc. oczekuje tej podwyżki w krótkim czasie, podczas gdy pracodawców, którzy planują ją wypłacić, jest tylko 15 proc.

PG: Kwadratura koła...

MŻ: Niekoniecznie. Formą podwyżki mogą być odprowadzane na rzecz pracowników wpłaty do PPK. Pracodawcy będą je mogli wliczyć w koszty uzyskania przychodu i nie zapłacą od nich ZUS-u. Zaś dla pracowników to realne pieniądze. Jeśli zmusi ich do tego sytuacja życiowa, będą je mogli podjąć w każdej chwili.

PG: Ze stratą?

MŻ: Po odliczeniu podatku od zysków i dopłat od państwa, co warunkuje ustawa o PPK. Nie nazywałbym stratą sytuacji, w której – nawet po tych odliczeniach – dostaję z powrotem kwotę o mniej więcej połowę większą od tej, którą sam wpłaciłem.

PG: To nie zmienia faktu, że pracodawcy zostaną obciążeni nowymi obowiązkami.

MŻ: Niekoniecznie. Oferta PZU zapewni im możliwie kompleksową obsługę. Zależy nam, aby do minimum ograniczyć ich wysiłki związane z wdrożeniem i prowadzeniem PPK. Oferujemy pomoc 300 opiekunów klienta korporacyjnego i 2,5 tys. doradców klienta indywidualnego w ponad 400 placówkach w całym kraju. Uruchamiamy nowoczesne portale internetowe dla pracodawców i pracowników. Dzięki nim będą mogli w prosty sposób i online dokonać wielu skomplikowanych operacji związanych z PPK.

PG: Za jaką cenę?

MŻ: Za żadną. W pierwszym roku funkcjonowania PPK rezygnujemy z opłat za zarządzanie nimi. W kolejnych latach opłaty mają być nawet o ponad połowę niższe niż maksimum określone w ustawie o PPK na 0,5 proc. W przypadku większości oszczędzających będą to kwoty rzędu 50 groszy w przeliczeniu na miesiąc.

PG: Czy to altruizm?

MŻ: Odpowiedzialność, ale oparta na twardych biznesowych rachubach. Znamy się na inwestowaniu, o czym świadczą choćby rekordowe wyniki funduszy pasywnych inPZU, a tego rodzaju fundusze mogą w PPK odgrywać istotną rolę. Zarządzamy prawie połową Pracowniczych Programów Emerytalnych w Polsce. Jesteśmy liderem rynku dobrowolnych funduszy emerytalnych, osiągając rekordowe wyniki. Jako Grupa PZU chcemy wspierać program budowania oszczędności Polaków i ich do tego zachęcać. Wszyscy w ten sposób zyskamy.

PG: Patriotyzm gospodarczy?

MŻ: Rozumiany jako otwarcie na świat, jako rozwój polskich kapitałów i polskiej konkurencyjności. Takie podejście procentuje. Dowodem jest najwyższa wśród polskich spółek wiarygodność, jaką cieszy się PZU, mierzona oceną ratingową przyznawaną przez agencję S&P Global Ratings. Godło „Teraz Polska”, którym zostało uhonorowane Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych PZU, mające zarządzać PPK, także zobowiązuje.

PG: I dzięki takiemu podejściu za kilka czy kilkanaście lat pan i my wszyscy będziemy liczyć, jak wzrosły w PZU nasze oszczędności?

MŻ: Przecież zaczęliśmy naszą rozmowę od tego, że znam się na liczeniu...

O dokumencie wiemy wszystko

O zarządzaniu dokumentem w erze gospodarki 4.0.
z **Michałem Czeredysem**,
prezesem zarządu Arcus SA,
rozmawia Stanisław Rem.

Stanisław Rem: Postępujący rozwój technologii sprawia, że coraz więcej informacji przechowujemy w formie cyfrowej. Czy powoli zbliżamy się do wizji środowiska pracy wolnego od papieru?

Michał Czeredys: Już w 1978 r. Frederick Lancaster, amerykański naukowiec zajmujący się obiegiem informacji, stworzył wizję całkowitej rezygnacji z papieru w środowisku biurowym. Po ponad 40 latach widzimy, że papier wciąż jest niezbędnym nośnikiem informacji. Według danych firmy badawczej FTI Consulting 83 proc. pracowników sądzi, że papierowe dokumenty są niezbędne i nie mogą być zastąpione przez ekrany monitorów, tabletów i smartfonów. Wizja zastąpienia dokumentu czy formularza wymagającego pieczętki i podpisu dokumentem cyfrowym nie wydaje się w najbliższych latach możliwa do zrealizowania.

SR: Branża druku przechodziła już wiele rewolucji. Co oferuje dzisiaj i co czeka ją w przyszłości?

MC: Obecnie mówimy o czwartej fali rewolucji przemysłowej, która oznacza także samodzielność systemów, tzw. inteligencję maszynową oraz Internet rzeczy. Przykładem jest urządzenie wielofunkcyjne, które wysyła stronę testową do serwisu, bo autodiagnoza wykazała usterkę. Druk staje się także częścią cyfrowego środowiska pracy, w którym inteligentny system monitoruje nie tylko koszty, ale także bezpieczeństwo obiegu dokumentów, co ma niebagatelny wpływ w świetle dyrektywy RODO.

Popularnym trendem dostrzegalnym w wielu segmentach usług jest ekonomia współdzielenia (ang. *sharing economy*). Popularność wypożyczalni rowerów pokazuje, że kupowanie i posiadanie łatwo można zastąpić współużytkowaniem i współdzieleniem. Przemawiają za tym nie tylko racjonalność i wygoda, ale również oszczędność i ekologia. Współpraca Arcusa, Kyocery i Zeccera doskonale wpisuje się w coraz bardziej popularny trend gospodarki opartej na minimalizowaniu konsumpcji i współdzieleniu dóbr.



© MAREK WIŚNIEWSKI/ARCUS



SR: Jak gospodarkę współdzielenia można odnieść do branży druku?

MC: Dzięki naszemu rozwiązaniu klienci nie tracą czasu i energii na kupno, serwis czy naprawę drukarki. Kiedy potrzebują dokumentu na papierze, wydają dyspozycję za pomocą komputera lub smartfona i odbierają wydruki w dogodnym dla siebie miejscu. Ich wysoką jakość gwarantują wielofunkcyjne urządzenia Kyocera, nie tylko znane z trwałości i wydajności, ale również zapewniające bezpieczeństwo i poufność dokumentów i danych. Jestem przekonany, że Polacy polubią proste i wygodne rozwiązanie Arcus Kyocera Zeccer, tak jak pokochali rowery miejskie.

SR: System obiegu dokumentów radykalnie zmienił się również w firmach obsługujących setki tysięcy, a nawet miliony klientów.

MC: Chociaż duże korporacje stawiają na automatyzację procesów, to nie rezygnują z papierowej dokumentacji. Uważnie analizują koszty obiegu dokumentów, wybierając rozwiązania zapewniające rozsądne gospodarowanie drukiem. Efekty są widoczne. Zamiast 15 drukarek często wystarcza jedno urządzenie wielofunkcyjne. Bezpowrotnie odeszły czasy, kiedy tylko na jednym piętrze dużej organizacji spotkać można było kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt drukarek. Do tego były to zwykłe urządzenia wielu producentów, wymagające różnych materiałów eksploatacyjnych czy ekip serwisowych. Takie obrazy to wyłącznie wspomnienia. Dziś korporacje stawiają na systemy druku, w tym drukarki i urządzenia wielofunkcyjne od jednego dostawcy, które zapewniają nie tylko drukowanie, ale też skanowanie i kopiowanie. Bardzo popularne i wręcz niezbędne stało się oprogramowanie wspierające zarządzanie drukiem. Dzięki bogatym opcjom zapewnia ono ochronę danych, bezstresowe skanowanie i drukowanie oraz kontrolę kosztów. W ostatnim obszarze także widać dużą zmianę. Kiedyś kwoty wydawane na zarządzanie drukiem, szacowane od kilku do kilkunastu procent przychodów, ginęły w natłoku innych. Dziś szczególnie duże firmy starają się precyzyjnie wyliczać koszty i przypisywać je do działów, projektów czy osób. Wreszcie w ostatnich latach w korporacjach widoczny był trend odchodzenia od zakupu sprzętu na rzecz dzierżawy i outsourcingu.

SR: W jaki sposób nowoczesne technologie sprzyjają oszczędnościom?

MC: Urządzenia drukujące są bardziej niezawodne i posiadają wspomnianą inteligencję maszynową, która optymalizuje koszty obsługi. Mogą być wyposażone w ceramiczny bęben, praktycznie niezniszczalny, co ma pozytywny wpływ na środowisko. Systemy zarządzania drukiem przypisują urządzenia wielofunkcyjne do poszczególnych pracowników. W rezultacie tylko prezes może odebrać poufny dokument z drukarki, a jednocześnie nikt nie wydrukuje sobie setek stron prywatnych materiałów, gdyż system zapisuje, kto, gdzie i co drukował. W zależności od wielkości organizacji koszty produkcji papierowej dokumentacji mogą sięgać od 5 do 15 proc. przychodów. Wykorzystując nowoczesne technologie, można te wydatki zredukować nawet o jedną trzecią.

SR: Wcześniej wspominał pan o bezpieczeństwie danych.

Jak ocenia pan wyzwania, które w ubiegłym roku postawiła przed firmami i instytucjami Regulacja Ochrony Danych Osobowych w obszarze zarządzania dokumentem?

MC: Przez lata utrwałała się tendencja dbania głównie o zabezpieczenia antywirusowe komputerów, a już niekoniecznie o obszar zarządzania drukiem. Nieprzypadkowo w urządzeniach Kyocery zainstalowane są rozwiązania wzmacniające bezpieczeństwo. Jednym z nich jest identyfikacja użytkownika poprzez kod PIN lub kartę. Dzięki niej klient ma pewność, że takie dokumenty, jak decyzje płatnicze, rozliczenia czy wezwania, w których nie brakuje danych osobowych, trafią bezpośrednio do rąk osób zlecających wydruk.

Zapewniamy zróżnicowany ze względu na prowadzoną działalność poziom zabezpieczeń, dzięki czemu jesteśmy w stanie sprostać nietłumym wymaganiom stawianym przez RODO. Przedsiębiorca prowadzący średnią firmę, prezes spółdzielni mieszkaniowej czy dyrektor szpitala może być spokojny o ochronę danych w obszarze drukowania. Urządzenia naszego japońskiego partnera posiadają rozwiązania, które zabezpieczają informacje na dyskach urządzeń wielofunkcyjnych czy drukarek, oraz funkcje zapewniające bezpieczne monitorowanie i zarządzanie skanowanymi, kopiowanymi i wysyłanymi dokumentami. Arcus dba także o bezpieczeństwo i komfort pracy, proponując autorskie oprogramowanie.

Chciałbym, aby **mój znak** **Solidarność** znów **zjednoczył ludzi**

O polskim logotypie, który jest znany na całym świecie, symbolice znaku „Solidarność” oraz o tym, że sztuka może uczestniczyć w wielkich historycznych wydarzeniach, z **Jerzym Janiszewskim** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

Marzena Tataj: Urodził się pan w Płocku, liceum plastyczne ukończył w Warszawie i tu zdawał na Akademię Sztuk Pięknych, jednak studiował w Gdańsku.

Jerzy Janiszewski: To przypadek sprawił, że znalazłem się w Gdańsku. Zdałem na ASP w Warszawie, jednak z braku miejsc skierowano mnie do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku (dzisiaj ASP). Po pierwszym semestrze planowałem wrócić do Warszawy, ale urzekł mnie klimat szkoły, ludzie, klub Żak, akademik Mewa i SPATIF w Sopocie... Wszystko to sprawiło, że przeszła mi ochota na szybki powrót. Dość wcześnie założyłem rodzinę,

urodziła się moja córka, wkrótce też dostałem pierwsze zlecenia na projekty graficzne. W Gdańsku po prostu poczułem się genialnie.

MT: Jest pan twórcą znaku Solidarności, jednego z najbardziej rozpoznawalnych logotypów na świecie.

JJ: Mieszkalem w Gdańsku, więc kiedy w sierpniu 1980 r. zastrajkowała Stocznia Gdańska im. Lenina, nie było mi to obojętne. Od pierwszych dni stałem pod bramą numer 2, w coraz większym tłumie wspierających protest. Potem udało mi się otrzymać przepustkę upoważniającą do wejścia na teren Stoczni i tak już zosta-



© BOGUSŁAW NIEZNAJSKI



© A. LEMUS

Jerzy Janiszewski – niezależny projektant i grafik.

Absolwent PWSSP w Gdańsku na Wydziale Projektowania Graficznego. Autor loga „Solidarność”, jednego z najbardziej rozpoznawalnych znaków na świecie. W stanie wojennym, w 1982 r., wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec, a w 1983 r. do Paryża, gdzie otrzymał stypendium artystyczne i pracownię. W 1996 r. wrócił do Polski. W Sopocie założył studio Ograf. W 1998 r. wyjechał do Barcelony, skąd w 2009 r. przeniósł się do La Coruña. Od 1986 r. realizuje plenerowe instalacje z tysięcy wstążek, wtopione w urbanistyczną przestrzeń miasta (m.in. „Koncert na wstążki” w 2012 r. w Gdańsku, „Łódzki koncert” w 2016 r.). Prezentował swoje prace w kraju i za granicą, m.in. w Paryżu, Barcelonie, Wenecji, Berlinie, Nowym Jorku. Jego wystawa indywidualna w Waszyngtonie (w galerii Charles Krause Reporting Fine Art) została uznana przez „Washington Post” za jedną z dziesięciu najciekawszych w 2012 r. Laureat licznych nagród. W 2011 r. wyróżniony Nagrodą Prezydenta Miasta Gdańska „Neptuny”.

Plakat „21 x TAK”

Na sąsiedniej stronie:
**pierwsze koszulki ze
znakiem Solidarności.
Drugi od prawej Jerzy
Janiszewski, twórca zna-
ku. Stocznia Gdańska
im. Lenina,
sierpień 1980 r.**



łem do końca strajku w samym jego centrum. Do domu wracałem w nocy, aby się trochę przespać. Obserwowałem z bliska przebieg wydarzeń, niesamowite emocje, polskie flagi, przemówienia, otwarte dyskusje, wspólne śpiewanie, łzy. Takie bezpośrednie zderzenie z demokracją, po raz pierwszy w życiu, było dla mnie szokiem. Widząc to wszystko, wiedziałem, że muszę coś zrobić, wyrazić jakoś swoje emocje, wesprzeć strajkujących. Jestem grafikiem, więc chciałem się wypowiedzieć poprzez plakat albo znak. Szukałem symboli, myślałem o bramie stoczni, która nie dzieliła, a wręcz przeciwnie – spajała wszystkich strajkujących. Rozważałem też flagi albo kwiaty. Zacząłem od spisywania haseł strajkowych pisanych na murach, gdzie powtarzało się słowo „solidarność” odmieniane przez wszystkie przypadki: „tylko solidarnie”, „nasza solidarność”, „solidarni z...”. Szybko stało się dla mnie oczywiste, również dzięki sugestii mojego przyjaciela, młodego poety Krzysztofa Kasprzyka, że właśnie to słowo obrazuje wszystko. Wieczorem, w mieszkaniu na Morenie, zacząłem kombinować graficznie, jak najlepiej je wyrazić, jakim krojem pisma. Nie byłem zadowolony z projektów. I nagle przyszła myśl, że należy je napisać odręcznie, farbą, tak jak pisano hasła na murach. Zacząłem łączyć litery, tak jak łączyli się ludzie, którzy byli jakby ogniwami jednego łańcucha. Na papierze formatu A5, małym pędzelkiem i czerwoną farbą napisałem: SOLIDARNOŚĆ. Zbliżałem litery do siebie coraz

bardziej, co miało symbolizować ludzi trzymających się razem – solidarnych. Akcenty miały kojarzyć się z ich głowami. Flaga najbardziej proporcjonalnie wyglądała na literze „N”. Za trzecim razem wyszły mi odpowiednie proporcje i dynamika znaku.

20 sierpnia przedstawiłem projekt w Stoczni Gdańskiej do zaakceptowania – wyrażono zgodę na rozpowszechnienie go w strajku. Brakowało jednak możliwości technicznych i papieru na reprodukcję, więc zwróciłem się o pomoc do przyjaciół.

I tak Andrzej Popiel zrobił odpowiednie klisze na Politechnice Gdańskiej, Ania i Tadeusz Strzelczykowie uruchomili swój mały warsztat sitodruku w Sopocie, ktoś dał farbę. Wykonaliśmy pierwsze wydruki, ręcznie, powoli. Papier przynosił, kto tylko miał. Drukowaliśmy znak z napisem „GDAŃSK Sierpień '80” na papierze formatu A5, później też na A3. Pomagało wiele osób. Codziennie, do końca strajku, drukowaliśmy 100–200 egzemplarzy. Przy okazji powstał też plakat „21 x TAK”. Projekt zrobiłem naprędce, według pomysłu wspomnianego Krzysztofa Kasprzyka. Wydrukowaliśmy około 50 sztuk formatu A3. Powstało również kilka koszulek ze znakiem „Solidarność”. Warto tu przypomnieć, że Krzysztof jest autorem tekstu „Piosenki dla córki”, do którego muzykę skomponował Maciej Pietrzyk. Piosenka była wykonywana w czasie strajku, a później śpiewała ją między innymi Joan Baez.

Pierwszy wydruk A5, który zaniósłem do Stoczni i który zachowałem do dzisiaj, podpisali: Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz, Henryk Krzywonos oraz ktoś z Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego (MKS). Tak się to wszystko zaczęło.

Kolejne wydruki przekazywałem w Stoczni Krzysztofowi Wyszowskiemu i Bogdanowi Borusewiczowi. Znak pojawił się w Sali BHP, gdzie odbywały się obrady MKS, i na bramie Stoczni. Pomagałem przy wytapetowaniu nim małej sali przygotowanej na spotkanie z przedstawicielami rządu. Wydruki rozrzucono w tłumie przy



„Koncert na wstążki”, Gdańsk, Targ Węglowy, 2018 r.

bramie, były dosłownie rozchwytywane. Część trafiła do stoczni w Gdyni. Znak poszedł w obieg. Media z całego świata sprawiły, że pojawił się w innych krajach szybciej niż w zablokowanej wtedy Polsce. Później, już po podpisaniu porozumienia, dowiedziałem się z prasy, że został znakiem powstałego właśnie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”.

Kamil Broszko: Czy stworzenie tego znaku było zdarzeniem kluczowym i determinującym pana życie? A może ten projekt stał się również pewnego rodzaju brzemieniem?

JJ: Byłem szczęśliwy i dumny z obecności znaku wśród strajkujących, ale na pewno nie zdeterminował on mojego życia. Przecież nie było jeszcze wiadomo, jak się potoczą wydarzenia, jak się skończy strajk. Nie przypuszczałem wtedy, że znak wyjdzie poza bramy Stoczni czy poza Trójmiasto, nie wiedziałem, że powstanie NSZZ z nazwą i znakiem „Solidarność”. W miarę upływu lat, wraz z tym, jak znak zaczął być znany, widoczny, jak towarzyszył najważniejszym wydarzeniom w Polsce, w stanie wojennym czy w wyborach w 1989 r., oczywiście zacząłem zdawać sobie sprawę z istoty tego szczęśliwego zbiegu okoliczności, w wyniku którego mogłem być bezpośrednim świadkiem historycznych wydarzeń i miałem możliwość zrobienia czegoś ważnego. Coś takiego może się zdarzyć raz w życiu. Robiłem wszystko, by znak nie stał się brzemieniem i bym mógł dalej normalnie pracować, projektować.

KB: Czym był znak „Solidarność” w 1980 r., a czym jest dzisiaj?

JJ: Znak ten w 1980 r. wyrażał niewiarygodną solidarność i determinację Polaków. Stał się symbolem przemian, walki o demokratyczną Polskę, o wolność. Był też nadzieją i radością. Nigdy nie zapomnę, jak pewnego dnia, jakiś miesiąc po zakończeniu strajków, w tramwaju w Gdańsku starsza pani zauważyła i długo wpatrywała się we wpięty w moją koszulę mały znaczek „S” – jeden z pierwszych plastikowych badge’ów. Podarowałem jej ten znaczek. Ona go ucałowała i potem mocno zacisnęła w dłoni, prawie się popłakała.

A dzisiaj jest problem. Znak, owszem, istnieje. Używa go w swojej identyfikacji NSZZ „Solidarność”, która z prawdziwą solidarnością nie ma nic wspólnego. Znak jest dewaluowany, deformowany, nielegalnie wykorzystywany komercyjnie w Polsce i na świecie. Kto dzisiaj poza mną wie, jak wygląda jego wersja oryginalna? Demoluje się jego wartość artystyczną i historyczną, również prawa autorskie. A jak już pojawia się czasem na manifestacjach dotyczących podstawowych praw, na przykład w obronie konstytucji, grozi się za to sankcjami karnymi. Obecna Polska jest inna.

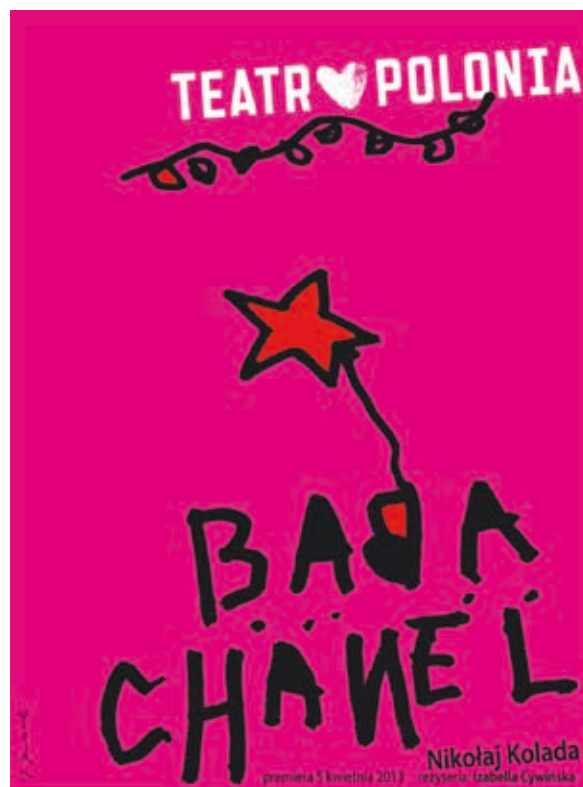
KB: Nieraz powiada się, że sztuka nie ma wpływu na ważne zmiany historyczne i społeczne, jest raczej ich tłem, komentarem. Jednak pana dzieło ze względu na siłę oddziaływania i kontekst wydaje się być równoprawnym współuczestnikiem zmian. Czy pan również tak je postrzega?

JJ: Sztuka nie ma wpływu na zmiany społeczne czy historyczne, jeżeli bezpośrednio, równoległe w nich nie współuczestniczy, jeżeli jest robiona na jakiejkolwiek zamówienie, np. polityczne. Przemija wtedy bez większego znaczenia artystycznego, tak samo



Plakat do spektaklu
„Baba Chanel”, Teatr Po-
lonia, Warszawa, 2012 r.

Logotypy:
polskiej prezydencji
w Radzie UE, 2011 r.;
rocznicy wyborów '89,
2019 r.;
25 lat wolności, 2014 r.;
portalu Polonia.es,
Hiszpania, 2013 r.;
Observatorio Javeriano
de Juventud, Uniwersy-
tet w Bogocie, 2009 r.;
Fundacji Urban Forms,
Łódź, 2016 r.;
Nadbałtyckiego Cen-
trum Kultury, Gdańsk,
2002 r.;
galerii sztuki Begoña
Malone, Madryt, 2001 r.



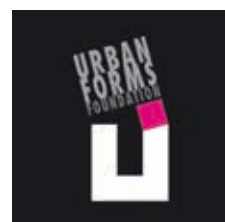
szybko jak ideologie, którym towarzyszy. Znak „Solidarność” po-
wstał w kontekście bezpośrednich wydarzeń, razem z nimi, nie jest
efektem zamówienia, nie został narzucony z góry. Wykreowały go
wydarzenia i ludzie z nimi związani.

MT: W 2012 r. stworzył pan logo „Solidarność 2012”,
w którym każda litera jest inna. Czy ta koncepcja odzwier-
ciedla wewnętrzny podział, rozpad społeczeństwa i ma być
kontrastem dla jedności i zwartości pierwszej Solidarności?

JJ: Tak, bowiem dawna jedność nie istnieje. Natomiast członko-
wie wielu grup czy partii politycznych uważają, że Solidarność to
ich korzenie i że reprezentują jej wartości, choć głoszą odmienne
programy i mają inne cele polityczne. Stąd taka interpretacja zna-
ku – jego rozbicie na człony i białoczerwone flagi powiewające
w różnych kierunkach.

MT: Mimo że jest pan autorem znanego loga i solidarycy,
nie wykorzystuje tego faktu do lansowania swojej osoby.
Nie broni także użycia logotypu w ważnych sprawach
społecznych.

JJ: Wolę działać, pracować w zaciszu. Sam stworzyłem sporo
prac z użyciem tzw. solidarycy, do której mam wyłączne prawo:
„'89 2019 GDAŃSK” na 30. rocznicę wyborów, „25 lat wolności”,
plakat „Danuta W” dla Teatru Polonia w Warszawie, „Kolęda Nocka
30 lat później”, „Archiwa Przełomu”, „PL 2011.eu”, plakat „Człowiek
z żelaza” do filmu Andrzeja Wajdy. W Paryżu stworzyłem solidarno-
ściowe ulotki przeciwko stanowi wojennemu, a także napis „Sara-



jevo", który otwierał manifestację w obronie tego miasta podczas konfliktu bałkańskiego. Z kolei znak „Madrid” z 2004 r. był wyrazem solidarności z ofiarami zamachu terrorystycznego z 11 marca.

Żeby było jasne: zgodnie z prawem autorskim nie wolno kreować logotypów na wzór znaku „Solidarność”, z wykorzystaniem solidarycy. Absolutnie nikt nie ma do tego prawa bez mojej zgody. Niestety były takie przypadki, które deprecjonują wartość historyczną i artystyczną oryginalnego znaku. Użyto go między innymi do promocji wódki czy papierosów, oczywiście nielegalnie. Wszystkie tego typu działania staram się powstrzymywać, choć nie jest to prosta sprawa.

KB: W stanie wojennym wyjechał pan do Niemiec. Później przebywał we Francji na stypendium, ale ostatecznie osiadł w Hiszpanii. Czy wybór kultury iberyjskiej był przypadkowy?

JJ: I tak, i nie. Do Barcelony zaprosił mnie przyjaciel, muzyk, autor i kompozytor Paco Ibáñez, z którym pracowałem wcześniej przez 13 lat w Paryżu. Tym razem również chodziło o współpracę, mianowicie o stworzenie projektów graficznych do wszystkich jego wznawianych płyt, plakatów koncertowych itd. Czas szybko minął i w rezultacie od 20 lat żyję w Hiszpanii – najpierw w Katalonii, a teraz w Galicji, w La Coruña. Już wcześniej pracowałem w Madrycie, Walencji, w Kraju Basków, Andaluzji i zawsze fascynowała mnie różnorodność kultury iberyjskiej. Ludzie, temperament, klimat, kuchnia i przede wszystkim aktualna rodzina są powodem, dla którego tu się zatrzymałem.

MT: Czy może pan opowiedzieć o aktualnych projektach artystyczno-zawodowych?

JJ: Najważniejszy i najbardziej aktualny projekt to logotyp dla Gdańska na obchody 30-lecia wyborów oraz liczne wersje tego znaku dla innych miast w Polsce. We współpracy z Fundacją im. Ronalda Reagana powstaje projekt pomnika prawdziwej Solidarności, który stanie w Warszawie. Podobny pomnik, choć nieco mniejszy, ma stanąć przed siedzibą NATO w Brukseli. Od dłuższego czasu pracuję z Jurkiem Misiornym, przyjacielem mieszkającym w Hamburgu, nad nową stroną internetową prezentującą moje prace. Stałym, nieprzerwanym zajęciem jest tworzenie kolaży z różnych materiałów, które w wolnych chwilach montuję przy akompaniamencie muzyki – to praca, która mnie relaksuje.

MT: Mimo że żyje pan i pracuje w Hiszpanii, chętnie angażuje się w projekty w Polsce. Proszę opowiedzieć o „Koncercie na wstążki” i o projekcie „Ogarna 2.0”.

JJ: Zawsze podkreślam, że jestem z Gdańska, zaś każda okazja pobytu w Polsce, a już szczególnie związana z pracą, sprawia mi ogromną radość.

Pomysł „Koncertu na wstążki” powstał w 1986 r. Projekt został zrealizowany w San Sebastián, a zainaugurowany w Madrycie

przed operą na placu Izabeli II w czasie Festiwalu Jesiennego. Później co kilka lat wystawiałem go we Francji, w Barcelonie, aż w końcu w Gdańsku w 2012 r. w ramach festiwalu Solidarity of Arts. Największą realizację pokazałem w Łodzi na Starym Rynku w 2016 r. Instalacja miała wymiary 30 × 30 m, a do jej przygotowania wykorzystano 50 km wstążki. Ostatni „Koncert na wstążki” został otwarty w ubiegłym roku przez prezydenta Pawła Adamowicza na Targu Węglowym w Gdańsku. Zadeedykowałem go Lechowi Wałęsie z okazji 35-lecia przyznania Pokojowej Nagrody Nobla.

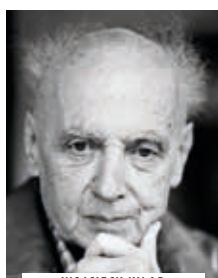
Instalacje te to podwieszane na siatce, na dużej wysokości, lekkie, polipropylenowe wstążki długości 10 metrów. Są ich tysiące, za każdym razem mają inne kolory i tworzą inne kompozycje. Wiatr, słońce, światło sprawiają, że cała ta ruchoma masa, przenikające się kolory, nigdy niepowtarzające się układy wstążek tworzą spektakularny audiowizualny spektakl. Daje on ludziom olbrzymią radość i energię, dostarcza nowych wrażeń wizualnych.

Udział w „Ogarna 2.0” był dla mnie szczególnym wyzwaniem. Chodziło o stworzenie projektu ciągu elewacji dziewięciu budynków w prestiżowym miejscu w Gdańsku, na Rybackim Pobrzeżu, tuż przy kanale Motławy. To przestrzeń naznaczona historią, z powojennymi kamieniczkami, zatem po przestudiowaniu dokumentacji fotograficznej wpadłem na pomysł wkomponowania w elewacje historycznych napisów związanych dokładnie z tym miejscem. Dziś widnieją tam dawne nazwy niemieckich i hollenderskich sklepów; napisy są starte, jakby nadgryzione zębem czasu. Z większej odległości widać również duży napis „Gdańsk”.

MT: Jak powstawało logo polskiej prezydencji w Unii Europejskiej oraz logo 30. rocznicy wolnych wyborów?

JJ: Otrzymałem zaproszenie do udziału w konkursie na znak polskiej prezydencji w UE. Wybrano mój logotyp. Wbrew różnym opiniom nikt nie sugerował mi nawiązań do znaku Solidarności. Byłem przekonany, że taka interpretacja – odwołanie się do historycznego i aktualnego jeszcze wtedy polskiego symbolu – będzie właściwa. Poza tym znak nie był adresowany jedynie do Polaków, musiał być czytelny dla ludzi w różnych krajach Unii. Stworzyłem strzałki w kolorach flag państw Unii Europejskiej, trzymające się razem jak ludzie, a prowadzi je Polska, którą wyróżnia flaga ze znaku Solidarności.

Mój najnowszy projekt, stworzony z okazji 30. rocznicy czerwonych wyborów, powstał na zlecenie Urzędu Miejskiego w Gdańsku. Przygotowałem również wersje dla wielu innych miast w Polsce. Prosty, typograficzny znak z datami 1989 i 2019, pisany solidarycą, jest połączony z nazwą miasta. Nawiązuje do wyborów w 1989 r., podczas których znak „Solidarność” był obecny wszędzie i jednoznacznie wskazywał, na kogo warto głosować. Z tego projektu wyodrębniłem również znak „2019”, który znalazł się między innymi na okładce państwa pisma. Chciałbym, aby zsolidaryzował ludzi, a także – ze względu na wielką wagę podwójnych wyborów w Polsce – zachęcił ich do wzięcia udziału w głosowaniu.



WOJCIECH KILAR



HILARY KOPROWSKI



prof. MARIA SIEMIONOW



prof. JACEK JASSEM



ADAM MAŁYSZ



prof. WIESŁAW L. NOWIŃSKI



prof. HENRYK SKARŻYŃSKI



RAFAŁ OLBIŃSKI



KRZYSZTOF PENDERECKI



dr JANUSZ LEWANDOWSKI



prof. MAREK BELKA



ANDRZEJ WAJDA



dr JAN KULCZYK

Konkurs Wybitny Polak

www.wybitnypolak.pl



ZYGMUNT SOLORZ-ŻAK



WALDEMAR DĄBROWSKI



dr IRENA ERIS



ELŻBIETA WYSZCZKA



prof. KRZYSZTOF MATYJASZEWICZ



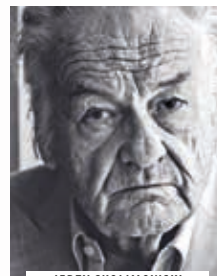
JAN A.P. KACZMAREK



KRZYSZTOF PASTOR



ks. prof. MICHAŁ HELLER



JERZY SKOLIMOWSKI



KAMIL STOCH



MARCIN GORTAT



ANDRZEJ PĄGOWSKI



KRZYSZTOF ZANUSSI

Trzeba pewne sprawy stawiać na ostrzu noża

O nowym serialu, traumach Ziemi Zachodnich i potrzebie budowania tożsamości historycznej z **Waldemarem Krzystkiem** rozmawia Kamil Broszko.

Waldemar Krzystek (ur. 23 listopada 1953 r. w Swobnicy) – polski reżyser i scenarzysta filmowy. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim i reżyserię na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W 1987 r. za film „W zawieszeniu” został wyróżniony nagrodą za debiut reżyserski na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, nagrodą za scenariusz na Lubuskim Lecie Filmowym w Łagowie, Nagrodą Artystyczną Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego, Nagrodą Przewodniczącego Komitetu Kinematografii oraz Nagrodą Niezależnego Komitetu Kultury Solidarności dla najlepszego filmu 1986 roku. Otrzymał również Nagrodę Prezydenta Gdyni na FPFF (1989 r.) i Nagrodę Przewodniczącego Komitetu Kinematografii (1990 r.) za „Ostatni prom” oraz Nagrodę Kodaka za film „Polska śmierć”. Na festiwalu w San Sebastián za film „Zwolnieni z życia” wyróżniony został nagrodą FIPRESCI i nagrodą specjalną jury, zaś Krystyna Janda za rolę w tymże filmie otrzymała nagrodę dla najlepszej aktorki – Srebrną Muszlę. Jest twórcą filmu fabularnego (i serialu) pt. „Mała Moskwa”, który na 33. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w 2008 r. zdobył Złote Lwy. Reżyserował serial „Anna German”, który stał się międzynarodowym przebojem. We wrześniu 2013 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Dolnego Śląska Civi Honorario, nadany przez Sejmik Województwa Dolnośląskiego. W 2014 r. został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. W marcu 2018 r. wyróżniony tytułem Honorowego Obywatela Legnicy.



Kamil Broszko: Dziękuję za spotkanie, tym bardziej że do ostatniej chwili wisiąco na włosku, bowiem jest pan mocno zaangażowany w tworzenie nowego serialu. Proszę o nim opowiedzieć.

Waldemar Krzystek: Akcja serialu „Dom pod Dwoma Orłami” rozpoczyna się we Wrocławiu. Jest lipiec 1997 r., dzień przed powodzią. Marianna, niefrasobliwa studentka architektury, wraca do rodzinnego domu ze stypendium w USA. W nocy woda zalewa tytułowy Dom pod Dwoma Orłami do wysokości pierwszego piętra. Kiedy woda opada, okazuje się, że żywioł odsłonił skrywane przez lata poniemieckie tajemnice współczesnego Wrocławia. Akcja cofa się do końca I wojny światowej. Niemiecka rodzina Weberów osiedla się w Breslau i buduje Dom pod Dwoma Orłami. Równoległa opowieść dzieje się na Kresach Wschodnich, a rozpoczyna w 1920 r. Obserwujemy wątek miłosny: rozkwita uczucie między Antonim Szablewskim i Zofią, mimo sprzeciwu ojca dziewczyny. Antoni, ciężko pracując, odbudowuje rodzinny majątek i ponawia prośbę o rękę – tym razem zostaje przyjęty. Uprawiana fachowo ziemia przynosi coraz większe dochody, Antoni zakłada fabrykę narzędzi rolniczych, a także – aby zabezpieczyć rodzinę na czarną godzinę – deponuje kapitał w banku w Szwajcarii. Niestety, przychodzi rok 1939, wybucha wojna, zmobilizowany Antoni dzieli los innych polskich oficerów w ZSRR, majątek i fabryka zostają zarekwirowane przez Rosjan, a wyjazd do Szwajcarii jest niemożliwy. W zimie 1940 r. dochodzi do pierwszej zsyłki polskiej ludności. Zofia z maleńkimi dziećmi zostaje zesłana do Kazachstanu. Traci tam wszystkich bliskich, zostaje sama. Powojenna zmiana granic uniemożliwia jej powrót do kresowego majątku. Repatriowana na Ziemię Odzyskane, w ruinach Festung Breslau spotyka kilkuletnią niemiecką sierotę, która jako jedyna ocalała z niemieckiej rodziny Weberów. Rozpoczyna się ich wspólna historia w powojennym już Wrocławiu.

KB: Scenariusz pisał pan z żoną, scenarzystką Małgorzatą Kopernik. Ile w nim faktów historycznych, a ile twórczej fikcji?

WK: Scenariusz pisaliśmy przez 10 lat. W tym przypadku nie mogliśmy korzystać z prawa do całkowitej swobody twórczej, gdyż historia Dolnego Śląska i Kresów Wschodnich, zwłaszcza Wołynia, jest znana i dobrze opisana. Początkowo chciałem robić ten film w koprodukcji z Niemcami, korzystając z fali pojednania, ale szybko okazało się, że wiele scen nie miałoby szansy znaleźć się w filmie, gdyż mogłyby urazić naszych zachodnich sąsiadów. Nie miało znaczenia, że były oparte na historiach opowiedzianych i spisanych przez samych Niemców. Ewentualni koproducenci nie chcieli uznać tych świadectw, twierdząc, że sponiewierali je Niemcy... poddani komunistycznej propagandzie! „Nawet jeśli jednym z nich jest proboszcz parafii św. Maurycego, Paul Peikert?” – kpiłem. Niemcy stale czyszczą swoją historię z niewygodnych treści. Grafina Melitta Sallai, właścicielka Pałacu Morawa, aż do 1955 r. żyła w przekonaniu, że to Polacy wywołali II wojnę światową, mordując niemieckich żołnierzy w Gliwicach. Tego dowiedziała się

w niemieckiej szkole kilka lat po wojnie. Grafinia Melitta to ciekawa postać. Jest ostatnią żyjącą osobą, która jako dziecko widziała w komplecie kolekcję Czarotoryskich.

KB: Czy w „Domu pod Dwoma Orłami” szerzej podejmuje pan temat wywożenia dzieł sztuki przez Niemców tuż przed zakończeniem wojny?

WK: Nie mogę zdradzić panu treści całego filmu, ale opowiem ciekawą historię. Prof. Günther Grundmann zabezpieczał dzieła sztuki z kościołów, muzeów, klasztorów Dolnego Śląska, a także te zagrabione z ziem polskich. Ukrywał je w pałacach i zamkach na Dolnym Śląsku. W ten sposób w styczniu 1945 r. kolekcja Czarotoryskich trafiła na przechowanie do pałacu państwa von Wietersheim-Kramsta w Muhrau (dzisiejsza nazwa: Pałac Morawa). Pod koniec lutego 1945 r. Grundmann przyjechał ponownie do pałacu, a że już wiadomo było, jak zakończy się wojna, dokonał wysięgowania i zabrał „Portret młodzieńca” Rafaela Santiago, którego po dziś dzień nie można odnaleźć. Grafowie z Muhrau zostali ewakuowani do Niemiec. Po wojnie wysłali do profesora list z żądaniem zwrotu obrazu, ale nie dostali odpowiedzi. Po śmierci Grundmanna napisali do jego syna i tym razem otrzymali odpowiedź, że w masie spadkowej po profesorze taki obraz nie występuje.

KB: Czy zna pan dzisiejsze, choćby przybliżone szacunki dotyczące wartości dzieł sztuki wywiezionych z Polski w czasie II wojny światowej?

WK: Nie znam takich szacunków, ale mogę przytoczyć wypowiedź Mellity Sallai. Jej rodzina, która należała do posiadaczy ziemskich, podczas wysiedlenia z pałacu mogła wziąć ze sobą tylko rzeczy osobiste i z takim ekwipunkiem rozpoczynać nowe życie w głębi Niemiec. Żołnierze niemieccy, a w szczególności oficerowie, przywozili do domów zagrabione łupy wojenne, niekiedy nawet wagonami. Z ich sprzedaży żyły następne pokolenia.

KB: Grabież dzieł sztuki to nie był jedyny sposób robienia pieniędzy na wojnie.

WK: Mamy w filmie scenę opartą na relacji świadków, w której dyrektor banku na placu Solnym we Wrocławiu odmawia przetopienia na sztaby 600 kg złotych zębów przywiezionych przez gestapo, chcące w ten sposób zatrzeć ślady grabieży i mordów. Dyrektor odmówił, gdyż obawiał się, że kiedyś zostanie zapytany, skąd miał owe zęby, kto, gdzie, kiedy i komu je wyrwał. Został powieszony za sianie defetyzmu i brak wiary w zwycięstwo Niemiec. Znany jest również fakt odnalezienia przez wojska amerykańskie w skalnych jaskiniach w Bawarii kopalnianych wagoników pełnych złotych zębów, biżuterii i innych kosztowności.

KB: Czy trzeba pokonać sporo przeciwności, by realizować duży projekt filmowy, który przez wiele grup uznawany jest za kontrowersyjny?

WK: Trudno było nam znaleźć koproducentów z Ukrainy, bo uważano, że naszym filmem obrażamy naród ukraiński. Nie przyjmuje się tam do wiadomości – chociaż to fakty udokumentowane w kronikach filmowych z czasów wojny – że Ukraińcy traktowali hitlerowskich Niemców wkraczających na ich ziemie w 1941 r. jak wyzwolicieli. Najpierw, wraz z wybuchem wojny we wrześniu 1939 r., na ich teren weszła Armia Czerwona, zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow. A kiedy Niemcy postanowili uderzyć na ZSRR w 1941 r. i w ramach operacji Barbarossa wkroczyli na tereny Ukrainy, mieszkańcy uważali ich za wyzwolicieli. Co więcej, Ukraińcy z Galicji Wschodniej spodziewali się powstania państwa ukraińskiego pod protekcją Niemiec. Nasz film jest mocno osadzony w realiach historycznych, które zostały gruntownie udokumentowane. Wiele problemów współczesności jest skutkiem braku wiedzy historycznej. Jak wspomnieli bohater „Fotografa”, mojego wcześniejszego filmu, naród, który nie zna swojej historii, zostanie pokarany tym, że będzie musiał przeżyć ją jeszcze raz. Wydaje mi się, że dzisiaj coraz więcej ludzi interesuje się historią, o czym świadczyć może choćby popularność portali o dziejach Dolnego Śląska. Ale jeszcze 10 lat temu realizacja takiego serialu była niemożliwa, ponieważ obawiano się rozdrapywania świeżo zabliźnionych ran polsko-niemieckich i naruszenia odradzającej się relacji z Ukraińcami.

KB: Czy tworzenie w okresie komunizmu, w dobie istnienia cenzury, przygotowuje do radzenia sobie z tego typu przeciwnościami?

WK: Elias Canetti powiedział, że żarty zakazane przez cenzurę są słusznie zakazane. Kiedyś stwierdziłem, że cenzura wyrabiała w nas umiejętność budowania metafor, sugerowania sensów i znaczeń. Bo prymitywne walenie wprost nie jest artystycznie uzasadnione w żadnym wypadku. Swoją pierwszy film telewizyjny „Powinowactwo” chciałem zrobić metodą „jak w szkole”, czyli do zatwierdzenia przedłożyłem poprawny politycznie scenariusz, ale nakręciłem jego bardzo zmodyfikowaną wersję. W rezultacie w 50-minutowym filmie miałem aż 53 ingerencje cenzury. Zrozumiałem, że nie tędy droga i takie postępowanie może grozić zatrzymaniem filmu. Części poprawek udało się uniknąć, jednak film został poważnie okaleczony. Kiedy robiłem następny film, tym razem fabularny, pt. „W zawieszaniu”, aż cztery lata trwały rozmowy w ministerstwie kultury dotyczące znaczenia poszczególnych scen. Sytuacja była o tyle trudniejsza, że scenariusz powstawał na podstawie książki „Czas kary”, która ukazała się w podziemiu. Nie wiem, jak by się rzecz potoczyła, gdyby nie pomoc Jerzego Hoffmana i Sylwestra Chęcińskiego. Film opowiada historię opartą na faktach. Jest rok 1949. Były oficer Armii Krajowej Marcel Wysocki został skazany na karę śmierci. Udaje mu się uciec z więzienia i znaleźć schronienie u Anny, swojej ukochanej, która pracuje jako pielęgniarka w legnickim szpitalu. Poszukiwany przez Urząd Bezpieczeństwa Marcel nie wychodzi z domu. Anna pomaga mu przeżyć chwile załamania psychicznego. Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, gdy zachodzi z nim w ciążę. Mijają lata,

Cenzura wyrabiała
w nas umiejętność
budowania metafor,
sugerowania
sensów i znaczeń.
Prymitywne
walenie wprost nie
jest artystycznie
uzasadnione
w żadnym wypadku.

a Marcel ogląda swoje dziecko przez okienko w piwnicy. W gruncie rzeczy film opowiada historię o ukrywaniu się, ratowaniu życia, wolności, wierności podstawowym wartościom. Istota problemu z cenzurą była taka, że film miał być kręcony w stanie wojennym, kiedy to najbardziej odważna część społeczeństwa znowu musiała się ukrywać. Aż korciło dopisać w filmie dedykację: „Ukrywającym się działaczom Solidarności”. Historia AK-owca była odczytywana jako metafora stanu wojennego. Co więcej, Marcel był pierwszym żołnierzem wyklętym pokazanym w polskim filmie. Można się tego domyślić po dialogu Jandy i Radziwiłowicza. Anna (grana przez Jandę) pyta: „Marcel, przecież wojna się dawno skończyła, to co wy robiliście w tym lesie?”. I otrzymuje odpowiedź: „Paliliśmy papierosy”.

KB: Jak podczas pracy nad tym filmem oceniał pan szansę jego ukończenia?

WK: Myślałem, że go nie skończę, szczególnie po tym, jak Waldemar Świrgoń z Komitetu Centralnego PZPR na posiedzeniu w Warszawie oficjalnie zgłosił, że za wiedzą ministra kultury kręci się we Wrocławiu film antypartyjny i antypaństwowy. Po tym wystąpieniu wydano decyzję o przerwaniu zdjęć. Szczęśliwie nie były to czasy Internetu, e-maili i SMS-ów, ale rozmów międzymiastowych łączonych przez centralę. Kierownik produkcji przytomnie odpowiedział,



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

że ekipa jest w plenerze i gdy tylko powróci, zostanie powiadomiona o decyzji. Natomiast ja starałem się w pośpiechu nakręcić wszystkie brakujące sceny, w efekcie Jurek Radziwiłowicz sam, bez kaskadera, wyskakiwał z pociągu. Później oczywiście zdjęcia zostały oficjalnie wstrzymane i dostaliśmy zakaz montażu, aby nie powtórzyła się sytuacja z „Przesłuchaniem” Bugajskiego. Nakręcony materiał zatrzymano pod kluczem i rozpoczęła się gra o dokończenie filmu. Zgodziłem się na zmianę tytułu, a pierwotnie miał być taki sam jak książki – „Czas kary”. Inne zalecenia udało się sprytnie obejść. Wyznaczyliśmy termin kolaudacji na 22 grudnia, mając nadzieję, że tuż przed świętami nie przyjdzie nikt z oficjeli. Niestety, przyszli wszyscy. Film uratowała Wanda Jakubowska, która po projekcji odezwała się pierwsza. A pierwszy głos jest najważniejszy, bo ukierunkowuje dyskusję. Powiedziała – a było to wystąpienie burzliwe, z wulgaryzmami i krzykiem – że zna moją nieprzychylną wypowiedź o niej i jej ostatnim filmie, ale mi ją daruje, bo mam talent, co widać w moim filmie, a dobrych filmów społeczeństwo potrzebuje. Tym stwierdzeniem wytrąciła oręż wszystkim partyjnym krytykantom. To była kobieta z charakterem. Wywalczyliśmy wtedy pozwolenie na dystrybucję pięciu kopii w kinach studyjnych w całej Polsce, przy czym film w jednym kinie mógł być wyświetlany maksymalnie przez tydzień. Mimo tych obostrzeń osiągnęliśmy frekwencję 100 tys. widzów.

KB: W filmie „W zawieszeniu” główne role odgrywa ta sama para aktorów, czyli Krystyna Janda i Jerzy Radziwiłowicz, co w „Człowieku z marmuru” i „Człowieku z żelaza” Andrzeja Wajdy. Dziś ten zabieg stosują się często w kinie anglosaskim, nazywając go rozwinięciem postaci.

WK: Właśnie z powodu tej zbieżności zwróciłem się do Andrzeja Wajdy, aby opowiedzieć mu o zamiarze zatrudnienia tych samych aktorów. Wajda powiedział: „Jest pan na początku swojej drogi, więc warto odpowiedzieć na pytanie, czy reżyseruje pan siebie, czy filmy. Bo jeżeli siebie, to wystarczy kupić sobie skórzane spodnie i kapelusz. A jeśli chce pan reżyserować filmy, musi pan robić to, co jest najlepsze dla filmu”. W ten sposób dał mi wolną rękę, a ja świadomie wybrałem tych aktorów, aby dać widzowi sygnał, że robię film o ludziach z tego samego systemu wartości, z marmuru i żelaza, choć opowiedziany w inny sposób. Zrozumieli to wszyscy w lot. Władze kinematografii początkowo nie zgadzały się na tę „wtórną” obsadę, ale ja nie chciałem być oryginalny...

KB: Historia przedstawiona w filmie wydarzyła się naprawdę.

WK: Szczercze mówiąc, historię AK-owca z Legnicy znałem od lat, ale nie byłem nią specjalnie poruszony, po prostu traktowałem ją jako świadectwo historii. Aż spotkałem się z Jackiem Petryckim, operatorem, który przyjechał do Wrocławia robić wywiad z Władkiem Frasyniukiem. Pamiętajmy, że rzecz dzieje się w stanie wojennym, więc spotkanie z ukrywającym się przed Służbą Bezpieczeństwa Frasyniukiem wymagało specjalnego przygotowania, kluczenia, aby zgubić ewentualny ogon. Petrycki zatrzymał się u mnie na kilka dni i czekał na dalszy kontakt. Operator to człowiek aktywności fizycznej, nienawykły do bezczynności. Naprawił w domu wszystko, co było do naprawienia, uszczelnił krany, obsadził gniazdko, wyregulował telewizor. Wtedy zobaczyłem, co się dzieje z człowiekiem w warunkach przymusowej bezczynności, i od razu na myśl przyszła mi historia AK-owca, który nie pięć dni, ale pięć lat musiał wytrwać w zamknięciu. Taki stan wytrzymają tylko ludzie z mocną psychiką. Doceniłem też postać Anny, która była tak bardzo pomocna i oddana, że Marcel dał radę przeżyć lata w ukryciu. Wtedy zrozumiałem, że mam gotową historię o współczesności, wyrażoną metaforycznie poprzez ukazanie lat 50. Film został dobrze oceniony, zdobył sporo nagród, w tym nagrodę Niezależnego Komitetu Kultury Solidarności.

KB: Toczył pan wojny z cenzurą o każdy tytuł?

WK: Tak, bo robiłem filmy o ludziach uwikłanych w historię. Film „Zwolnieni z życia” powstał świeżo po Okrągłym Stole, kiedy czułem, że atmosfera jest nadal śmierzdząca, bo w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Samochody milicyjne miały świeżo namalowane napisy „Policja”, spod których jeszcze przebijały stare napisy „Mili-cja”, ale wszyscy funkcjonariusze, którzy przesłuchiwali, bili i znęcali się na komisariatach, pozostali na służbie i czuli się bardzo pewnie.

Ten film pokazywał pozór całej sytuacji. Czasami trzeba dużo zmienić, żeby wszystko pozostało tak samo – taką maksymą kierowali się ubecy. Film „Zwolnieni z życia” nie spotkał się z uznaniem na festiwalu w Gdyni, za to zdobył trzy nagrody w San Sebastián: dla Krystyny Jandy za najlepszą kreację aktorską, nagrodę FIPRESCI i nagrodę specjalną jury za wnikliwe przyjrzenie się współczesności.

Mój największy przebój filmowy to „Ostatni prom”, który przez wiele lat był wyświetlany w każdą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Również powstał w zespole Jerzego Hoffmana, dzięki jego wielkiej odwadze i przytomności umysłu. Minister Jerzy Bajdor twierdził, że scenariusz jest dwuznaczny pod względem wymowy polityczno-społecznej i w związku z tym zobowiązał szefa zespołu do wzięcia pełnej odpowiedzialności za ostateczny przekaz filmu, a nawet zagroził rozwiązaniem zespołu. Hoffman wziął na siebie tę odpowiedzialność, a po wyjściu z ministerstwa twardo mi powiedział: „Nie zastanawiaj się ani chwili, zasuwasz na plan i rób, jak najlepiej potrafisz, a później będziemy się martwili, jak dalej postępować”. Dużo zawdzięczam Jerzemu Hoffmanowi, stał się moim mentorem, do którego zawsze mogłem się zwrócić ze sprawami filmowymi.

Kluczowa dla filmu jest scena, kiedy pasażerowie na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego są gotowi skakać do morza, byleby tylko nie wracać do kraju. Bohaterka grana przez Ewę Wencel pyta kapitana, czy będzie do nich strzelał. W tym pytaniu kryje się największe oskarżenie systemu, który pozwalał strzelać do swoich obywateli. Tak przecież się zdarzało w latach 1956 i 1970, na to pozwalało prawo. Film nakręciliśmy, zmontowaliśmy, Przemek Gintrowski napisał muzykę. Pozostało nam jeszcze zatwierdzenie przez cenzurę. Do wytwórni WFDiF przyszedł cenzor z Mysiej i powiedział, że to jest ostatni dzień istnienia urzędu, więc już niczego nie może zakazać i chciał po prostu obejrzeć film. Na tym przykładzie widać, że postawa Hoffmana okazała się słuszna – nie warto bać się na zapas. Film dobrze się sprzedawał za granicą, bo była to historia uniwersalna, zrozumiała dla każdego widza.

KB: Czy przyświeca panu idea budowania światopoglądu poprzez tworzone filmy?

WK: Coraz wyraźniej dostrzegam potrzebę budowania tożsamości historycznej. Ona jest zawsze ważna, bo umożliwia rozumienie współczesności. W sensie biologicznym nasz naród na pewno nie wymrze. Natomiast nastąpią niepowetowane straty, jeżeli będą uszczerbki w świadomości. Warto się odwołać do słynnej rozmowy Churchilla z ministrem wojny, który prosił premiera o ograniczenie wydatków na kulturę w związku z niemieckimi bombardowaniami w Londynie. Na to Churchill zapytał: „To w imię czego prowadzimy tę wojnę?”. Świadomość kulturowa narodu ratowała nas, Polaków, przez całe lata.

Po zrobieniu filmu „Mała Moskwa” telewizja rosyjska zwróciła się do mnie z propozycją nakręcenia serialu o Annie German. Ponieważ rozpocząłem już pracę nad filmem „80 milionów”, Rosjanie czekali na mnie cały rok. Pozwolili na zmiany w scena-

riuszu i dopisanie dwóch odcinków. Pilnowałem prawdy historycznej. Mało kto wie, że Anna German, kiedy przyjechała do Polski, mówiła wyłącznie po rosyjsku. Gdy po premierze filmu udzielałem wywiadu rosyjskiej gazecie, padło pytanie: „Jak to się stało, że polski reżyser zainteresował się naszą śpiewaczką?”, na co odparłem: „Taka ona wasza, jak i nasza”. German spędziła w Związku Radzieckim pierwsze osiem tragicznych lat życia, zaś Polska uratowała ją i jej rodzinę. Kiedy władze radzieckie chciały jej jako uznanej śpiewaczce przyznać ponownie obywatelstwo i dać wille pod Moskwą, odmówiła, bo była lojalna wobec nowej ojczyzny. W postaci wybitnej artystki spłotła się historia obu narodów. Co ciekawe, początkowo Telewizja Polska nie chciała nawet kupić tego serialu, wątpiąc, by w obecnych czasach publiczność była zainteresowana biografią piosenkarki rodem z PRL-u. A okazało się, że każdy odcinek gromadził ponad sześciomilionową widownię. Bo to nie był tylko film biograficzny o piosenkarce. Tak jak „Mała Moskwa” nie jest melodramatem, chociaż jest filmem o sile niemożliwej miłości. W jednej ze scen na spacerunku dla pacjentów szpitala psychiatrycznego widzimy drzewo, którego pień i konary owinięte są drutem kolczastym, aby nie stwarzało możliwości ucieczki. Tak właśnie ustrój komunistyczny wyznaczał granice prywatności, których przekroczyć nikt nie mógł, nikt nie był w stanie.

KB: Chciałby pan filmami dolnośląskimi rozbroić zadawnione i wciąż chyba czynne traumy Ziemi Zachodnich?

WK: Jestem pełen podziwu dla pokolenia, które przyjechało na Dolny Śląsk – szczególnie kiedy oglądam kroniki z 1945 r. To dzielni, wspaniali ludzie! Na Ziemi Zachodniej jechali pod przymusem repatriacji, a w nowym miejscu sił dodawała im świadomość „ostatniego przystanku”. Już raz stracili wszystko w Wilnie czy we Lwowie, wzięli jedynie trochę rzeczy do walizek. Teraz postanowili, że nigdzie z nowego miejsca się nie ruszą. To jest nasze, ostatecznie i do końca, bo już nie mamy gdzie iść – pewnie tak sobie mówili. Zdeterminowani, zabrali się do ciężkiej pracy odbudowania swojego życia i świata wokół. Mieli prawo poddać się, popaść w rozpacz i frustrację po tym, co przeżyli i co zapamiętali, ale nie szukali wymówek. Mieli siłę, by żyć dalej, mimo ciężkich wspomnień, czasami nie do wypowiedzenia. W serialu „Dom pod Dwoma Orłami” mamy taką scenę: lata 40. XX w., Syberia, środek zimy. Mieszkańców łagru obiegła wieść, że do ich gułagu mają przyjechać dzieci z polskiego sierocińca na Wschodzie. Najbardziej cieszą się dzieci zesłańców – będą miały nowe koleżanki i kolegów. Pociąg towarowy wjeżdża na peron... ale z wagonu dobiega cicha. Kiedy w końcu go otwierają, okazuje się, że wszystkie dzieci zamarzyły na śmierć. Jak żyć z takim wspomnieniem? Inna scena: podczas Festung Breslau niemiecka ludność cywilna oczekuje na przymusową ewakuację z miasta. Czekają drugi dzień, bo tory zostały zbombardowane i pociąg nie dojechał. Matki trzymały dzieci na rękach, ale noworodki nie wytrzymały tęgiego mrozu

Małgorzata Kopernik

(ur. 13 marca 1954 r. w Szczecinie)

– polska reżyserka i scenarzystka, absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim i reżyserii filmowo-telewizyjnej na WRiTV Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Reżyserowała spektakle Teatru Telewizji, m.in. „Klaskać jedną ręką” wg A. Burgessa, „Myszki” wg Buttera i Dutkiewicza, „Bal błaznów” wg braci Szargorodskich. Jej film „Szklany dom” zdobył nagrodę prezesa Radiokomitetu za najlepszy debiut reżyserski w dziedzinie telewizyjnego filmu fabularnego. Wraz z mężem Waldemarem Krzystkiem napisała scenariusze filmu „W zawieszeniu” i historycznego serialu telewizyjnego „Dom pod Dwoma Orłami”.



Kadr z filmu „W zawieszeniu” Waldemara Krzystka.
Na zdjęciu Krystyna Janda i Jerzy Radziwiłowicz.

i zamarzły. Żołnierze gestapo wrywali je matkom i układali rzędem na placu przed Dworcem Głównym, aby zakopać we wspólnym dole. Nie jestem rusofobem ani germanofobem. Pokazuję tylko, co oznacza zło spuszczone ze smyczy moralności. Kiedyś byłem na castingu z udziałem młodych niemieckich aktorów, którzy – podobnie jak młodzi Polacy – nie przejawiają najmniejszego zainteresowania historią. Próbuje scenę z serialu, w której Herbert, jeden z niemieckich bohaterów „Domu pod Dwoma Orłami”, pokazuje grupie przyjaciół swój amatorski film z obozu w Gross-Rosen. Otóż osobiście nakręcił on twarze więźniów skazanych na śmierć, zarejestrował ostatnie 30 sekund ich życia. Kobieta, dziadek, mężczyzna w sile wieku, matka małych dzieci, nastolatka – wszyscy krzyczą, płaczą, boją się... Po trzech minutach, czyli po sześciu egzekucjach, zaprzyjaźniona widownia zaczyna się nudzić. Sięgają po wino, przekąski i proponują podłożyć pod obraz jakąś dynamiczną muzykę, a 30 sekund zredukować do 15, by się tak nie dłużyło... Znudzenie jest ich jedyną reakcją! I nagle współcześni młodzi Niemcy mówią o spustoszeniu moralnym w swoim narodzie. Nie mówią o anonimowych nazistach, ale o swoim, niemieckim narodzie. Są tą sceną poruszeni i zawstydzeni. Polska polityka historyczna powinna być realizowana odważnymi produkcjami, które pewne sprawy będą stawiały na ostrzu noża. Nie możemy cały czas iść śródeczkiem z powodu poprawności politycznej.

KB: Niebawem, 4 czerwca, 30. rocznica pierwszych częściowo wolnych wyborów. Tymczasem niektórzy uważają – mówiąc najogólniej – że komunizm w Polsce się nie skończył i to w nim tkwi źródło współczesnych problemów.

WK: Biologia robi swoje i następuje zmiana pokoleniowa. Ale pewna mentalność się utrwaliła i potrzeba jeszcze kilku pokoleń, aby ją wykorzenić. Wychowałem się w środowisku wrogim wobec poprzedniego ustroju, dlatego jestem szczególnie wyczulony na pozory. Doceniam wysiłek, jaki wykonaliśmy przez ostatnie 30 lat, dostrzegam nowe lotniska i drogi, ale to nie zwalnia mnie z krytycyzmu myślenia i rozumienia rzeczywistości. Analizuję ją, aby mieć własne zdanie. W czasach mojej młodości niezależne myślenie nie było mile widziane, a mimo to starałem się myśleć samodzielnie. Dlaczego zatem teraz mam robić inaczej? Pamiętam z PRL-u słynny plakat „Partia przewodzi” z robotnikiem dzierżącym ster muskularnymi rękami. Ów plakat wisiał w uniwersyteckiej gablocie. Natychmiast z kolegami dokleiliśmy do niego ukradzioną z autobusu tabliczkę „Rozmowa z kierowcą zabroniona”. Tak przejawiała się nasza niezgoda na papkę ideologiczną, którą fundowała nam PRL-owska propaganda. Teraz z wygodnictwa przyjmujemy standardy myślenia zgodne z poprawnością polityczną. Nie byłoby Solidarności i wolności dzisiaj, gdyby Polacy w latach 50. czy 70. byli politycznie poprawni.

Tajemnice Okrągłego Stołu

Ilu Polaków było zaangażowanych w działalność podziemną? Czy cała opozycja chciała rozmawiać z władzą? O co toczyła się gra przy Okrągłym Stole? I czy to papież zdecydował o tym, kto przy nim usiadł? Przedstawiamy zapis debaty, która odsłania kulisy najnowszej historii Polski.

© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM



Od lewej:

Aleksandra Boćkowska, dr hab. Jan Skórzyński, prof. Andrzej Friszke, prof. Antoni Dudek, prof. Włodzimierz Borodziej.

Z okazji 30-lecia obrad Okrągłego Stołu i rocznicy wyborów czerwcowych odbyła się debata, dla której punktem wyjścia była najnowsza książka prof. Jana Skórzyńskiego „Okrągły Stół. Wynegocjowany koniec PRL”. Udział w niej wzięli: dr hab. Jan Skórzyński, prof. Andrzej Friszke, prof. Włodzimierz Borodziej i prof. Antoni Dudek. Spotkanie poprowadziła Aleksandra Boćkowska.

Nastroje społeczne przed obradami Okrągłego Stołu

Andrzej Friszke: W społeczeństwie przede wszystkim dominował nastrój zmęczenia. Od ponad 10 lat trwał kryzys gospodarczy. Niedobory w gospodarce powodowały, że ludzie codziennie borykali się z podstawowymi problemami egzystencjalnymi. W sklepach brakowało produktów żywnościowych i artykułów przemysłowych. Trudno było gdziekolwiek dojechać ze względu na fatalną komunikację, sytuacja w szpitalach też była dramatyczna. Ludzie pod koniec lat 80. są zmęczeni i nie bardzo wierzą, że może być lepiej, a z drugiej strony narasta niezadowolenie. W rezultacie wiele osób, zwłaszcza młodych, chce wyjechać z Polski. Niektórzy wyjeżdżają na krótko, inni na dłużej. W patologicznej gospodarce nikt normalny nie oszczędza w złotówkach, zatem wielu kombinuje, obracając dolarami, mamy więc dwuwalutowość, która powoduje ciągły wzrost inflacji. Generalnie życie ludzi określają sprawy bytowe. Ci, którzy myślą kategoriami wielkich zmian, wielkiej polityki, wielkiej idei, są w mniejszości. W drugiej

połowie lat 80. władza już wie, że nie ma sposobu, by zatrzymać bieg wydarzeń. W rezultacie również po jej stronie następuje rozkład, np. oficerowie bezpieki sprzedają na czarnym rynku skonfiskowane nakłady zakazanych książek. Dochodzi do rozproszenia postaw, które wynika z poczucia beznadziejności, z przekonania, że już nic nie da się zrobić. Obie strony grzęzną w bagnie. A świat się zmienia, właśnie wchodzi w fazę rewolucji informatycznej.

Antoni Dudek: Zgadzam się z oceną prof. Friszkego, że generalnie społeczeństwo było zmęczone. Ale jedna grupa nie zdążyła się zmęczyć, a mianowicie ludzie młodzi. W strajkach w 1988 r. uczestniczyli głównie 20-latkowie – ludzie, którzy w czasach pierwszej Solidarności, czyli w latach 1980–1981, byli dziećmi bądź młodszymi nastolatkami. Po paru latach dorosli i strasznie się radykalizowali. To jasno wynikało z badań przeprowadzonych przez CBOS i OBOP. Kontestowali nie tylko Jaruzelskiego, ale też elity opozycyjne. Tak było w Krakowie – co sam miałem okazję obserwować – ale też w Warszawie i Trójmieście, gdzie bardzo źle oceniano Wałęsę i jego otoczenie. Jeszcze przed Okrągłym Stołem mawiano się, że elity opozycyjne się zużyły, skompromitowały i trzeba szukać nowych metod działania i nowego przywództwa. To się zaczyna dziać zwłaszcza na przełomie lat 1988 i 1989. Oczywiście zasoby kontestujących są ograniczone, działają oni w kilku głównych ośrodkach akademickich, wokół głównych uczelni, natomiast ich aktywność jest zagrożeniem dla obu stron zasiadających przy Okrągłym Stole, co jasno wynika z dokumen-

tów. Proszę zwrócić uwagę, że przy Okrągłym Stole nie udaje się zalegalizować Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Strona solidarnościowa niby do tego dąży, ale jednak bez rezultatu. Dlaczego? Bo to oznaczałoby dopuszczenie do głosu grup najbardziej radykalnych.

Dlaczego opozycja chciała rozmawiać z władzą

Jan Skórzyński: To jest całkowicie naturalne – historia Solidarności to droga od jednego porozumienia do drugiego. Solidarność nigdy nie miała w planach obalenia władzy komunistycznej na drodze rewolucyjnej, zawsze starała się uzyskać legalny status działania. Dlaczego tak było? Bo istniał Związek Radziecki. Zanim polityczne elity Solidarności zrozumiały, że groźba ingerencji militarnej ZSRR jest już nieaktualna, minęło sporo czasu. Musiał nadejść rok 1988. Solidarność nawet w najgorszych latach stanu wojennego nie odstąpiła od proponowania dialogu. Wzywała władze do rozmów, oczywiście nie bezwarunkowo. Solidarność nie przystąpiłaby do negocjacji z komunistami, gdyby jej działacze nadal siedzieli w więzieniu. Jaruzelski wyszedł naprzeciw tym oczekiwaniom. W 1986 r. odbyła się ostatnia duża amnestia, na mocy której wszyscy działacze Solidarności – m.in. Władysław Frasyniuk, Zbigniew Bujak, Bogdan Borusewicz, Adam Michnik czy Henryk Wujec – odzyskali wolność. Zresztą władzy też zależało na uwolnieniu więźniów politycznych, ponieważ było to warunkiem nawiązania normalnych relacji dyplomatycznych i handlowych z Zachodem. Postawa Zachodu miała ogromne znaczenie dla zmiany nastawienia obozu władzy do ewentualnego kompromisu z Solidarnością. Polska była jednym z najbardziej zadłużonych krajów świata, potrzebne były kolejne kredyty, aby rozpocząć spłacanie długu w wysokości ponad 40 mld dolarów. Europa i USA nie zamierzały oferować nowych kredytów, dopóki nie zostanie rozwiązana kwestia Solidarności. Kolejnym czynnikiem wpływającym na postawę Solidarności była polityka Michaiła Gorbaczowa, który podjął próbę reformy systemu w Związku Radzieckim. Dla ZSRR skończyło się to katastrofą, ale krajom bloku wschodniego reforma otworzyła drogę do niezależności. Jaruzelski dostał od Moskwy wolną rękę, mógł więc przeprowadzić nawet tak rewolucyjne zmiany, jak ponowna legalizacja Solidarności.

Antoni Dudek: Nie cała opozycja chciała rozmawiać z władzą. Opozycja to nie tylko Solidarność, a ta ostatnia też była podzielona wewnętrznie. Istniało wiele innych ugrupowań, oczywiście mniejszych i słabszych. Większość popierała dialog i była skupiona wokół Lecha Wałęsy. Warto jednak pamiętać również o Solidarności

Okrągły Stół – negocjacje prowadzone od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r. przez przedstawicieli władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, demokratycznej opozycji oraz strony kościelnej (przedstawicieli Kościoła katolickiego i Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego). Rozpoczęcie i zakończenie negocjacji odbyło się w siedzibie Urzędu Rady Ministrów PRL w Pałacu Namiestnikowskim (obecnie Pałac Prezydencki) w Warszawie. W obradach wszystkich zespołów, podzespołów i grup roboczych brało udział ok. 717 osób (uczestników, ekspertów i obserwatorów). W wyniku negocjacji w kraju nastąpiły zmiany ustrojowe, zaś bezpośrednim rezultatem uzgodnień były częściowo wolne wybory do Sejmu PRL, tzw. wybory czerwcowe.

Walczącej Kornela Morawickiego oraz o innych organizacjach, w tym o Konfederacji Polski Niepodległej, które różniły się poziomem negacji systemu komunistycznego, były wśród nich także organizacje skrajne. Krytyka Okrągłego Stołu miała dwa nurty. Część wykluczonych uważała, że powinni się znaleźć przy Okrągłym Stole, ale ich przy nim nie ma, bo Wałęsa wszystko zmonopolizował. Druga grupa twierdziła, że z komunistami się nie należy układać, bo i tak oszukają, a jedynym rozwiązaniem jest wprowadzenie w pełni wolnych wyborów. Wałęsowska Solidarność była najsilniejsza, ale nie tworzyła całego ruchu solidarnościowego, a na pewno nie była całą opozycją.

Andrzej Friszke: Skoro mowa o skrzydle radykalnym, to wypada też powiedzieć o skrzydle bardziej umiarkowanym. Ono cieszyło się poparciem Kościoła, zwłaszcza pry-

masa Glempa. W jego skład wchodziły różne duszpasterstwa, prowincjonalne Kluby Inteligencji Katolickiej, ale także grupa Dziekania, która twierdziła, że Solidarności nie da się odbudować i w związku z tym trzeba szukać nowych dróg kompromisu. Pytanie, czy silniejsi byli radykałowie, czy stronnictwa bardziej umiarkowane. Wałęsowska Solidarność mieściła się w centrum i była oczywiście najsilniejsza. Natomiast strategia Jaruzelskiego między 1986 a 1988 r. polegała na tym, żeby umiarkowane skrzydło, niezwiązane z Wałęsą, jakoś inkorporować do systemu. Szereg osób zaproszono do Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, dano koncesje stowarzyszeniom przemysłowym, umożliwiono działalność umiarkowanej prasie – wtedy między innymi pojawiła się „Res Publica”. Władza próbowała „wysać” trochę umiarkowanych grup z Solidarności skupionej wokół Wałęsy, a jednocześnie uzyskać poparcie Kościoła, co nie było bez znaczenia. Kościół z aprobatą przyglądał się temu projektowi, realizowanemu do lata 1988 r. Kres położyły mu wspomniane wcześniej strajki oraz fakt, że w Kościele zwyciężyła frakcja opująca się na poparciem Wałęsy i Solidarności.

Włodzimierz Borodziej: W pierwszym kwartale 1989 r. w Krakowie byłem świadkiem jak najbardziej legalnej publicznej dyskusji między Janem Marią Rokitą a Leszkiem Moczulskim, który reprezentował odłam bardzo radykalny, jak na ówczesne standardy. Na spotkaniu dominowali młodzi ludzie, ja sam miałem wtedy 33 lata i zawyżałem średnią wieku. Rokita w tej dyskusji rozniósł Moczulskiego. Tamto wydarzenie pokazywało, że przewaga centrum nie wynikała wyłącznie z zaangażowania Zachodu, ale również z poparcia młodzieży. Mimo że cechował ją pewien radykalizm, uznała przewagę argumentacyjną centrum.

Zaangażowanie Polaków w działalność opozycyjną

Jan Skórzyński: Nie mamy oczywiście konkretnych danych, ale na podstawie analiz prowadzonych przez Służbę Bezpieczeństwa możemy sądzić, że w całej działalności podziemnej – nie wliczając strajkujących – brało udział nie więcej niż 50 tys. osób. To była grupa nieduża, ale wystarczająco liczna. Podtrzymywała idee Solidarności, a co ważniejsze, była kontrolitą, która proponowała alternatywny program dla Polski. A mógł on ujrzeć światło dzienne przy okazji rozmów Okrągłego Stołu, który zapewnił opozycji audytorium. Dzięki Okrągłemu Stółowi po raz pierwszy od czasów stanu wojennego opozycjoniści pojawili się w radiu, w telewizji i prasie kontrolowanej przez państwo. Mogli się wypowiadać i przedstawiać swoje stanowisko. Dzięki temu ogromnie wzrosła akceptacja dla postulatów Solidarności.

Antoni Dudek: Jest jeden ewidentny i policzalny wskaźnik aktywności opozycyjnej – liczba wydawanych czasopism niezależnych. Ten wskaźnik jest najwyższy w latach 1981–1982. Później spada, a najniższą wartość osiąga w latach 1985–1986. Od 1987 r. zaczyna się lekki wzrost, a od 1988 r. szybszy wzrost liczby nowych czasopism wydawanych przez stronnictwa opozycyjne, nie osiąga ona jednak poziomu z początku lat 80. Z raportów SB wynika, że od jesieni 1988 r. gwałtownie wzrasta napływ ludzi do struktur opozycyjnych. To dotyczy głównie największych ośrodków, kilkunastu województw. Wnioski są szalenie niepokojące dla SB, okazuje się bowiem, że napięcie zaczyna narastać i trzeba szukać politycznych metod jego rozładowania.

O co toczyła się gra przy Okrągłym Stole

Jan Skórzyński: Wydaje się, że dla uczestników Okrągłego Stołu ze strony solidarnościowej, jak Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki czy Lech Kaczyński, perspektywa przejścia władzy była bardzo odległa. Raczej nastawiali się na powolne budowanie obszarów demokracji w państwie nadal rządzone przez komunistów. Opozycji zależało, żeby jak najwięcej wolności uzyskać dla społeczeństwa, zaś komuniści chcieli jak najmniej tej wolności oddać, czyli zmienić system, ale w taki sposób, żeby wszystko zostało po staremu w sensie politycznym, w sensie sprawowania władzy. Początkowe propozycje obozu władzy ulegały daleko idącym zmianom. Pierwsza konkretna propozycja, wysunięta przez generała Kiszczaka na początku marca, dotyczyła prezydenta powoływanego na kadencję siedmioletnią przez ówczesny Sejm wspólnie z przewodniczącymi rad narodowych, czyli krótko mówiąc, przez aparat władzy komunistów. Ta propozycja w ogóle nie została przyjęta jako punkt wyjścia do dyskusji – Wałęsa stwierdził, że taki prezydent mógłby odejść tylko przez rozstrzelanie. Po następnych trzech tygodniach obrad zdecydowano, że prezydenta wybierze nowy parlament, czyli częściowo demokratyczny Sejm i całkowicie demokratyczny Senat, który w pierwotnej koncepcji komunistów w ogóle nie był rozpa-

trywany. W rezultacie Polska uzyskała większy zakres wolności, niż chciała władza.

Andrzej Friszke: Istotę dążeń komunistów przy Okrągłym Stole ukazuje tzw. lista krajowa. Władza wymyśliła, że w wyniku kontraktu przywódcy partii i przywódcy Solidarności wejdą na jedną krajową listę wyborczą, która będzie znakiem ogólnopństwowego porozumienia. Miało to skłonić obywateli do zaakceptowania zaproponowanego przez władzę kształtu przyszłej elity. Oczywiście wszyscy czołowi przedstawiciele strony opozycyjnej odrzucili tę propozycję. Uznali, że listy należy rozdzielić, bo ludzie powinni mieć szansę wyrażenia swojego stanowiska, więc muszą wiedzieć, na kogo głosują. W związku ze sprzeciwem strony opozycyjnej na liście krajowej zostali sami dygnitarze komunistyczni, którzy przegrali wybory z kretesem. Przez to w Sejmie nie znaleźli się liderzy PZPR, co mogło mieć znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków.

Antoni Dudek: Senat i prezydent to dwie najważniejsze pamiątki instytucjonalne po Okrągłym Stole. Większość ludzi z obozu solidarnościowego, z ekipy Wałęsy, wyobrażała sobie, że celem tych wszystkich obrad jest poszerzenie strefy wolności. Oni raczej nie zakładali, że znajdą się w nowym rządzie. Druga strona – ekipa Jaruzelskiego – chciała, żeby generał dalej rządził Polską, ale zrozumiała, że jest raczej nierealne, by mógł to robić jako pierwszy sekretarz KC PZPR, ponieważ partia była totalnie skompromitowana i należało dać jej odpocząć. Trzeba było zbudować nowy mechanizm, który umożliwi generałowi dalsze rządzenie Polską. Tym mechanizmem miał być urząd prezydenta wyposażonego w ogromnie szerokie uprawnienia. Główna część sporu, który toczył się w Magdalence, dotyczyła tego, co opozycja dostanie w zamian za zgodę na tak silnego prezydenta, a dla obu stron było jasne, kto nim zostanie. Mimo że nie ma ani jednego zapisanego zdania po Okrągłym Stole wskazującego, że będzie nim Jaruzelski. Miało go wybierać na sześć lat Zgromadzenie Narodowe, czyli 100-osobowy Senat i 460-osobowy Sejm. Ekipie Jaruzelskiego udało się osiągnąć strategiczny cel, jakim było utworzenie urzędu niezwykle silnego prezydenta, ale musiała za to zapłacić cenę w postaci wolnych wyborów do Senatu, co okazało się źródłem jej późniejszej klęski.

Jan Skórzyński: Może warto przypomnieć program, z jakim Solidarność przystępowała do Okrągłego Stołu. Poza kluczowym żądaniem, czyli legalizacją NSZZ „Solidarność”, w programie znalazły się cztery postulaty: niezależność sądownictwa, pluralizm w mediach i wolność słowa, wolność stowarzyszania się i niezależny samorząd terytorialny. Udało się sporo osiągnąć w trzech dziedzinach, natomiast prawie niczego Solidarność nie zdołała załatwić w kwestii samorządu terytorialnego. Zespół gospodarczy, którego obrady pozornie powinny zakończyć się łatwym kompromisem – bo obie strony uważały, że niezbędne są reformy w tej sferze – również wiele nie osiągnął. Solidarność wymusiła jedynie obietnicę niewielkiego

Wybory parlamentarne w Polsce w 1989 r. (tzw. wybory czerwcowe, wybory kontraktowe, wybory do Sejmu kontraktowego) przeprowadzone zostały 4 i 18 czerwca. O odbyły się na zasadach uzgodnionych w trakcie rozmów Okrągłego Stołu. Wybrano 460 posłów na Sejm PRL oraz 100 senatorów do nowo utworzonego Senatu PRL. Były to pierwsze częściowo wolne wybory w historii Polski po II wojnie światowej. Przedstawiciele niedemokratycznych władz komunistycznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zagwarantowali rządzącej

„koalicji”, obejmującej PZPR i jej satelitów, co najmniej 299 (65 proc.) miejsc w Sejmie. Pozostałe 161 mandatów poselskich (35 proc.) przeznaczono dla kandydatów bezpartyjnych. Walka o te miejsca oraz o wszystkie mandaty senatorskie (100) miała charakter otwarty i demokratyczny. Z kandydatami wywodzącymi się ze środowisk opozycji demokratycznej konkurowali kandydaci jawnie lub nieoficjalnie wspierani przez obóz władzy, reprezentanci różnych organizacji społecznych i zawodowych, osoby niezależne.

Wybory zakończyły się zdecydowanym zwycięstwem opozycji solidarnościowej, zorganizowanej wokół Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Kandydaci wspierani przez KO zdobyli wszystkie mandaty przeznaczone dla bezpartyjnych, a także objęli 99 miejsc w Senacie. Obóz PRL-owskiej władzy poniósł porażkę. W wyniku wyborów czerwcowych Polska stała się pierwszym państwem bloku wschodniego, w którym przedstawiciele opozycji demokratycznej uzyskali realny wpływ na sprawowanie władzy.

ograniczenia kontroli partii nad gospodarką. Natomiast udało się przyjąć zasadę niezawisłości sędziów i niezależności sądownictwa. Wtedy wymyślono Krajową Radę Sądowniczą jako przeciwieństwo dotychczasowej praktyki nominowania sędziów przez partię. Dużo więcej osiągnięto w sprawie mediów – Solidarność nie tylko odzyskała prawo do wydawania ogólnopolskiego tygodnika, ale uzyskała również zgodę na wydawanie ogólnopolskiego dziennika. Udało się też przyjąć zasadę pluralizmu stowarzyszeń. Główne filary porozumienia politycznego dawały Solidarności szansę na przejęcie władzy.

Kobiety i Kościół

Antoni Dudek: Kwestia kobiet nie znalazła szerokiego odzwierciedlenia w obradach okrągłostołowych ze względu na kontrowersyjny punkt, a mianowicie aborcję. Sprawa ta wróciła w kampanii wyborczej, ponieważ jednym z głównych pomysłów specjalistki ze Służby Bezpieczeństwa na to, jak dezintegrować opozycję, było zadawanie kandydatom Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” pytania o stosunek właśnie do kwestii aborcji.

Jan Skórzyński: Ta kwestia nie mogła wybrzmieć mocno z uwagi na rolę Kościoła, która była bez wątpienia pierwszoplanowa, w tym sensie, że poparcie polskich biskupów i papieża Jana Pawła II było bardzo istotne dla Solidarności. Kościół całkowicie akceptował negocjacje i kompromis Okrągłego Stołu, zaś o wszystkim, co się przy nim i wokoło niego działo, był informowany bardzo dokładnie i na bieżąco. Solidarność nie mogła wnosić kwestii, które sympatię Kościoła w jakiś sposób mogłyby osłabić.

Andrzej Friszke: Bardzo rzadko się wspomina, że zanim doszło do rozmów Okrągłego Stołu, toczyły się kularowe rozmowy partii z Kościołem i ekspertami kościelnymi skoncentrowane na ustawie o stowarzyszeniach. Kościół na to nalegał, negocjatorem z jego strony był m.in. Wiesław Chrzanowski. Pertraktacje przynosiły rezultaty. Zresztą nazwa Okrągły Stół pierwszy raz pojawiła się właśnie w kontekście negocjacji dotyczących ustawy o stowarzyszeniach. Natomiast po zamknięciu obrad Okrągłego Stołu władza przedłożyła ogromny projekt ustawy o stosunku państwa do Kościoła, oczywiście był on wcześniej negocjowany. Ustawa ta została

przyjęta przez Sejm PRL w maju 1989 r. i obowiązuje do dziś. O tym się rzadko mówi, ale rozmaite przywileje Kościoła, m.in. związane z możliwością nadawania audycji radiowych, nieopodatkowaniem przychodów czy ogólnie z uprzywilejowanym statusem prawnym, zostały uchwalone przez Sejm PRL przed wyborami czerwcowymi w nadziei, że to skłoni Kościół do neutralności. I jego niewątpliwa potęga w III RP jest wynikiem owego PRL-owskiego prawa.

Antoni Dudek: Jest jeszcze jeden ciekawy wątek dotyczący roli Kościoła. Nie wszystko w tej sprawie zostało wyjaśnione, pewnie więcej się dowiemy, gdy historykom zostaną udostępnione dokumenty wymieniane między Stolicą Apostolską i Episkopatem Polski. Rzecz dotyczy wydarzeń poprzedzających Okrągły Stół, które miały miejsce na przełomie lat 1986 i 1987. Otóż pod koniec 1986 r. generał Jaruzelski tworzy – już dawno zapomnianą – Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa. Ona ostatecznie nie odegrała większej roli, ale według zamysłu ówczesnej władzy była to prefiguracja Okrągłego Stołu, jednak z zupełnie innymi osobami niż te, które później przy nim faktycznie zasiadły. Plan ten wynikał z zamiaru zawarcia jakiegoś kompromisu z najbardziej umiarkowaną częścią opozycji skupionej wokół Episkopatu Polski. Podjęcie rozmów z opozycją było niezbędne, by zmotywować Zachód do udzielenia wsparcia ekonomicznego. Pomysł Jaruzelskiego był taki: prymas Glemp wykreuje grupę świeckich, którzy wejdą do Rady Konsultacyjnej, zaś ona stopniowo wyewoluuje albo w kierunku chrześcijańskich związków zawodowych, albo partii chrześcijańsko-demokratycznej, która zostanie zalegalizowana i zastąpi Solidarność. Dlaczego do tego nie doszło? Tego do końca nie wiemy, a sprawa jest bardzo ciekawa. Wydaje się, że odpowiedź tkwi w stanowisku papieża Jana Pawła II. Jeżeli faktycznie nie wyraził on zgody na ten projekt, pozostaje pytanie, czy stało się to jeszcze w styczniu 1987 r., gdy przyjechał do niego generał Jaruzelski, czy dopiero latem 1987 r., w czasie trzeciej pielgrzymki do ojczyzny, kiedy to podczas mszy powiedział o Solidarności przez małe „s” i przez duże „S”. I to był sygnał – nie tylko dla zgromadzonych wiernych, ale przede wszystkim dla prymasa Głęmpa i części episkopatu – że bez Solidarności przez duże „S” on nie widzi możliwości porządkowania polskich spraw.



Woronin, Szczepłek, Person, Przybył

o wolności i sporcie

Owygranych i przegranych meczach ze Związkiem Radzieckim, goście Kozakiewicza i biegu wśród kałaskowników rozmawiają: Marian Woronin, lekkoatleta, sprinter, srebrny medalista olimpijski, wielokrotny mistrz Europy, rekordzista świata w biegu na 100 metrów; Andrzej Person, dziennikarz sportowy i były senator RP; Stefan Szczepłek, dziennikarz i komentator sportowy; oraz Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego, redaktor naczelny kwartalnika „Teraz Polska”.

Krzysztof Przybył: Panowie, w przeszłości nieraz bywało tak – i nie dotyczy to wyłącznie historii Polski – że w czasach opresji sfera sportu stawała się swoistą przestrzenią wolności. Znacnie na pewno takie przykłady.

Stefan Szczepłek: „Krew w wodzie” – pod taką nazwą znany jest mecz piłki wodnej pomiędzy Węgrami i ZSRR rozegrany w trakcie igrzysk olimpijskich w Melbourne. Mecz odbył się 6 grudnia 1956 r., niedługo po upadku powstania węgierskiego, i za-

kończył zwycięstwem Węgrów 4:0. Nazwa meczu związana jest z rozciętym łukiem brwiowym Ervina Zádora, który został uderzony przez radzieckiego zawodnika Walentina Prokopowa. Publiczność kibicująca Węgrom próbowała wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę i doszło do zamieszek na trybunach. Sędzia przerwał mecz i uznał zwycięstwo prowadzących Węgrów, którzy, nawiasem mówiąc, z igrzysk już nie wrócili do kraju, lecz wyjechali do USA.

Andrzej Person: W historii polskiego sportu jest również kilka takich wydarzeń. Choćby słynny mecz Polska – ZSRR w piłce nożnej na stadionie w Chorzowie, rozegrany w październiku 1957 r., czyli rok po wydarzeniach poznańskich. Reprezentacja Polski odniosła jedno z najważniejszych zwycięstw w swojej historii, pokonując Związek Radziecki 2:1. Bohaterem spotkania został Gerard Cieślak, strzelec dwóch bramek. Wtedy też Polacy po raz pierwszy zaśpiewali hymn narodowy na otwartym stadionie.

Drugi historyczny mecz ze Związkiem Radzieckim na chorzowskim stadionie miał miejsce 22 maja 1983 r., czyli w stanie wojennym, i zaliczał się do eliminacji do Euro 1984. Telewizja Polska



© PAP/EFE

Od lewej: Siergiej Borowski, Włodzimierz Smolarek i Rinat Dasajew. Mecz Polska – ZSRR podczas mundialu w 1982 r. zakończył się remisem.

nadała hymn Związku Radzieckiego ze studia, aby cała Polska nie usłyszała przeraźliwego gwizdu, jaki niósł się ze 100 tys. gardeł zgromadzonej publiczności.

Stefan Szczepiłek: Był też mecz ze Związkiem Radzieckim, który decydował o awansie do półfinału mistrzostw świata w Hiszpanii w 1982 r. Polsce wystarczył remis. Była to nie tylko walka o półfinał, ale również polityczna manifestacja. Na trybunach Camp Nou w Barcelonie pojawiły się transparenty zdelegalizowanej Solidarności. Telewizja Polska transmitowała mecz na żywo, ale gdy tylko pojawiał się taki transparent, wstawiała na wizję stopklatkę innego fragmentu trybun. Remis 0:0 wywołał w Polsce euforię, zaś bohaterem spotkania był Włodzimierz Smolarek, który umiejętnie grał na czas, przetrzymując piłkę w narożniku boiska i ośmieszając radzieckich piłkarzy.

Marian Woronin: Warto też wspomnieć słynny gest Władysława Kozakiewicza podczas olimpiady w Moskwie w 1980 r. Jego zachowanie – obraźliwe, to prawda – było sprowokowane gwizdami publiczności, chcące go zdekoncentrować przy skokach na wysokości 5,70 i 5,75 m. Później Władek oddał jeszcze skok na wysokość 5,78 m, który zagwarantował mu złoty medal olimpijski i rekord świata. Rosjanie stosowali wtedy różne zagrywki. Wiedzieli, że są trzy sztafety sprinterskie 4 × 100 m zdolne zdobyć złoty medal. Polaków ustawili na pierwszym torze, gdzie traci się na starcie pół sekundy, Niemców ustawili na ósmym torze, a siebie – na piątym, optymalnym. Nasza drużyna w składzie: Leszek Dunecki, Zenon Licznarski, ja i Krzysztof Zwoliński zdobyła wtedy srebro. Mimo nieczystych zagrywek dzielać przyjaźniłem się z radzieckimi zawodnikami, na przykład ze sprinterem Walerym Borzowem, od którego dużo się nauczyłem.



© PAP/TAR TASS

Finał skoku o tyczce podczas olimpiady w Moskwie w 1980 r. Władysław Kozakiewicz nad poprzeczką na wysokości 578 cm. Za chwilę zdobędzie złoty medal, pobije rekord świata i wykona słynny gest pod adresem nieżyczliwej radzieckiej widowni.

Stefan Szczepiek: Zawsze nastroje polityczne przenosiły się na sport. Za czasów PRL-u konkurowaliśmy z Niemcami i Rosjanami, chcąc odegrać się za krzywdy historyczne. Nie mogliśmy tego robić na niwie gospodarczej, ale na płaszczyźnie sportowej rywalizowaliśmy z sukcesami. Bokser, piłkarz, biegacz – każdy walczył w imieniu całego narodu. Kiedy w maju 1953 r. (dwa miesiące po śmierci Stalina) w Hali Gwardii w Warszawie polscy pięściarze zdobyli pięć złotych medali w mistrzostwach Europy, kibice po raz pierwszy zaśpiewali „Mazurka Dąbrowskiego”. Prasa nie wiedziała, jak komentować to wydarzenie, więc pisano o tryumfie radzieckiej szkoły boksu.

Krzysztof Przybył: Marian, czy mógłbyś opowiedzieć o twoim słynnym biegu na 100 m?

Marian Woronin: Na Memoriale Janusza Kusocińskiego w 1984 r. w biegu na 100 m osiągnąłem czas 10,00 s, ustanawiając nowy rekord Europy. Nikt go nie pobił przez cztery lata. Dokładny pomiar wyniósł 9,992 s, ale zgodnie z przepisami Międzynarodowego Stowarzyszenia Federacji Lekkoatletycznych dotyczącymi zaokrąglania czasu oficjalnie zapisano mi wynik 10,00 s. Gdyby ktoś na mnie wtedy naciskał, na pewno musiałbym się bardziej przyłożyć i dałbym radę urwać jeszcze 0,002 s, bardziej pochylając się na finiszu. I byłyby trzy dziewiątki. Ale był to start w trakcie przygotowań do olimpiady w Los Angeles, więc nie przykładalem do niego wielkiej wagi. Miałem po prostu zdobyć pierwsze miejsce, a wyszedł z tego rekord Europy.

Andrzej Person: Ważne w historii polskiego sportu, a także odzwierciedlające sytuację stanu wojennego było zdjęcie Mariana wykonane przez „Fidusa”, czyli Leszka Fidusiewicza. Było one nie mniej słynne, również na Zachodzie, niż „Czas apokalipsy” Chrisa Niedenthala.

Marian Woronin: Przygotowywałem się do mistrzostw Europy w Grenoble. Tuż po wprowadzeniu stanu wojennego nie bardzo było gdzie trenować, ale jako legionista miałem przewagę. Szef klubu sprawił, że mogłem biegać w hali AWF-u, gdzie akurat było zakwaterowane wojsko. „Fidus” zrobił zdjęcie, na którym widać, jak po dwóch stronach hali rozstawieni są żołnierze z karabinami, a ja biegnę środkiem. To zdjęcie zamieszczono później we francuskiej gazecie „Paris Match”. Gdy wylądowałem na lotnisku w Grenoble w lutym 1982 r., od razu doskoczyli do mnie dziennikarze, którzy mieli przy sobie tamtą gazetę. Pamiętam jak dziś: na okładce Elizabeth Taylor z okazji 50. urodzin, a na rozkładówce – Marian Woronin. Najmilej jednak wspominam czasy w Polonii Warszawa, gdzie tworzyłem drużynę lekkoatletyczną z takimi herosami, jak Irena Szewińska, Władysław Komar czy Zofia Bielczyk. Ale prawdą jest, że wszystkie medale halowego mistrza Europy zdobyłem jako legionista. Moim marzeniem był start i zwycięstwo w zawodach halowych w USA. Niestety działacze nie chcieli mnie wysłać, gdyż jako czło-



© LESZEK FIDUSIEWICZ

nek Legii byłem wojskowym. Zdobyłem halowe mistrzostwo Europy w latach 1978, 1980, 1981 i 1982, więc kiedy kolejny raz odmówiono mi startu w USA, powiedziałem, że więcej na hali nie startuję. Tak było przez pięć lat, ale w 1987 r. prezes klubu obiecał mi, że pojedę do USA, jeśli wystartuję na mistrzostwach Europy w Liévin we Francji. Wystartowałem, zdobyłem złoto, dwa razy pobiłem rekord Europy, a po powrocie prezes powiedział: „Marian, ja z tymi Stanami to żartowałem”.

Krzysztof Przybył: W latach PRL-u Centralny Wojskowy Klub Sportowy Legia był klubem wielosekcyjnym i zdobył więcej medali olimpijskich – bo aż 87 – niż niejedno państwo. Najważniejsza była sekcja piłki nożnej z Kazimierzem Deyną, Robertem Gadochą i Lesławem Ćmikiem oraz sekcja boksu z Andrzejem Gołotą, Januszem Gortatem (ojcem koszykarza NBA Marcina Gortata), Józefem Grudniem i Kazimierzem Szczerbą. W sekcji skoków przez przeszkody trenował Jan Kowalczyk, mistrz olimpijski z Moskwy z 1980 r. Sekcję kolarstwa szosowego reprezentowali Czesław Lang, wicemistrz olimpijski z Moskwy z 1980 r., i Stanisław Królak, pierwszy polski zwycięzca Wyścigu Pokoju z 1956 r. Silna była także sekcja lekkoatletyczna, w której wielkie sukcesy odnosił nasz dzisiejszy gość Marian Woronin – sprinter, wicemistrz olimpijski z Moskwy z 1980 r., mistrz Europy w sztafecie 4 × 100 m i rekordzista Europy. Niestety, od 1989 r., czyli od czasów przemian ustrojowych w naszym kraju, kolejne sekcje były od klubu odłączane, a ich działalność powoli wygaszana. Dzisiaj Legia Warszawa to klub piłkarski.

Leszek Fidusiewicz o okolicznościach powstania słynnej fotografii

Zeby Marian mógł przystąpić do treningu, żołnierze musieli wpięć podwinąć materace tak, by zwolnić dwa tory. Polecenie wykonali z wyraźnym grymasem na twarzy. Od trenera Cucha dostałem stoper, który trzymałem w jednej dłoni, a w drugiej ukryłem niewielkich rozmiarów aparacik. Następnie musiałem zadbać o odpowiednie oświetlenie. O tej porze roku, a był to początek lutego, w porze obiadowej na dworze robi się już szarówka, a co dopiero na hali. Zacząłem więc żądać, by zapalono światło, ponieważ nie widzę odczytu stopera. Miałem nawet przygotowaną odpowiedź, w razie gdyby ktoś rozsądny zapytał się, po co mi stoper na starcie.

W takiej sytuacji bym odparł, że badam czas reakcji.

Zacząłem fotografować, trzymając obiektyw między palcami. Czas naświetlania wynosił 1/125 sekundy, przy pełnym otworze przysłony. Następnie z linii startu przeszedłem na metę. Dla lepszej widoczności, oczywiście stopera, wszedłem na parapet. Fotografowałem z biodra, w kierunku biegaczy. Trening dobiegł końca, a my, zadowoleni, wychodząc z hali, jeszcze usłyszeliśmy fragment wykładu politruka, który ostrzegał wystraszonych sytuacją żołnierzy, że za nimi pełza rewolucja pod postacią obrzydlivej Solidarności.

Po wywołaniu filmu okazało się, że pomimo fotografowania na wyczucie miałem materiał. Na niektórych zdjęciach widać było czarne plamy. To mój palec. Film za granicę przemycił nasz francuski łącznik Pierre Szałowski.

Dobrze przygotowany Marian Woronin udał się do Grenoble po kolejny sukces. Gdy otworzyły się drzwi samolotu, okazało się, że nasi zawodnicy są wyczekiwani przez tłum dziennikarzy. Cała ekipa była dumna, że stali się tacy popularni. Tymczasem przedstawiciele prasy otaczają Woronina, pokazując mu aktualny numer tygodnika „Paris Match”, w którym na rozkładówce jest jego zdjęcie z treningu. Fotografia była oczywiście bez podpisu autora i jedynie ci, którym dane było ją zobaczyć, skwitowali krótko: to mógł zrobić tylko „Fidus”.

Sprawie ukrecono łeb. Pomimo że nie było śledztwa ani wielogodzinnych przesłuchiwań, trener Cuch jeszcze przez dwa lata budził się w nocy spocony, bo myślał, że wiozą go w wagonie kolejowym na Daleki Wschód. A Marian wygrał zawody po raz piąty, przy okazji bijąc kolejny rekord.

Tekst pochodzi z bloga Leszka Fidusiewicza, wieloboisty i fotografa sportu (https://fotofidus.blogspot.com/2016/12/jak-wykiwaem-polska-rzeczpospolita_15.html).

Andrzej Person: Niestety, po 1989 r. sport w Polsce był kojarzony z systemem komunistycznym i chociaż w czasach PRL-u odnosił wielkie sukcesy, w okresie transformacji ustrojowej został zupełnie pominięty. Odcięto państwowe finansowanie i dopiero po jakimś czasie zauważono, że sukcesy sportowe są bardzo przydatne do propagandy politycznej, bo pokazanie się obok mistrza sportowego zawsze budzi pozytywne skojarzenia wśród wyborców. Tak brutalne potraktowanie sportu przez nowych decydentów spowodowało jego zapaść na długie lata.

Stefan Szczeplak: W czasach PRL-u sport musiał być uprawiany amatorsko, choć wszyscy wiedzieli, że sportowcy byli zatrudnieni na fikcyjnych posadach. To budziło konflikty między nimi i niechęć społeczną, dlatego sportowcy stali się ofiarami przemian roku 1989. Kiedy przeszliśmy na gospodarkę rynkową i każdy grosz zaczął się liczyć, pierwsze cięcia kosztów nastąpiły w sporcie. I to nie jest przypadek, że Ruch Chorzów, potęga Śląska, ostatni raz zdobył tytuł mistrza Polski w piłce nożnej w 1989 r.; później zrestrukturyzowane huty i kopalnie przestały dotować drużyny sportowe. Jednak polski kibic nigdy nie odwrócił się od sportu. W PRL-u działacze sportowi, choć czynownicy partyjni, żyli sprawami sportu z pełnym zaangażowaniem. Dzisiaj ich miejsce zajęli biznesmeni i menedżerowie, którzy zapewne wiedzą wszystko o pieniądzu, ale nie zawsze wystarczająco dużo o sporcie, jego istocie i specyfice. Obecnie menedżer jednego dnia zajmuje się sprzedażą piwa lub działą w branży filmowej, a następnego dnia

może zostać skierowany do klubu sportowego. I skąd ma wtedy wiedzieć, czy trener, którego kontraktuje dla klubu, jest optymalnym wyborem? Nie tęsknię za PRL-em – żeby było jasne – ale uważam, że dla polskiego sportu był to złoty okres. Powtórzę: sport jest wielką siłą propagandową i promocyjną, tylko trzeba umieć z tego skorzystać.

Marian Woronin: Warto tutaj wspomnieć Piotra Nurowskiego, który – jak to się kiedyś mawiało – został rzucony przez partię na odcinek sportu. W 1973 r. został najmłodszym na świecie szefem narodowego związku sportowego, czyli prezesem Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Zaangażował się w tę działalność bez reszty i odnosił w niej sukcesy. W 2005 r. został wybrany na stanowisko prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego i funkcję tę pełnił społecznie. Podobnie wielką postacią polskiego sportu jest Stefan Paszczyk – trener lekkoatletyczny, kierownik wyszkolenia w PZLA i prezes PKOl w latach 1997–2005. Paszczyk doradzał nawet w hiszpańskim ministerstwie sportu w sprawie organizacji igrzysk olimpijskich w Barcelonie w 1992 r. Ówcześni działacze często po pracy, bezinteresownie, sędziowali na zawodach. Dzisiaj z trudem wyszukujemy chętnych do sędziowania podczas Czwartków Lekkoatletycznych dla dzieci i młodzieży, imprezy, którą organizują od lat, aby ratować wydolność sportową nowych pokoleń i łowić talenty lekkoatletyczne. Chciałem jakoś zapłacić lukę po spartakiadach młodzieży, które zostały wycięte w pień jako twór komunistyczny.



Peter Nowak – działacz polonijny w Niemczech, ekspert w dziedzinie państwowych systemów ubezpieczeń zdrowotnych. Senior account manager w kasie chorych BKKVBU w Berlinie. Członek berlińskiej senackiej Rady ds. Migracji i Integracji, członek zarządu Polish-German Business Club Berpol, członek komitetu organizacyjnego Kongresu 60 Milionów i koordynator edycji w Berlinie.

Polak w Berlinie

O wyzwaniach i korzyściach związanych z życiem między dwoma światami i o nowoczesnej Polonii z **Peterem Nowakiem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Porozmawiajmy o berlińskiej Polonii.

Peter Nowak: To może zacznę od definicji. Trzeba odróżnić Polonię od emigracji. Zgodnie z rozumieniem przyjętym przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Polonią są moje dzieci, które urodziły się już w Niemczech. Ja sam urodziłem się w Polsce, więc jestem Polakiem żyjącym za granicą. Taki podział dobrze się sprawdza w USA – część obecnej Polonii żyje tam od kilku pokoleń. W Niemczech zaś żyją głównie polscy emigranci, którzy przyjechali tutaj w czasach komunizmu, w okresie transformacji albo po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Mamy więc dwie gru-

py, które się różnią między sobą. Ja należę do tej pierwszej grupy, która wyjechała – lub jak się wtedy mówiło: uciekła – jeszcze w czasach komunistycznych. Część owej grupy przy wjeździe do nowego kraju deklarowała niemieckie pochodzenie, te osoby do lat 90. stanowiły większość migrantów i również ja się do nich zaliczam. Zaś po integracji Polski z UE do Niemiec przybyła najmłodsza emigracja.

KB: Jak liczna jest dziś społeczność Polaków i osób polskiego pochodzenia w Niemczech?

PN: To około półtora miliona osób i liczba ta stale rośnie. Cechą Polaków i osób polskiego pochodzenia w Niemczech jest słabe zaangażowanie w działalność polonijną. Może to dlatego, że mamy tak blisko do Polski i nie tęsknimy. Co prawda młodzi wyjechali, ale rodzice zostali i odwiedziny są czymś normalnym. Na przykład byłem kiedyś na weselu znajomych w województwie opolskim. Cała młoda część rodziny przyjechała z Niemiec, zaś starsze pokolenie mieszkało w Polsce.

KB: Czy to znaczy, że w Niemczech nie prowadzono typowej działalności polonijnej?

PN: Zajmowali się nią najstarsi działacze, którzy przyjechali tu głównie w latach 70. i 80. XX w. Stali na czele niegdyś prężnych organizacji, które jednak z biegiem lat straciły na znaczeniu. Z niektórych pozostał tylko zarząd z wiecznie trwającym prezesem. Oczywiście nie oznacza to, że nie ma żadnych funkcjonujących organizacji. Jest ich jednak zbyt mało, aby stworzyć silną reprezentację Polonii, która mogłaby na przykład skutecznie prowadzić rozmowy ze stroną niemiecką.

KB: Jak na tym ogólnym tle przedstawia się specyfika berlińska?

PN: Społeczność Polaków i osób polskiego pochodzenia w Berlinie nie jest dosyć liczna, mieszka nas tu ponad 100 tys. Na przykładzie Berlina dobrze widać podział w najmłodszej grupie migrantów. Część z nich została bardzo mocno wchłonięta przez niemiecki rynek, są to często specjaliści, np. związani z branżą IT. Drugą grupę stanowią osoby o różnym stopniu kwalifikacji, które zachowują wyłącznie konieczny związek z Niemcami i miastem, zaś każdy weekend spędzają w Polsce. Nie istnieje dla nich coś takiego jak działalność polonijna czy polskie organizacje, nie mają niemieckiej telewizji, nie integrują się. Ich życiowa stabilizacja nie wiąże się z tym miejscem. Trzecia grupa to osoby, które tu przyjechały, w jakiś sposób zaistniały, spodobał im się tutaj styl życia, a równocześnie odżegnują się od związków z Polską. Wybrały pewną stabilność związaną z życiem tutaj, i nie mam na myśli stabilności o charakterze ekonomicznym. Do tej grupy należą również osoby, które wybrały Berlin z szeroko rozumianych powodów politycznych i światopoglądowych, są to przedstawicielki ruchów kobiecych, osoby ze społeczności LGBT+ itd. Ta ostatnia grupa inicjuje różnego rodzaju aktywności, zakłada stowarzyszenia, ale jej działalność – prowadzona na razie na niewielką skalę – nie może być określana jako polonijna.

KB: Strona niemiecka przewiduje jakieś regulacje i wsparcie działalności polonijnej?

PN: Od 2010 r. obowiązuje porozumienie, zgodnie z którym Niemcy i Polska wspierają wzajemnie organizacje mniejszościowe w sposób proporcjonalny. Na początku powołano w tej sprawie okrągły stół, do którego usiedli przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i re-

prezentanci Polonii, w jakimś sensie usankcjonowani przez polskie władze. W rezultacie powstał Konwent Organizacji Polskich w Niemczech, a na jego czele stanęli przedstawiciele parasolowych organizacji polonijnych. Dziś aktywna pozostała już tylko jedna z nich. W tym roku, w czerwcu, miał odbyć się nowy okrągły stół, którego ewentualny skład odzwierciedliłby zmiany zaistniałe po wyborach parlamentarnych w Polsce w 2015 r. Teraz, przed nowymi wyborami, istotną rolę odgrywają organizacje, które nie były dotychczas członkami Konwentu i w pewnym sensie konkurowały z nim, a obecnie nawiązały współpracę. Związek Polaków w Niemczech spod znaku Rodła to bardzo stara organizacja, która obecnie ma najbardziej rozwinięte struktury i wsparcie ze strony polskiej. Pozostałe to Chrześcijańskie Centrum Kultury, Tradycji i Języka Polskiego w Niemczech, Polska Macierz Szkolna w Niemczech oraz Kongres Polonii Niemieckiej. Na razie okrągły stół został odwołany, nie wiadomo, kiedy się odbędzie. Na ile obecne relacje Polski i Niemiec odgrywają tu jakąś rolę, można tylko spekulować.

KB: Wyobrażam sobie, że wiele organizacji, szczególnie młodych, może w ogóle nie chcieć przystąpić do organizacji parasolowych.

PN: Oczywiście, bo wiele z nich nie jest zainteresowanych polityką, często korzystają ze środków przeznaczanych przez Niemców dla migrantów. Z takich źródeł można czerpać pieniądze i następnie wydawać na cele społeczne. Jednak trzeba znać i wykorzystywać niemieckie procedury, co dotychczas nie było domeną starszych organizacji polonijnych. Większość z nich pozyskiwała środki z polskich instytucji finansujących działalność polonijną.

KB: Skąd pan to wszystko wie i jaką pełni rolę w tej całej układance?

PN: Na to pytanie trudno odpowiedzieć w dwóch zdaniach. Od 35 lat żyję w Niemczech, a od ponad 20 w Berlinie. Od 10 lat interesuję się tematyką polonijną i Polską. Wynika to również z mojej działalności zawodowej. Pracuję w jednej z niemieckich kas chorych, w której zainicjowałem polskojęzyczny serwis, aby umożliwić Polakom łatwiejszy dostęp do świadczeń zdrowotnych. W ten sposób zbliżyłem się do polonijnych społeczności i organizacji. Od 2016 r. jestem członkiem senackiej Rady ds. Integracji i Migracji w Berlinie, do której zostałem wybrany na pięcioletnią kadencję jako jeden z siedmiu reprezentantów wszystkich organizacji migranckich z Berlina. Co ciekawe, koleżanka, która reprezentuje region Unii Europejskiej, również pochodzi z Polski. Tak samo jak nowa pełnomocniczka Berlina ds. integracji. Obecnie podczas wszystkich dyskusji na tematy imigranckie możemy częściej podnosić sprawy polskie. Zainteresowaliśmy naszymi problemami instytucje berlińskie, a one działają szybciej niż instytucje centralne. W międzyczasie wspólnie z żoną postanowiliśmy sprofesjonalizować nasze działania społeczne i założyliśmy stowarzyszenie Polki w Berlinie, które rok temu świętowało pię-

ciolecie działalności. Przykład mojej żony pokazuje, że nie trzeba wchodzić do polityki, by skutecznie działać. Oczywiście większe organizacje są zawsze chętne, by przyciągnąć osoby realizujące ciekawe projekty. Dziś nadal pomagam żonie, ale nie wtrącam się do działań i spraw programowych, bo to organizacja kobieca. Stowarzyszenie Polki w Berlinie stara się być aktywne na tych polach, które są dla Polaków bardzo ważne, a na które najtrudniej zdobyć finansowanie. To często prawdziwa droga przez dżunglę biurokracji. Jeden z najciekawszych projektów to poradnik dla Polek przybyłych do Berlina. Po raz pierwszy udało się stworzyć opracowanie, które zostało zaprojektowane, napisane i złożone przez ekspertów polskiego pochodzenia mieszkających w Berlinie, zaś wydrukowane w Polsce. Całość została zrealizowana ze środków niemieckich. Ten poradnik to zupełnie nowa jakość w porównaniu z wcześniejszymi tego typu publikacjami. Stowarzyszenie Polki w Berlinie realizuje również projekt, który jest odpowiedzią na problemy wielu polskich rodzin w Niemczech związane z Jugendamtem. To instytucja, wokół której narosło wiele mitów i nieporozumień, zatem potrzebne jest informowanie i wspieranie. Dezinformacja powoduje, że wiele kobiet mających problemy z wychowywaniem dzieci lub będących ofiarami przemocy domowej wręcz boi się poprosić o pomoc społeczną. A według statystyk proporcjonalnie więcej dzieci zabiera się niemieckim rodzinom niż polskim, co nie pasuje do stawianych często tez o sprzedawaniu polskich dzieci Niemcom.

KB: Jaka jest recepta na sukces, gdy prowadzi się organizację w Berlinie?

PN: Trzeba działać zgodnie z tutejszymi regulacjami i oczywiście posługiwać się językiem niemieckim. Prowadząc taką organizację, trzeba również poświęcić sporo czasu i włożyć wiele pracy, za którą nikt nam nie zapłaci, a co za tym idzie, konieczna jest duża elastyczność zawodowa i finansowa. Niezbędne są cierpliwość, wytrwałość i zdolność komunikowania się z każdym środowiskiem. Jak widać, jest to ciężki kawałek chleba.

KB: Przełamuje pan pewną konwencję, która jest chyba bolączką Polonii na całym świecie, polegającą na zbyt słabym aspirowaniu do obejmowania stanowisk w administracji i polityce nowego kraju z myślą o tym, by pełnić – mniej lub bardziej formalnie – rolę rzecznika interesów polskiej społeczności.

PN: Podobnie jest w Niemczech. Również tutaj polskiej społeczności doskwiera brak reprezentantów w instytucjach, w partiach, na stanowiskach politycznych. Trzeba to zmienić. Kilka osób, z którymi współpracuję, wydaje się rozumieć potrzebę polskiej

obecności w tutejszej polityce, ale za wcześnie, by mówić o konkretnych rezultatach.

KB: W zeszłym roku wszedł pan do zarządu organizacji Berpol, którą w latach 70. XX w. zakładał jeden z pionierów polskiego biznesu w Niemczech Henryk Kulczyk, ojciec nieżyjącego już, a chyba wciąż najbardziej znanego polskiego biznesmena, Jana Kulczyka.

PN: Tak, stowarzyszenie zostało założone w 1977 r. Zrzeszało polskich handlowców i przemysłowców w Berlinie i wspierało wszystkich, którzy chcieli prowadzić relacje gospodarcze między PRL-em a ówczesnym RFN-em. Były w tym stowarzyszeniu prawdziwe grube ryby, działano z dużym rozmachem. Na wystawnych balach razem bawili się polscy przedsiębiorcy i berlińska śmietanka towarzyska. W 2001 r. wydano pamiątkową publikację, która opisuje historię polskiego biznesu w Berlinie i prężnej działalności polonijnej. Przez lata ta działalność przygasła, może ze względu na bliskość Polski. Teraz planujemy jej reaktywację. Z tego powodu Berpol – Polish-German Business Club będzie uczestniczył w organizacji berlińskiej edycji Kongresu 60 Milionów.

Polskiej społeczności
w Niemczech
doskwiera brak
reprezentantów
w instytucjach,
w partiach, na
stanowiskach
politycznych. Trzeba
to zmienić.

KB: I tu dochodzimy do kwestii najbardziej aktualnej. Kongres 60 Milionów to wydarzenie polonijne coraz bardziej znane na świecie. Pan jest jego współorganizatorem i osobą odpowiedzialną za berlińską edycję.

PN: Kongres 60 Milionów został pomyślany jako marka wydarzeń polskich i polonijnych, która będzie rozpoznawalna na całym świecie. Powstał, aby ludzie identyfikujący się z polskością mogli się spotkać. I niekoniecznie przy mazurku i tańcach, co oczywiście też ma swój urok i jest potrzebne. Przez lata poznałem grono osób, z którymi realizowałem działania polonijne. Miały one jednak cha-

rakter projektowy i kończyły się wraz zakończeniem finansowania. W końcu wpadliśmy na pomysł, aby wykorzystać nasze różnorodne kompetencje i spróbować wspólnie zrobić coś trwałego. Oczywiście postrzegamy nasz projekt w kategoriach ekonomicznych, ale nie w takim sensie, by był sposobem na zarobek, lecz by sam się finansował. Wszyscy prowadzimy własną działalność i mamy z czego żyć. W zeszłym roku zorganizowaliśmy trzy edycje Kongresu – dwie w USA i jedną w Polsce. Wiadomo, że Polonię w USA łatwiej zainteresować tematem, ponieważ jest zlakniona kontaktu z każdym przejawem polskości. Poszczególne edycje Kongresu mają swoją unikalną tematykę. W Miami skupiamy się na rynku nieruchomości (na którym działa wielu Polaków), transporcie i logistyce. Są już pierwsze efekty. Jeden z naszych polskich partnerów po udziale w zeszłorocznej edycji otworzył filię w Miami. Każdą edycję Kongresu budujemy wo-

kół ludzi, którzy działają na miejscu i wiedzą, co w danym regionie jest potrzebne. Dlatego wziąłem na siebie organizację wydarzenia w Berlinie. Udało mi się skrzyknąć ludzi i namówić do współpracy, mimo że wcześniej ze sobą konkutowali. To pierwszy prawdziwy sukces związany z berlińską edycją Kongresu, mimo że wydarzenie jeszcze się nie rozpoczęło.

KB: Jakie tematy będą poruszane podczas edycji berlińskiej?

PN: Skupiamy się na branży technologicznej, czyli wszystkim, co ma przedrostek „e”: e-zdrowiu, e-finansach itd. W tych dyscyplinach Polacy są bardzo mocni, choć niestety często grają drugoplanowe role. Są świetnymi inżynierami, technikami lub wynalazcami, widoczna jest ich aktywność na scenie start-upowej, ale nie potrafią jeszcze przekuć swoich kompetencji w miliardowy biznes. Podczas Kongresu chcemy pokazać, że jest to możliwe. W Berlinie, jak i w całych Niemczech, wielu Polaków pracuje na wysokich stanowiskach, ale są rozproszeni i niewidoczni, bo nie podkreślają swojej polskości. Na Kongresie 60 Milionów będą mieli okazję się spotkać i opowiedzieć o swojej pracy i osiągniętych sukcesach. Taką przynajmniej mam nadzieję, bo naprawdę nie jest łatwo do nich dotrzeć.

KB: Nie da się ich rozpoznać po nazwisku?

PN: Właśnie w Niemczech to nie działa. Sporo ludzi nosi tu polskie nazwiska, nie mając równocześnie z Polską nic wspólnego. Amerykańska Polonia zawsze utożsamia się z krajem pochodzenia, natomiast tutaj osoby, których przodkowie 100 lat temu przyjechali z terenów obecnej Polski, naprawdę bardzo rzadko identyfikują się z polskością. Wystarczy wspomnieć o dziadku kanclerz Niemiec Angeli Merkel, który urodził się w Poznaniu jako Ludwig Kazimierzczak, ale zmienił później nazwisko na Kasner i nie przyznawał się do swoich korzeni. Ta sytuacja pokazuje pewne różnice wynikające z uwarunkowań historycznych.

Wracając do tematyki Kongresu, zastanowimy się też, dlaczego warto pojechać do Polski, i poszukamy takich mniej oczywistych celów. Jednym z nich jest turystyka zdrowotna, którą cenią sobie głównie starsi obywatele Niemiec, ale również coraz częściej Polonia.

Uważam, że Polacy w Niemczech mają bardzo duży i dotychczas zbyt słabo wykorzystany potencjał w szeroko pojętej dziedzinie pośredniczenia między Polską a Niemcami. Znają języki i obyczaje obydwu krajów, więc są odpowiednio przygotowani. Mam nadzieję, że kiedyś polskie władze też to dostrzegą.

KB: Jakich innych ciekawych partnerów udało się państwu zaprosić na Kongres?

PN: Naszym partnerem jest Europejska Agencja Kosmiczna (ESA), której przedstawiciel opowie o projektach telemedycznych w związku z kosmicznymi misjami załogowymi, np. na Marsa.

W jednym z paneli będziemy rozmawiać o transporcie. Udało nam się zaprosić przedstawiciela Portu w Hamburgu, który prowadzi niestandardowe działania marketingowe, a mianowicie organizuje dla klientów i partnerów portu stowarzyszenie będące siecią networkingową. Cieszymy się, że nawiązaliśmy również kontakt z jedną z największych polskich firm z branży IT, spółką Comarch.

Podkreślam raz jeszcze, że zależy nam, aby pokazać, jak przebić szklany sufit i że jest to możliwe. W moim przekonaniu Polacy za tanio i zbyt szybko sprzedają swoje pomysły, swoją wiedzę i przede wszystkim swoją pracę. Za słabo aspirujemy do najwyższego poziomu. Długo czekaliśmy na Lewandowskiego, żeby zobaczyć polskiego zawodnika, któremu zależy, aby być najlepszym z najlepszych. Pokazał, jak się dochodzi na szczyt. Kongres 60 Milionów powinien uświadamiać, że sukces jest możliwy w wielu dziedzinach, a w jego osiągnięciu może pomóc Polonia.

KB: Wcześniej powiedział pan o roli przedstawicieli Polonii w pośredniczeniu między dwoma światami.

PN: Tak. Mogę posłużyć się swoim przykładem. Wiem, jak funkcjonuje niemiecki rynek, wiem, jak funkcjonują Niemcy, znam ich mentalność, bo tutaj się wychowałem, ale znam też polską mentalność i sporo osób w Polsce, więc niejako automatycznie przyjmuję rolę pośrednika. Szkoda tylko, że nasz potencjał nie jest odpowiednio wykorzystywany zarówno przez polskie instytucje rządowe, jak i sferę biznesu.

KB: Chciałbym w takim razie zapytać o kwestię światopoglądową. Jak fakt, że należy pan do dwóch światów, wpływa na pana tożsamość i jak taki wizerunek postrzegają Niemcy?

PN: Osoby polskiego pochodzenia, które utrzymują relacje z Polską i nie kryją się z tym, zawsze dla Niemców będą Polakami. Ja przez cały okres mojego życia w Niemczech jestem tu uważany za Polaka. Był czas, kiedy mi to przeszkadzało, ale obecnie jest to dla mnie raczej coś pozytywnego.

KB: Bo można czerpać korzyści z dwóch światów?

PN: Właśnie. Potrafię robić to samo co Niemcy i żyć jak Niemiec, ale potrafię też to, czego oni nie umieją. Czerpię z katalogu typowo polskich cech: elastyczności myślenia i działania, fantazji, odwagi w podejmowaniu decyzji, umiejętności chodzenia na skróty. Wszystkim działaniom Kongresu chcemy nadać nadrzędny przekaz: siłą Polonii może być umiejętność korzystania z tego, co najlepsze w obu światach. Oczywiście nic nie przychodzi samo – trzeba wydeptać swoje ścieżki w jednym i w drugim kraju, trzeba zapłacić frycowe, czasem cofnąć się w tył i spróbować raz jeszcze. Chciałbym zachęcić wszystkich przedstawicieli polskiej społeczności, aby znaleźli swoją drogę między dwoma światami. Chciałbym też, aby polskie firmy wykorzystywały kompetencje Polonii. Zaś celem Kongresu 60 Milionów jest uświadamianie, że warto.



Restauracja angażuje wszystkie zmysły

O idei prowadzenia restauracji, pilnowaniu zasad rzemiosła i jego tajemnicach oraz o przewadze Warszawy nad Nowym Jorkiem z **Arturem Jarczyńskim** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Co jest fundamentem prowadzenia biznesu restauracyjnego?

Artur Jarczyński: Miałem 20 lat, kiedy zrodził się pomysł otwarcia restauracji. Bałem się, gdyż nie miałem żadnego doświadczenia, nie tylko w gastronomii, ale także w prowadzeniu działalności gospodarczej. Nie miałem pojęcia, jak działa księgowość, jak prowadzi się rachunki, jak organizuje się pracę w restauracji. Nato-

miast miałem przyjaciela, starszego pana, który doświadczenie w biznesie zdobywał jeszcze przed wojną, i do niego udałem się po poradę. Przedstawiłem swoje obawy i otrzymałem odpowiedź: „Artur, prowadzenie restauracji to nie jest wystawianie dokumentów i księgowanie. Restauracja to ty, który witasz gości, pytasz, jak się czują, gdzie byli na urlopie. Musisz podać pani płaszcz, a panu kapelusz. To jest restauracja. A reszta zrobi się sama”. Po latach

potwierdzam z całą mocą, że przyjmowanie gości to fundament restauracji. Tak jak w domu – trzeba ich powitać, pomóc się rozebrać, nakarmić, podać napoje, porozmawiać, pożartować, a jeżeli okazja jest smutna, to współczuć, a na koniec – serdecznie pożegnać. Wtedy goście na do widzenia powiedzą: „do następnego razu”. Oto cała tajemnica.

KB: Dzisiaj jest pan właścicielem 13 restauracji. Czy nadal osobiście wita pan gości?

AJ: Na pewno kiedy ma się kilka restauracji, jest trudniej niż przy jednej, bo nie można wszystkiego samemu dopilnować i osobiście przyjmować gości. Wszystko zależy od współpracowników i partnerów przedsięwzięcia. Warunkiem koniecznym jest znalezienie do współpracy osób z prawdziwą pasją. Zawsze powtarzam, że osobę z pasją możemy nauczyć robić kanapki, ale osoby, która umie robić kanapki, nie nauczymy pasji. Goście czują, czy to, co oferujemy, płynie z serca, czy jest jedynie produktem do wymiany za grosik.

KB: Powiada się, że podstawą sukcesu są ludzie. W przypadku prowadzenia restauracji wydaje się to mieć jeszcze większe znaczenie.

AJ: Absolutnie tak. W innych obszarach mamy jednostopniowe przetworzenie produktu, na przykład w sadzie zbierane są jabłka, w fabryce tłoczony jest z nich sok, zaś w sklepie sprzedaje się go ostatecznemu klientowi. Natomiast w restauracji odbywa się wielostopniowy proces i w każdą jego fazę jest zaangażowany człowiek. Pierwsza faza to wybór i zakup produktu oraz jego wstępne przetworzenie. Następnie mamy do czynienia z kreacją – przygotowaniem dania i jego wydaniem. W tym momencie zaczyna się prawdziwy teatr, wykorzystujący atmosferę, muzykę, oświetlenie, aromaty, smak. Angażujemy wszystkie zmysły.

KB: Pierwszą restaurację uruchomił pan jeszcze w czasach siermiężnych, kiedy gastronomia nie była właściwie doceniana przez opinię publiczną. Wraz z pojawieniem się w telewizji programów kulinarnych dotarła do ludzi idea restauratorstwa i wzrosła ranga szefa kuchni.

AJ: Czasy, które pan nazywa siermiężnymi, a w których przyszło mi żyć przez kilka lat, bez wątplenia były inne. Natomiast nie chciałbym oceniać, czy były lepsze, czy gorsze. Warto podkreślić, że edukacja zawodowa w tamtych czasach była na bardzo wysokim poziomie, zaś tytuł mistrza czy czeladnika oznaczał prawdziwe mistrzostwo w danym fachu. Dzisiaj większość młodzieży w Polsce ma wyższe wykształcenie, a nie ma pojęcia o rzemiośle czy o codziennym życiu. Inaczej jest choćby w Szwajcarii, gdzie studiuje tylko kilkanaście procent młodych ludzi. Świat się otworzył, rozwijamy się, przywozimy do Polski nowości, doświadczenia, receptury. Ale nadal najlepsi kucharze to mechanicy samochodowi, nie tylko w Polsce. Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

KB: W jaki sposób powstaje koncept nowej restauracji?

AJ: Nie jestem alfą i omegą. Pomysł na restaurację wychodzi ode mnie, ale potem przeprowadzamy badania rynku, tworzymy dokumentację, czyli jeździmy i patrzymy, jak to robią inni na świecie. Staramy się nauczyć, a jeśli jest to konieczne – kupić receptury i know-how. Mamy przyjaciół na całym świecie, którzy są cenionymi i doświadczonymi restauratorami, i z nimi wymieniamy się wiedzą.

KB: Czy otwierając nową restaurację, wie pan, że odniesie ona sukces, czy to zawsze jest niewiadoma?

AJ: Oczywiście, że jest to niewiadoma, bo w życiu nie ma nic pewnego. Japońscy naukowcy zauważyli, że im dłużej leży krowa, tym bardziej prawdopodobne jest, że wstanie. Idąc tym tropem, można powiedzieć, że im więcej sukcesów odniosłem, tym większe jest prawdopodobieństwo mojej porażki.

KB: Ze statystyką różnie bywa. Ja znam inną zasadę: kolejne sukcesy predestynują do osiągnięcia następnego.

AJ: Ciekawa filozofia, będę się nią wspierał. Niestety w praktyce nie mamy pewności sukcesu. Na przykład w Krakowie wybudowano galerię handlową, która miała bardzo słaby start i nikt nie wiedział dlaczego. Zlecono badania i wynik był zaskakujący – okazało się, że krakowianom obce jest parkowanie w garażu wielopoziomowym. Kiedy galeria wprowadziła działania promocyjne dotyczące parkingu wielopoziomowego, początkową porażkę przekuła w bardzo duży sukces. Chcę przez to powiedzieć, że zaskoczenie może przyjść z najbardziej niespodziewanego kierunku. Dlatego w swoich przedsięwzięciach biznesowych opieram się na badaniach wspieranych intuicją. Mimo wewnętrznego przekonania warto zawsze spojrzeć na badania, bo wyniki potrafią być zaskakujące.

KB: Na ile istotne są trendy w gastronomii i które z nich są istotne?

AJ: Trendy są bardzo ważne, ale – co jest ich główną cechą – szybko się rodzą i szybko umierają. Nie można powiedzieć, żeby nasze restauracje były *trendy*. Po prostu staramy się wykonywać rzetelnie swoje rzemiosło, uczciwie karmić i zaspokajać potrzeby naszych gości, na tyle, na ile potrafimy. Nie kreujemy mody, nie mamy ambicji bycia trendsetterami. Natomiast nikt nie może nam odebrać blisko 30 lat doświadczenia, z którego staramy się jak najlepiej korzystać. Udoskonalamy warsztat, rozwijamy się. Świat bardzo szybko idzie do przodu, tworzy nowe kanały komunikacji, sprzedaży, a my w tym wszystkim chętnie bierzemy udział.

KB: Czy pan gotuje?

AJ: Wody nie przypalam. *(śmiech)* Moją przygodę zaczynałem w kuchni, bo trudno bez tego prowadzić restaurację. Pilnuję zasad rzemiosła i jego tajemnic. Na przykład zwracam uwagę, aby w moich restauracjach nie popełniano zbrodni na pomidorach,

czym jest ich przechowywanie w lodówce. Nauczyliśmy się tego od szefa kuchni, który przyjechał do nas z Izraela i opowiadał, że tam w restauracjach mają specjalne pomieszczenia do przechowywania pomidorów, tak jak u nas na jajka. Pomidor jest bardzo delikatnym warzywem – po schłodzeniu traci wszelkie walory smakowe i aromatyczne.

KB: Czy osobiście dogląda pan wszystkich swoich restauracji?

AJ: Staram się ich doglądać poprzez przekazanie innym mojej pasji. Nie zarządzam poprzez narzucanie mojego zdania, ale staram się, by zostało zrozumiane. Dzięki temu mam pewność, że kiedy wychodzę za drzwi restauracji, wszystko idzie tak, jakbym był w środku. Prowadzenie kilku restauracji jest możliwe tylko wtedy, kiedy stawiamy na zrozumienie, a nie nakazy.

KB: Jak restauracje reagują na kryzysy?

AJ: Kryzys gospodarczy najprędzej uderza w restauracje. Wystarczy, że media obwieszczą kryzys, a już firmy obcinają budżety i wszyscy przechodzą na system oszczędzania. Gdy w 2008 r. ogłoszono kryzys, a była to jesień, odwołano mniej więcej połowę firmowych spotkań świątecznych w moich restauracjach. Wiele z tych firm prowadzi moi przyjaciele, więc zadzwoniłem i zapytałem, co się dzieje. Odpowiedzieli, że jest kryzys. Zapytałem, czy spadły im obroty czy zyski. Usłyszałem, że obroty nie spadły, zyski wzrosły, ale jest kryzys. Więc pytam: „Skoro wskaźniki rosną, to gdzie jest kryzys?”. Mam taki apel do mediów: częściej mówcie o hossie, wtedy wszystkim będzie lepiej. *(śmiech)*

KB: Kiedy byłem mały, mówiło się, że w 2000 r. zamiast tradycyjnego pożywienia będziemy jedli tabletki dostarczające wartości odżywczych. Na szczęście tak się nie stało. Jak pan widzi przyszłość restauratorstwa?

AJ: Coś w tym jest, bo gwałtownie rozwija się rynek suplementów. Równie szybko rośnie popularność cateringów odżywczych czy dietetycznych, choć one są jeszcze oparte na naturalnych produktach. Ale być może w przyszłości funkcja odżywiania zostanie ograniczona tylko do zaspokojenia potrzeb. Mam nadzieję, że tak się nie stanie, bo jedzenie jest i powinno pozostać przyjemnością, podróżą po świecie smaków i aromatów.

KB: Obecnie obserwujemy wzrost zainteresowania restauracjami, nie tylko w Polsce.

AJ: Tak jest na całym świecie. W USA przemysł gastronomiczny jest drugą największą gałęzią przemysłu. Na szczęście ludzie potrzebują obecności drugiego człowieka, szukają miejsc, w których można się spotkać, porozmawiać i dobrze zjeść.

KB: Jest pan warszawianinem. Czy wielokulturowe dziedzictwo miasta może być inspiracją dla restauratora?

AJ: Nawet powinno nią być. Przed laty w Warszawie czy w Łodzi przez pokolenia żyły obok siebie w symbiozie różne narody. Oczywiście były też napięcia czy niesnaski, jak w rodzinach. W tej chwili wielokulturowość w Warszawie jest minimalna. Natomiast jest wielu przyjezdnych i obcokrajowców, dlatego przywykliśmy do różnorodności. W naszych restauracjach często jadają Azjaci, głównie Wietnamczycy. Wśród gości jest wielu dyplomatów, którzy nas odwiedzają w związku z pełnieniem obowiązków zawodowych. Bardzo cenimy gości z całej Polski. Zadając kłam niechęci warszawian do krakowian, mogę wyznać, że lubię krakowian, uwielbiam melodię ich mowy i miłe dla ucha rozkładanie akcentów.

KB: A którą kuchnię lubi pan najbardziej?

AJ: Kuchnia polska, taka jak u babci, jest rewelacyjna, bo są to smaki naszego dzieciństwa. Produkty rosną tuż za miedzą, są najlepsze i najświeższe. Ale teraz mam zamiar odkryć kuchnię chińską i japońską. Rosyjska też jest wspaniała.

KB: Czy mamy szansę wypromować na świecie polską kuchnię, by była znana jak kuchnie francuska czy japońska?

AJ: To bardzo trudne pytanie. Według mnie cały czas numerem jeden na świecie jest kuchnia włoska, a na drugim miejscu postawiłbym kuchnię azjatyckie: japońską, chińską, wietnamską, tajską. Natomiast wydaje mi się, że powoli zatrzymuje się rozwój kuchni narodowych na rzecz restauracji specjalizujących się w konkretnych daniach. W tej chwili popularne są poke z Hawajów czy koreański grill, czyli grillowanie przy stole. Jeśli chodzi o szansę polskiej kuchni na świecie, to widać gołym okiem, że rozwija się ona tam, gdzie mieszkają Polacy. W Chicago czy w Nowym Jorku również Amerykanie zjadają się polskimi pierogami. Ale czy tym można zawojować świat?

KB: Mieszkańcy Nowego Jorku większość posiłków spożywają w restauracji, natomiast w Polsce ciągle stołujemy się w domach.

AJ: Prowadziłem w Nowym Jorku trzy restauracje: meksykańską, włoską i azjatycką. Choć miałem wspaniały zespół, cieszę się, że już ich nie prowadzę. Tam rynek jest bardzo agresywny. Człowiek musi być cały czas czujny, bo nie wie, kiedy i z której strony nadejdzie cios. Trzeba się obronić, a żeby utrzymać pozycję, trzeba czasem zadać cios wyprzedzający. Poza tym restauracje w USA przeobrażają się w wytwórnię, bowiem aż 70 proc. dań jest sprzedawanych na wynos. Cieszę się, że prowadzę restaurację w Polsce i mogę gościć rodaków, bo lepiej rozumiem ich potrzeby. Tutaj się realizuję, zaś Nowy Jork zostawiam nowojorczykom, których podziwiam za sprawność i kreatywność. To ciekawe miasto, aby się uczyć i czerpać inspirację, ale realizować się powinniśmy nad Wisłą.

Artur Jarczyński – restaurator, globtroter kulinarny, sybaryta, kolekcjoner zabytkowych samochodów i motocykli.



Wystawa nominowanych w Konkursie „Teraz Polska”

25 kwietnia 2019 r. w Hotelu Gromada w Warszawie ogłoszono nominowanych w XXIX edycji Konkursu „Teraz Polska”.
Uznanie Branżowych Komisji Ekspertów zdobyło 36 produktów, 11 usług, 6 innowacji i 2 gminy.



Stolica branży spożywczej

WorldFood Poland 2019



Ekspozycje ponad 350 wystawców z 25 krajów, rozmowy przedsiębiorców, liczne prelekcje i pokazy, panele ekspertów, wielka giełda ofert – tak w skrócie można opisać tegoroczne targi WorldFood Poland. Wyjątkowe wydarzenie trwa trzy dni i odbywa się w stolicy Polski, kraju otwartego na inne kultury, ojczyzny doskonałej żywności. Partnerami merytorycznymi i współorganizatorami debat i paneli tematycznych były największe i najważniejsze organizacje branżowe. Patronat honorowy sprawował minister rolnictwa i rozwoju wsi oraz Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”.

Szósta edycja WorldFood Poland to doskonała okazja do spotkań przedsiębiorców i nawiązania szerokich kontaktów biznesowych. W blisko 400 rozmowach handlowych uczestniczyli kupcy z 19 krajów, m.in. z Singapuru, Tajlandii, Indonezji, Belgii, Grecji, Rumunii, Szwecji, Włoch czy Portugalii. Polskie sieci handlowe i sektor HoReCa reprezentowało 43 kupców. Przez trzy dni stoiska wystawców odwiedziło ponad 6,8 tys. osób, w tym ponad tysiąc z zagranicy.

Wykupienie stoiska w dobrej lokalizacji choćby na największych krajowych targach to jeszcze nie sukces. Podstawą jest właściwe zaprezentowanie produktów, równie ważne są wiedza, doświadczenie i zaangażowanie osób reprezentujących firmę podczas wydarzenia. Targi powinny być kanałem, który umożliwia bezpośredni kontakt z potencjalnymi klientami, czyli handlowcami

zainteresowanymi naszymi produktami. I to właśnie gwarantuje WorldFood. – *Co roku zwiększa się liczba kupców z różnych stron świata, a rozmowy przeprowadzane podczas targów kończą się zamówieniami i kontraktami* – z dumą zapewnia Agnieszka Szpaderska, menedżer targów. – *Należy pamiętać, że zwiedzający to osoby, które samą swoją obecnością deklarują zainteresowanie branżą. Każda rozmowa to możliwość sprawdzenia, jak naszą markę postrzegają inni. Warto słuchać, dopytywać i notować spostrzeżenia rozmówców, bowiem pozwolą one spojrzeć na własny produkt z innej perspektywy i być może mogą przelożyć się na jego udoskonalenie. To olbrzymia wartość, którą trudno uzyskać online* – dodaje Szpaderska.

Podczas tegorocznej edycji WorldFood Poland ponad 40 proc. zwiedzających poszukiwało oferty ekologicznej i produktów prozdrowotnych. Wyodrębniona strefa EcoFood to branża ekologiczna w pigułce. Umożliwia zapoznanie się z ofertą tego sektora, wymianę doświadczeń, pozyskanie nowych partnerów biznesowych, udział w ciekawych panelach i dyskusjach. W tym roku 200 firm zdecydowało się zaprezentować produkty w tym sektorze, a 45 firm przedstawiło swoją ofertę w sektorze NutraFood.

Wystawcy i zwiedzający WorldFood Poland mieli okazję zapoznać się z szeroką ofertą alkoholi z całego świata oraz poszerzyć wiedzę o winie. To gratka dla każdego – miłośników, znawców i koneserów. Branża spirytusowa w Polsce jest istotnym elementem rodzimej gospodarki, a polska wód-



© ARCHIWUM WORLDFOOD (5)

ka jest jedyną polską marką globalną obecną na wszystkich rynkach całego świata. Polacy coraz częściej sięgają także po wino – ten segment rynku alkoholi rośnie w tempie 20 proc. Świadomość polskiego konsumenta jest na coraz wyższym poziomie, zwłaszcza jeżeli chodzi o dobór szczepów i regionów.

Już po raz trzeci Bellavita Expo, największe targi żywności i napojów pochodzących z Włoch, połączyły siły z WorldFood, aby promować tradycyjną włoską żywność i oferować odwiedzającym wyjątkową okazję do odkrycia unikatowych produktów. Bellavita Expo to wiodąca platforma B2B realizująca promocję włoskiej żywności i napojów na 11 wystawach: w Amsterdamie, Toronto, Warszawie, Parmie, Hamburgu, Chicago, Kantonie, Meksyku, Bangkoku, Moskwie i Londynie.

Ponad 50 włoskich firm wprowadziło na polski rynek ponad 200 nowych włoskich produktów, gotowych do zaprezentowania lokalnym kupcom, dystrybutorom, importerom, szefom kuchni i innym liderom branży pod wspólną marką Bellavita. – *Cieszymy się, że już po raz trzeci mogliśmy zaprezentować w Polsce smak autentycznej włoskiej kuchni* – mówi Aldo Mazzocco, prezes Bellavita. – *Bellavita Expo to ważna wystawa dla profesjonalistów z branży spożywczej poszukujących innowacyjnych produktów, które mogą przyciągnąć uwagę konsumentów i zwiększyć sprzedaż dzięki swojej autentycznej tożsamości regionalnej* – stwierdza.

Tegoroczna edycja targów WorldFood obfitowała w doznania kulinarne i wyjątkowe produkty spożywcze dzięki ośmiu narodowym pawilonom zagranicznym – z Azerbejdżanu, Korei Południowej, Ukrainy, Sri Lanki, Białorusi, Tajlandii, Malezji i Hiszpanii.

Nie zabrakło wyjątkowych polskich akcentów. Kucharze Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Szefów Kuchni i Cukierni pod egidą Jarosława Uścińskiego, znanego warszawskiego restauratora i miłośnika dobrej kuchni, przygotowali pokazy kulinarne w stylu *slow cooking*.

W konkursie o złoty medal targów walczyło ponad 200 produktów w 14 kategoriach. Przyznano 13 złotych medali, w tym dwie nagrody w kategorii debiutów (krajowy i zagraniczny), oraz 18 wyróżnień.

Wzrost zainteresowania targami WorldFood Poland wśród wystawców i uczestników zwiastuje dynamiczny rozwój wydarzenia w ciągu ostatnich sześciu lat. Tegoroczna edycja potwierdziła, że WorldFood jest bardzo ważnym punktem w kalendarzu spotkań biznesowych decydentów branży spożywczej, a także tych związanych z rynkiem produktów ekologicznych i nutraceutyków. WorldFood Poland to środkowoeuropejska ekstraklasa wydarzeń targowych dedykowanych sektorowi spożywczemu i skuteczna platforma komunikacji dla producentów, dystrybutorów, detalistów i menedżerów, która umożliwia im nawiązanie trwałych relacji biznesowych z partnerami handlowymi.

Iwona Ciechan



Adam
Szejnfeld

*Posł do Parlamentu
Europejskiego
www.szejnfeld.pl*

Wolność – marzenie Polaków z czasów
zaborów, potem niemieckiej okupacji
i radzieckiej hegemonii – stała się faktem.

Cyklon

Polska. Wszystko się u nas zmienia i... nic się nie zmienia! Historia ciągle się powtarza, jakbyśmy wpadli w jakiś wir, z którego nie możemy się wydostać. Rzuca nas we wszystkie strony, a my w tym chaosie nie możemy znaleźć wyjścia z matni. Raz spadamy głową w dół, innym razem wznosimy się nogami w górę. Raz, odbijając się od czegoś, opadamy w lewo, innym razem kieruje nas w prawo. Raz obracamy się na jeden bok, innym razem na drugi. Jesteśmy już pokaleczeni, poszarpani, posiniaczeni i półprzytomni. Ledwo żyjemy. Wszystko jednak wiruje nadal, trzeszczy, drga, szaleje, świszczy, gwizdże i ryczy. Wydaje się, że wpadliśmy na obrzeża jakiejś piekielnej trąby powietrznej. Nie możemy dotrzeć ani do oka tego szalonego cyklonu, ani wyrwać się poza jego obręb.

Mija 30 lat od rozpoczęcia w 1989 r. przemian społeczno-ustrojowych i gospodarczych. Z państwa bankruta, z państwa mającego prawie 600 proc. inflacji, z państwa miejskiej biedy i wiejskiego zacoferania, z państwa zostawionego na pastwę losu i łaskę innych, dzięki odpowiedzialnej polityce oraz wyrzeczeniom i ciężkiej pracy wszystkich obywateli, staliśmy się niemalże liderem

na przykład nie polityki, nie rządzenia. W tym zakresie tkwimy nadal w jakimś chocholim tańcu, wciąż podważa się wszystko, co osiągnięto, i niszczy wszystko, czego dokonano. Okrągły Stół to zdrada. Ulice niezbrukane krwią to podła zmowa. Czerwcowe wybory do Sejmu to mafijny układ. Nowa konstytucja to utrwalenie postkomuny. Więzienia pełne morderców i bandytów, a nie politycznych przeciwników to bratanie się z czerwonym. Prywatyzacja to złodziejstwo. Szacunek dla demokracji, praworządności, równości i równouprawnienia, w końcu Unia Europejska to... lewactwo.

W politycznej rzeczywistości naszego kraju nieznana jest naturalna sztafeta władzy z demokratycznym przekazywaniem sobie pałeczki rządzenia. Nie ma wzajemnego szacunku, współpracy i współdziałania. Punktem honoru jest rujnowanie, a nie budowanie. Zadaniem jest cofanie, a nie kontynuowanie. Ambicją jest rewolucja, a nie ewolucja. Celem jest zniszczenie historii poprzedników i napisanie nowej – jedynie słusznej. Państwo nie ma kontynuacji, bowiem każda rządząca partia uważa kraj za swoją prywatną własność. Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam. Polityczni rywale? Konkurenci? Nie, takich kategorii nie ma. Istnieją tylko wrogowie. A wrogów trzeba pokonać, ich państwo podbić, ludność podporządkować. Żeby tak się mogło stać, należy upodlić i obrzydzić rodakom wszystko, czego dokonali poprzednicy. Należy oczernić cudze sukcesy oraz wybielić własne czyny. I tak wirujemy od 30 lat, niczym w cyklonie, błąkając się w labiryncie politycznych ideologii i szczując nawzajem jedni na drugich.

W międzyczasie szukamy – nie razem, lecz każdy z osobna – własnej drogi. A przecież ona jest w naszym zasięgu. Znamy ją. Wiemy, którądy przebiega. Ba, szliśmy nią już wielokrotnie. To droga demokracji, europejskich wartości, życzliwości i szacunku dla innych ludzi, kompromisów i przyjaźni, uznawania przeszłości i budowania na jej sukcesach – przy równoczesnym unikaniu wcześniej popełnionych błędów – dobrej przyszłości. Dobrej przyszłości dla wszystkich, a nie tylko dla siebie.

europejskiego skoku cywilizacyjnego. Najwyższe tempo wzrostu gospodarczego, rozwijająca się infrastruktura, eksport bijący każdego roku rekordy poprzednich lat, spadająca inflacja, znikające bezrobocie, wzrastające płace, mnożone programy społecznego wsparcia, zmniejszająca się luka dobrobytu... Do tego wszystkiego nauka demokracji, która nie poszła w las. Wolność – marzenie Polaków z czasów zaborów, potem niemieckiej okupacji i radzieckiej hegemonii – stała się faktem.

Niestety, te osiągnięcia dotyczą tylko wybranych aspektów życia publicznego, ale już



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Andrzej
Lubowski

Ekonomista i publicysta. Autor książek: „Zbig. Człowiek, który podminował Kreml”, „Świat 2040. Czy Zachód musi przegrać?” i „Alfabet amerykański”.

Przyszłość a wolność

Na liście naszych narodowych przywar (który naród ich nie ma?) wysoko stawiam nieustanne oglądanie się wstecz – pielęgnowanie mitów, rozpamiętywanie krzywd i rozdrapywanie ran – co powoduje uszczerbek na myśleniu o przyszłości. A przecież to, na ile nasze miejsce w szybko zmieniającym się świecie będzie odpowiadać naszym aspiracjom, zależeć będzie od tego, w jakim stopniu codzienne myślenie zorientujemy na przyszłość.

Niełatwo o lepszy przykład człowieka, który nie tylko myśli o przyszłości, ale próbuje ją kształtować, niż Elon Musk. Niepokoi go kruchość Ziemi i dlatego marzą mu się kolonie pozaziemskie jako zabezpieczenie na wypadek katastrofy nuklearnej, ekologicznej lub zderzenia z meteorytem. Dlatego stworzył SpaceX i zastąpił NASA w produkcji statków kosmicznych. Martwi go nasze marnotrawstwo energii, stąd Tesla i Solar City. Obawia się, czy stworzone przez nas roboty nie zdominują kiedyś człowieka, więc głośno przestrzega, abyśmy nie utracili nad nimi kontroli.

Kilka lat temu rozmawiałem z Muskiem. Spierałem się z nim o jego pomysł kolonizacji

99 proc. pytanym uznałoby lądowanie na Marsie za bardziej prawdopodobne. A stało się inaczej. Wniosek? Postęp nauki zmienia definicję tego, co możliwe, a co nie”.

W oceanie niepewności, co przyniesie przyszłość, jedno jest pewne: należy ona do innowatorów. Im zaś do poszukiwania nowych ścieżek potrzebna jest przede wszystkim wolność. Wolność myślenia i wolność tworzenia. Wolność kwestionowania utartych schematów. Tej wolności nic nie zastąpi. A już na pewno nie rządowy dekret ani centralny planista.

James Buchanan, laureat Nobla z ekonomii z 1986 r., wierę w to, że rządzenie to proces kolektywnego podejmowania altruistycznych decyzji, nazywał romantyczną legendą. Przypominał, że ekonomię kontroluje nie grupa mędrców, ale politycy nieustannie walczący o stołki. Większość zrodzonych w rządowych gabinetach pomysłów interwencji na rynku źle się kończyła, a cenę za eksperymenty płaćli całe narody. A co z Chinami? – ktoś spyta. Otóż źródłem chińskich sukcesów nie jest mądre centrum gospodarcze, które proroczo decyduje o wyborze technologii i kierunkach inwestycji

Do poszukiwania nowych ścieżek potrzebna jest przede wszystkim wolność. Wolność myślenia i wolność tworzenia. Wolność kwestionowania utartych schematów. Tej wolności nic nie zastąpi.

Marsa. „Dlaczego akurat Mars? Jest tak człowiekowi nieprzyjazny. To, co ci się marzy, Elon, jest niemożliwe!”. Ledwie opanował swe oburzenie. W leksykonie Muska nie ma słowa „niemożliwe”. „Wyobraź sobie – odparował – że w 1969 r., gdy Neil Armstrong stanął na Księżycu, zapytaliśmy tysiąc osób, co jest bardziej prawdopodobne za 40 lat: to, że wylądujemy na Marsie, czy to, że co drugi człowiek będzie nosić w kieszeni urządzenie zdolne przetworzyć więcej danych niż współczesny komputer i komunikować się z dowolnym zakątkiem globu. Idę o zakład – powiedział – że

wania, ale supertania i zdyscyplinowana siła robocza w połączeniu z łamaniem reguł uczciwej konkurencji. To nie jest model do skopionowania. Liderów innowacji: Stany Zjednoczone, Niemcy, Południową Koreę, Tajwan, Szwajcarię czy Izrael, poza dobrymi szkołami, sprawnymi instytucjami, stabilnymi i przejrzystymi regułami gry, poszanowaniem prawa, cechuje wolność i tolerancja dla odmienności, rozumianej na wiele sposobów. Im szybciej zastosujemy się do tych prawd, tym większe nasze szanse w batalii o przyszłość.

© TERAZ POLSKA



18 marca

Podczas Welcomomy Forum w **Toruniu** Fundacja „Teraz Polska” przyznała tytuł Promotora Polskiej Gospodarki firmom z województwa kujawsko-pomorskiego, których liczne sukcesy przyczyniają się do budowania marki Polska. Wyróżnione zostały Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych oraz Kancelaria Kijewski, Graś. Tytuł Promotora Polski otrzymali: Rafał Blechacz, wybitny pianista; Adam Sowa, twórca marki Cukiernia Sowa; oraz Piotr Całbecki, marszałek województwa kujawsko-pomorskiego.

© JORDAN JAROCINSKI/BALTIC BUSINESS FORUM



10 kwietnia

W **Świnoujściu**, po raz pierwszy w historii Baltic Business Forum, przyznano tytuł Promotora Polskiej Gospodarki oraz Promotora Polski reprezentantom Pomorza Zachodniego. Promotorem Polskiej Gospodarki zostało Wydawnictwo Artystyczne Kurtiak i Ley, zaś tytułem Promotora Polski uhonorowano prof. n. med. Jana Lubińskiego, światowej sławy autorytet w dziedzinie patomorfologii i genetyki klinicznej.

© ANNA HURKOWSKA



11 kwietnia

Już po raz czwarty wyłoniono laureatów Konkursu „Wybitny Polak w Irlandii”. W tym roku nagrody otrzymali: Maciej Neumann-Kochański (w kategorii Kultura), Jacek Jaszczyk (Osobowość) oraz Paulina Pietroń (Młody Polak). Jury przyznało także trzy wyróżnienia. Otrzymały je Monika Kucharska, Blanka Marczevska i Lilia Maciejewska.

© KAMIL BROZKO/BROZKO.COM



16 kwietnia

Na **Uniwersytecie Warszawskim** odbyło się seminarium „Wolność – prawo, przywilej i zobowiązanie”, zorganizowane przez Fundację „Teraz Polska”, WNE UW oraz Koło Naukowe Negocjacji UW. W dyskusji uczestniczyli: dr hab. Grzegorz Brona (Wydział Fizyki UW, Creotech Instruments); dr hab. Cecylia Leszczyńska (WNE UW); prof. Andrzej Rychard (dyrektor IFiS PAN); prof. Krystyna Skarżyńska (kierownik Katedry Psychologii Społecznej SWPS); dr Krzysztof Spirzewski (WNE UW, Societe Generale); dr Olga Wysocka (zastępca dyrektora Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki). Debatę prowadził prof. Krzysztof Opolski, kierownik Katedry Bankowości, Finansów i Rachunkowości WNE UW. Słowo wstępne wygłosił Krzysztof Przybył, prezes Fundacji „Teraz Polska”.

THINKTANK'



ZAPRASZAMY DO SPOŁECZNOŚCI
LUDZI AKTYWNYCH I PRZEDSIĘBIORCZYCH!

dołącz do nas!

www.think-tank.pl

www.facebook.com/osrodekTHINKTANK

www.twitter.com/THINKTANK.PL

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM



25 kwietnia

W Hotelu Gromada w **Warszawie** ogłoszono nominowanych w XXIX edycji Konkursu „Teraz Polska”. Wpłynęło blisko 100 zgłoszeń, z których 55 zdobyło uznanie Branżowych Komisji Ekspertów i nominacje do Godła „Teraz Polska”.

© GENEK JARZĄBEK



6 maja

W Chicago po raz dziewiąty wręczono nagrody w Konkursie „Wybitny Polak”. W tym roku statuetki odebrali: Hubert Cioromski (w kategorii Biznes), Mark Dobrzycki (Osobowość), Czesława Kolak (Kultura) oraz Mirosław Niedziński (Nauka). Wyróżnienie specjalne w kategorii Kultura otrzymał Zdzisław Doruła, a tytułem Przyjaciela Polonii zostali uhonorowani Jesse White, sekretarz stanu Illinois, oraz Maria Pappas, skarbnik hrabstwa Cook.

© TERAZ POLSKA



7 maja

W Los Angeles odbyła się uroczystość wręczenia statuetek laureatom Konkursu „Wybitny Polak” z Zachodniego Wybrzeża USA. Nagrodzeni zostali: Andrzej Bytnerowicz (w kategorii Nauka), Warren Winiarski (Biznes), Ivona Kaminska-Bowlby (Kultura), Marcin Gortat (Młody Polak) oraz Joanna Schmit (Osobowość).

© MICHAŁ LIPIŃSKI



8 maja

W Konsulacie RP w **Nowym Jorku** już po raz dziewiąty nagrodzono laureatów Konkursu „Wybitny Polak” ze Wschodniego Wybrzeża USA. Statuetki otrzymali: nauczycielka i pedagog Eugenia Aniśko (w kategorii Osobowość), aktorka i pisarka Dagmara Domińczyk (Kultura), prezes Classic Travel Małgorzata Majcherczyk (Biznes), prof. Andrzej Targowski (Nauka) oraz sportowiec Wojciech Szuliński (Młody Polak).

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM



13 maja

Podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w **Katowicach** Fundacja „Teraz Polska” uhonorowała tytułem Promotora Polskiej Gospodarki biuro podróży Itaka oraz centrum medyczne Beta-med. Z rąk Jerzego Buzka, Wojciecha Kuśpika (twórcy kongresu) i Krzysztofa Przybyły (prezesa Fundacji „Teraz Polska”) statuetki Promotora Polski odebrali zasłużeni dla promocji Śląska i Polski: Alicja Knast, dyrektor Muzeum Śląskiego; Tomasz Konior, architekt, twórca m.in. siedziby NOSPR w Katowicach; Paweł Buszman, kardiolog, prezes Polsko-Amerykańskich Klinik Serca (PAKS); oraz Artur Rojek, muzyk, założyciel zespołu Myslovitz, twórca OFF Festiwalu w Katowicach.

GRAMY BEZ PRZERWY

STEFANI

**CUD ALBO
KRAKOWIAKI
I GÓRALE**

PADEREWSKI

MANRU



oglądaj za darmo na **vod.teatr Wielki.pl**

15. ROCZNICA PRZYSTĄPIENIA POLSKI DO UNII EUROPEJSKIEJ



Kolekcjonuj znaczki i kartki pocztowe w prosty i wygodny sposób!
Zamów abonament filatelistyczny w najbliższej placówce
pocztowej bądź za pośrednictwem strony internetowej:
www.filatelistyka.poczta-polska.pl